

SIR ARTHUR CONAN DOYLE

WSPOMNIENIA I PRZYGODY

I

WSPOMNIENIA WCZESNEGO DZIECIŃSTWA

POCHODZENIE. — „H. B.” — CZWÓRKA NIEZWYKŁYCH BRACI. — RODOWÓD MOJEJ MATKI. — GENIUSZ NIEZNANY. — MOJA PIERWSZA KLĘSKA. — THACKERAY. — FENIANIE. — WCZESNA LEKTURA. — MOJA PIERWSZA POWIASTKA.

Urodziłem się w dniu 22 maja 1859 r., w Edynburgu, przy Picardy Place, zwanym tak dlatego, że swego czasu osiedliła się tam gromadka francuskich studentów. W owym czasie było to osiedle poza obrębem murów grodzkich, obecnie jednak stanowi część miasta. W czasie ostatniej mej bytności miałem wrażenie, że dzielnica ta podupadła, lecz za czasów mego dzieciństwa cieszyła się ona dobrą sławą.

Ojciec mój był najmłodszym synem Johna Doyle, który pod inicjałami „H. B.” zdobył sobie jako rysownik wielkie wzięcie w Londynie w czasie od 1825 do 1850 roku. Przybył on do Londynu z Dublinu około roku 1815 i może słusznie uchodzić za twórcę niekrzywdzącej karykatury, która w czasach dawniejszych posługiwała się formą brutalną, zamieniając przedmiot na groteskę, tak co do rysów jak i postaci. Takimi karykaturzystami byli Gilray i Rowlandson. Natomiast mój dziad był dżentelmenem, rysującym dżentelmenów dla dżentelmenów; satyra tych rysunków tkwiła w dowcipie a nie w zniekształceniu rysów. Był to nowy pomysł, który od tego czasu przyjął się w dziale karykatury i spowszedniał. Ponieważ w owym czasie nie było pism humorystycznych, tygodniowy karton z inicjałami „H. B.” był litografowany i rozsyłany. Tradycjomowi, że „H. B.” wywierał znaczny wpływ na bieg spraw politycznych i pozostawał w zażyłych stosunkach z wielu kierownikami spraw publicznych owych czasów. Pamiętam go jako sędziwego starca, wielkiej godności, o rysach wybitnie anglo-irlandzkich, typu księcia Wellingtona. Umarł on w r. 1868.

Dziad mój owdowiał jako ojciec licznej rodziny, z której czterech synów i jedna córka, dożyli wieku dorosłego. Wszyscy czterej synowie, odziedziczywszy po ojcu zdolności artystyczne, zdobyli zaszczytne stanowiska. Najstarszy z nich, James Doyle, zasłynął jako autor dzieła „Kroniki Anglii”, które sam ilustrował wielobarwnymi ilustracjami; poświęcił on również trzynaście lat pracy dziełu p.t. „Genealogia Rodów Barońskich w Anglii”, zdradzającemu ogromną pracowitość i wiedzę historyczną. Drugi z rzędu, Henryk Doyle, wielki znawca starych mistrzów malarstwa, został z czasem dyrektorem Galerii Narodowej w Dublinie. Trzeci syn, Ryszard, zasłynął jako rysownik-humorysta; on to jest twórcą tak popularnej dziś jeszcze okładki znanego pisma humorystycznego „Punch”. Najmłodszy, Karol, był moim ojcem.

Dzięki talentom mego dziadka rodzina Doyle żyła dostatnio w Londynie, przy Cambridge Terrace, a więc w pobliżu słynnego Hyde Parku. „Dziennik Ryszarda Doyle” zawiera między innymi obraz codziennego życia rodzinnego, z którego wynika, że życie to pochłaniało całe dochody, skutkiem czego dorastający synowie musieli się oglądać za posadami. Ojciec mój, mając lat dziewiętnaście, otrzymał stanowisko w Głównym Zarządzie Gmachów i Zabytków Publicznych, w Edynburgu, gdzie spędził niemal całe swe życie; to sprawiło, że ja, z pochodzenia Irlandczyk, urodziłem się w stolicy Szkocji.

Rodzina Doyle, anglo-normandzkiego pochodzenia, była przywiązana mocno do Kościoła Rzymsko-Katolickiego. Założyciel rodu Doyle, lub D’Oil, należał do odłamu, zamieszkałego w Staffordshire, z którego pochodził Sir Francis Hastings Doyle i wiele innych znakomitości rodu. Brał on udział w najeździe na Irlandię i otrzymał majątności w hrabstwie Wexford, gdzie wkrótce

powstał możny zaścianek (klan), w którym wszyscy mieszkańcy przyjęli nazwisko feudalnego pana, podobnie jak ród Burgh dał początek słynnemu klanowi rodziny Burkę. Przynależność do głównego pnia rodowego rościmy sobie jedynie na podstawie rysów charakteru i wyglądu zewnętrznego, wspólnych nam i członkom angielskiej rodziny Doyle, tudzież dzięki nieprzerwanemu używaniu tego samego godła i herbu.

Przodkowie moi, podobnie jak przeważna część starych rodzin irlandzkich, trwali przy swej wierze za czasów reformacji i w konsekwencji padli ofiarą ustaw karnych. Ustawy te były tak dotkliwe dla ziemian, że pradziad mój, wygnany ze swego majątku, osiadł w Dublinie i wziął się do handlu jedwabiem. W Dublinie przyszedł na świat „H. B”.

Mam nadzieję, że czytelnik przyjmie z pobłażaniem tę wycieczkę w dziedzinę genealogii rodzinnej, która nie pozbawiona interesu dla rodziny, może nudzić każdą inną osobę. Dotknąwszy jednak tego przedmiotu, pragnę dodać kilka słów o rodzinie mej matki, która oddawszy się zawodowo studiom archeologii, opracowała wspólnie ze znanym genealogiem, Sir Arturem Vicarsem, swoim powinowatym, dzieje swej rodziny na przestrzeni przeszło pięciuset lat, dając w rezultacie imponujące drzewo genealogiczne, które mam w tej chwili przed oczyma

Ojcem jej był William Foley, lekarz z Trinity College, który umarł młodo, zostawiając rodzinę w stanie prawie ubóstwa. Ożenił się on z Katarzyną Pack, której łożo śmiertelne, a raczej biała postać, jak figura woskowa, leżąca na tym łożu, jest najwcześniejszym wspomnieniem mojego życia. Jej bliskim krewnym, stryjem, jeśli się nie mylę był Sir Denis Pack, który wiódł brygadę Szkocką pod Waterloo. Była to rodzina żołnierska, co nie może dziwić, zważywszy, że pochodziła ona w prostej linii od majora z armii Cromwella, który się osiedlił w Irlandii. Jeden z członków tej rodziny, Antoni Pack, otrzymał w bitwie pod Waterloo tak ciężką ranę w głowę, że mu musiano czaszkę srebrem lutować. Żył on później dosyć długo, podlegając od czasu do czasu gwałtownym wybuchom irytacji, zdarzającym się innym ludziom bez równie ważkiego powodu.

Lecz chwała rodu dosięgła swego szczytu, gdy wielbny Ryszard Pack, rektor Kollegium w Kilkenny, poślubił Marię Percy, dziedziczkę irlandzkiej gałęzi rodu Percy z Northumberland. Związek ten spowinowacił nas z dynastią Plantagenetów. Taką to dziwną mieszaniną krwi człowiek posiada w swoich żyłach, krwi na ogół pochodzenia szlacheckiego i miejmy, nadzieję, równie szlacheckich instynktów.

Atoli ta cała romantyczna chwała przodków nie zmieniała w niczym faktu, Katarzyna Pack przybyła z Irlandii do Edynburga w stanie zupełnego ubóstwa. Dlaczego udała się ona właśnie do Edynburga, tego nigdy się nie dowiedziałem. Wynajawszy większe mieszkanie, wyraziła gotowość przyjęcia odpowiedniego lokatora. W tym samym mniej więcej czasie, około roku 1850. Karol Doyle udał się do Edynburga, zaopatrzony w polecające listy do miejscowych księży, którzy mieli czuwać nad moralnością i wiarą młodego człowieka. Czyż mogli się oni wywiązać lepiej ze swego zadania, jak umieszczając go pod dachem wdowy, prawowiernej i pochodzącej z dobrego rodu? I tak się stało, że dwie odrębne linie irlandzkich tułaczy, spotkały się pod jednym dachem.

Posiadam paczkę listów mego ojca, pisanych w owym czasie, pełnych uznania dla życzliwości, jakiej doznał, tudzież obfitych w spostrzeżenia, dotyczące ówczesnego towarzystwa szkockiego, szorstkiego w obcowaniu, ochoczego do wypitki, lecz przy tym bardzo uczynnego, które jednak stanowiło pewne niebezpieczeństwo dla młodzieńca, posiadającego pewien instynkt religijny i temperament artystyczny. W domu znalazła się młodsza córka Maria jasnooka i bardzo inteligentna, która wyjechawszy na studia do Francji, wróciła stamtąd młodą, wysoce wykształconą kobietą. Reszty łatwo się domyśleć. W roku 1855 Karol Doyle poślubił Marię Foley, moją przyszłą matkę; młoda para po ślubie mieszkała w dalszym ciągu pod dachem mej babki.

Środki młodego małżeństwa były skąpe, gdyż pensja ojca wynosiła zaledwie 240 funtów; powiększał on ją dochodami za swe rysunki. Ten stan rzeczy pozostał niemal bez zmiany do końca życia mego ojca, który był człowiekiem bez wielkich ambicji, skutkiem czego nie doczekał się żadnych zaszczytów, lub odznaczeń.

Malarstwu poświęcał się tylko sporadycznie; nie przynosiło ono zbyt wiele dochodów rodzinie, gdyż Edynburg posiada sporą ilość akwarel, rozdanych przez niego Jednym z moich życzeń, dotąd niewykonanych jest zebrać o ile możliwości, wszystkie jego obrazy i urządzić w Londynie wystawę Karola Doyle'a, by krytycy mogli się przekonać, że był on nieprzeciętnym i oryginalnym artystą, ze wszystkich braci — moim zdaniem — stanowczo największym. Nie ograniczał się w swych kompozycjach do miłych dla oka krasnoludków i podobnych im postaci fantastycznych; malował również postacie dzikie, straszne i potworne, przy czym zachowywał swój odrębny styl, łagodząc rzeczony tematy humorem naturalnym. W tych obrazach był on groźniejszym niż Blake, lecz mniej chorobliwym niż Wiertz. Fakt, że trudno go z kimkolwiek porównać, jest najlepszym dowodem jego oryginalności. W prozaicznej Szkocji wywoływał on więcej zdumienia niż podziwu, zaś w szerokim świecie Londynu znano go przede wszystkim jako twórcę piórkowych ilustracji książkowych, które nie tworzyły wyrazu jego indywidualności. Toteż bardzo prozaicznym wynikiem tych okoliczności był fakt, że matka moja nigdy nie miała więcej jak trzysta funtów rocznie na utrzymanie i wychowanie dużej rodziny. Żyliśmy w hartującej atmosferze ubóstwa i każde z rodzeństwa, po kolei starało się pomóc młodszemu. Moja szlachetna siostra Annetta, która umarła właśnie w czasie, gdy wszystkim nam zaczęło się lepiej powodzić, wyjechała w bardzo młodym wieku jako guwernantka do Portugalii, stąd przysyłała do domu całą swoją pensję. Moje młodsze siostry Lottie i Connie, czyniły podobnie; ja także pomagałem w miarę możliwości. Lecz przy tym wszystkim, matka ponosiła największe i najcięższe trudy. Często mówiłem do niej: „Na starość, mamusiu, będziesz miała aksamitną suknię, złote okulary i miły ogień na kominku”. Dzięki Bogu, słowa te nie okazały się cczą obietnicą. Ojciec mój, niestety, nie mógł wiele pomóc, gdyż myślą przebywał zawsze w obłokach, mało bacząc na rzeczywistość życiową. Nie rodzina, lecz ludzkość karmi się owocami trudu geniusza. O czasach mego wczesnego dzieciństwa niewiele mam do powiedzenia; wystarczy zaznaczyć, że było ono dość spartańskie w domu, lecz jeszcze bardziej spartańskie w szkole edynburskiej, gdzie bakałarz starego typu, nie wypuszczający dyscypliny z ręki, zatruwał nam stale życie. Dwa lata, od siódmego do dziewiątego roku życia, nacierpiałem się dość pod ręką tego jednookiego, opryszczonego tyrana, który zdał się zstąpić na ziemię prosto z kart Dickensa. Wieczorami dom i książki były moją pociechą, wyjąwszy odpoczynek sobotni i niedzielny. Moi towarzysze szkolni byli nieokrzesanymi urwisami; ja też rychło uległem ich wpływowi. Jeśli teoria reinkarnacji zawiera w sobie jakieś źdźbło prawdy w kwestii tej nie zająłem dotąd żadnego stanowiska — mam wrażenie, że w czasie jednego z moich poprzednich żywotów, musiałem być szalonym zabijaką, gdyż nic mnie tak nie radowało we wczesnej młodości jak bójka. Przez jakiś czas mieszkaliśmy wtedy przy małej, „ślepej” uliczce, pełnej swoistego życia i gwaru, wynikającego ze sporu między chłopcami, mieszkającymi z obu jej stron. Ostatecznie spór ten miała zakończyć walka w pojedynkę, w której ja przedstawiałem obóz chłopców uboższych, mieszkających w domach czynszowych, zaś mój przeciwnik chłopców zamożniejszych, mieszkających w willach po przeciwnej stronie ulicy. Walka odbywała się w ogrodzie jednej z willi i choć trwała długo, nie dawała ostatecznego wyniku. Kiedy po skończonej rozprawie wróciłem do domu, matka zawołała: — Bój się Boga, Arturku, a tobie kto tak oko podbił? Na co odparłem z dumą: — Niech mama lepiej pójdzie zobaczyć podbite oczy Edzia Tullocha. Raz jednak spotkała mnie dobrze zasłużona nauczka, gdy zbyt pochopnie wyzwałem da walki „chłopca szewskiego, który zjawił się na naszym boisku, wysłany

oczywiście przez swego majstra. Trzymał on w ręku torbę skórzaną z ciężkim buciskiem we wnętrzu i tą bronią zajechał mnie tak dzielnie przez łeb, że runąłem na ziemię prawie nieprzytomny. Była to potrzebna lekcja. Muszę jednak zaznaczyć, że moja zaczepna zapalczliwość nigdy nie zwracała się ku słabszym, przeciwnie często stawałem w ich obronie.

Dwa zdarzenia z tych czasów zasługują na wzmiankę. Liczni londyńscy przyjaciele mego dziadka mieli zwyczaj odwiedzać nas w przejeździe przez Edynburg, ku wielkiemu zakłopotaniu mych rodziców, by się dowiedzieć „jak sobie Karol radzi”. Jednego z takich gości pamiętam dobrze z czasów mego wczesnego dzieciństwa. Był on wysoki, białowłosy i bardzo uprzejmy. Jakkolwiek byłem wtedy bardzo małym chłopcem, myśl, że siedziałem na kolanach Thackeraya, sprawia mi wielką przyjemność. Miał on wielki podziw dla mej matki, jej szarych, irlandzkich oczu i jej celtyckiej żywotności; co prawda umiała ona zyskać sympatię i przychyłność wszystkich, z którymi los ją spotkał.

Drugie zdarzenie pozwoliło mi podpatrzeć początek ruchu, należącego dziś do historii. Było to, o ile mnie pamięć nie myli w r. 1866, kiedy jacyś zamożni krewni mej matki, zaprosili nas do King's County w Irlandii; kilka tygodni spędziliśmy w ich zasobnej i dostatniej siedzibie wiejskiej. Konie i psy były moim głównym i ulubionym towarzystwem, co wytworzyło wielką przyjaźń z młodym stajennym. Bramy stajni wiodły wprost na gościniec, oddzielone odeń jedynie mocną bramą wjazdową, nad którą mieściła się mała izdebka. Jednego poranku, bawiąc się na dziedzińcu, zobaczyłem mego przyjaciela, stajennego, wpadającego na dziedziniec, z wyraźnym strachem na twarzy; znalazłszy się wewnątrz obejścia zamknął on i zaryglował bramę, wspiął się szybko do izdebki nad nią dając mi znaki, abym poszedł w jego ślady. Z okienka naszego schronienia ujrzelśmy gromadę, złożoną z jakiś dwudziestu chłopów, posuwających się chyłkiem wzdłuż drogi. Kiedy się znaleźli naprzeciw bramy, zaczęli obrzucać nas klątwami i grozić pięściami, na co stajenny odpowiedział podobnie. Później dowiedziałem się, że była to grupa Fenian, którzy rozpoczynali długi szereg zamieszek, obecnie dopiero zbliżających się prawdopodobnie do końca.

Podczas tych pierwszych dziesięciu lat życia opanowała mnie pod koniec mania czytania tak wielka, że mała wypożyczalnia, skąd otrzymywaliśmy książki, zawiadomiła matkę, że nie może pożyczać dziennie więcej jak dwie książki. Upodobania moje były normalne, gdyż książki Mayne Reida były moją ulubioną lekturą. Rychło też napisałem powiastkę, którą sam ilustrowałem; występował w niej człowiek i tygrys, którzy od chwili spotkania się utworzyli bardzo niewyraźny amalgamat. W rezultacie oświadczyłem matce z bardzo poważną miną, że łatwo ludzi uwikłać w jakąś intrygę, lecz trudniej ich z niej wydobyć; każdy autor opisujący przygody musiał dojść do tego samego doświadczenia.

II U JEZUITÓW

SZKOŁA PRZYGOTOWAWCZA. — BŁĘDY EDUKACJI. — SPARTAŃSKIE WYCHOWANIE. — KARA CIELESNA. — TOWARZYSZE SZKOLNEJ ŁAWY. — PONURE PRZEPOWIEDNIE. — POEZJA. — IMMATRYKULACJA LONDYŃSKA. — SZKOŁA NIEMIECKA. — SZCZĘŚLIWY ROK. — JEZUICI. — PRZYGODA W PARYŻU.

Kiedy skończyłem lat dziewięć posłano mnie do szkoły w Hodder, przygotowującej do znanej szkoły rzymsko-katolickiej w Stonyhurst, w Lankashire. Była to długa podróż dla chłopca w moim wieku, to też czułem się bardzo samotny i płakałem gorzko w drodze do stacji Preston, gdzie się złączyłem z wielu przyszłymi towarzyszami niedoli i skąd udaliśmy się końmi, pod pieczę przysłanych na stację Jezuitów, do odległej o dwanaście mil (angielskich) szkoły. Hodder leży w odległości dobrej mili od Stonyhurst; że zaś wszyscy chłopcy są poniżej lat dwunastu, jest to bardzo pożyteczna instytucja, wprowadzająca młodego chłopca w rutynę życia szkolnego, zanim się zetknie ze starszymi chłopcami.

W Hodder spędziłem dwa lata. Ówczesny rok szkolny nie ulegał ciągłym przerwom wakacyjnym, jak się to dziś dzieje. Wyjawszy sześć tygodni wakacji letnich, chłopcy nie opuszczali szkoły. Na ogół te pierwsze dwa lata poza domem były szczęśliwe. Umysłowo i fizycznie dotrzymywałem kroku moim współtowarzyszom. Szczęśliwym zrządzeniem losu byłem pod bezpośrednią pieczę ojca Cassidy, który okazał się bardziej ludzkim i wyrozumiałym niż większość Jezuitów. Zachowuję zawsze jak najmiłsze wspomnienie o nim i jego łagodnej postawie, jaką zajmował wobec nas, wśród których nie brakło urwisów i psotników. Pamiętam także, że w tym czasie wybuchła wojna francusko-niemiecka, która wywołała niezwykle poruszenie nawet w naszym zacisznym zakątku.

Z Hodder przeszedłem do Stonyhurst, tego imponującego średniowiecznego budynku, który przed blisko stu pięćdziesięciu laty dostał się w ręce Jezuitów; sprowadzili oni tutaj całe grono nauczycielskie z jednego ze swych kolegiów w Holandii, z zamiarem stworzenia publicznego zakładu wychowawczego. Plan naukowy, podobnie jak budynek był średniowieczny, lecz rozsądny. O ile wiem, uległ on obecnie zmianom zgodnie z wymaganiami dzisiejszymi. Szkoła obejmowała siedem klas, innymi słowy siedem lat, z których dwa pierwsze spędzało się w Hodder. Rozkład nauk zgodny był z panującą ówczesnie rutyną szkół średnich; obejmował on geometrię, algebrę i filologię klasyczną, udzielane metodą, która na całe życie odstrasza od tych przedmiotów. Pakowanie w głowy chłopców fragmentów Wergiliusza lub Homera bez dania im pojęcia, czym są te fragmenty i jak wyglądało życie w czasach starożytnych, jest niewątpliwie, niedorzecznym systemem. Jestem przekonany, że inteligentny, chłopak nauczyłby się więcej w ciągu tygodnia z dobrego tłumaczenia Homeja, niż z rocznego studium oryginału. System stosowany w Stonyhurst nie był w tej dziedzinie gorszym niż gdzie indziej i da się usprawiedliwić tylko zasadą, że jakiegokolwiek ćwiczenie intelektu jest lepsze dla rozwoju umysłowego niż żadne. Zasada ta jest moim zdaniem zupełnie fałszywą. Wyznaję z zupełnie spokojnym sumieniem, że moja znajomość łaciny i greki przydała mi się w życiu bardzo mało, a matematyka nie przyniosła mi żadnej korzyści. Natomiast inne rzeczy, nabyte niemal przypadkiem, jak sztuka czytania na głos, które było moim zwyczajem w domu, podczas gdy matka była zajęta robotą włóczkową, lub znajomość francuskiego, zdobyta przez odczytywanie objaśnień do ilustracji powieści Juliusza Verne'a oddały mi w życiu ogromne usługi. Moje

wykształcenie klasyczne napełniło mnie niechęcią do klasyków tak, że ze zdumieniem przyjąłem ich wdzięk i urok, kiedy w latach późniejszych poznałem ich utwory w sposób bardziej rozsądny.

Trudno mi odpowiedzieć na pytanie, czy jezuicki system wychowania jest dobry czy zły; musiałbym w sposób podobny doświadczyć systemu innego, bym mógł dać przedmiotową odpowiedź. Zdaje mi się jednak, — że wyniki świadczą na jego korzyść, gdyż zastępy młodzieży, opuszczające Stonyhurst, wytrzymują porównanie z wychowankami każdej innej szkoły publicznej. Mimo znacznej domieszki cudzoziemców i pewnej liczby zawsze niezadowolonych Irlandczyków, nie można nam było zarzucić głębokiego patriotyzmu; mówiono mi po wojnie, że liczba wychowanków ze Stonyhurst, odznaczona Krzyżem Victorii i Orderem Walecznych, jest stosunkowo większa, niż z innych szkół publicznych. Nauczyciele jezuicy nie dowierzają naturze ludzkiej i być może, mają rację. Nie wolno nam było ani na chwilę pozostawać samym sobie; w rezultacie niemoralność, która szerzy się w innych szkołach, przejawiała się wśród nas w sposób minimalny. Księża brali udział we wszystkich zabawach i spacerach, zaś jeden z wychowawców obchodził sypialnie w nocy. System ten może osłabić poczucie godności i samodzielności, lecz zmniejsza pokusy i chroni od skandalu. System życia był istic spartański, lecz wszystkie nasze potrzeby były zaspakajane. Chleb suchy z gorącym, dobrze rozwodnionym mlekiem, stanowił nasze skromne śniadanie. Na obiad kawałek mięsa z jarzyną z dodatkiem leguminy dwa razy w tygodniu. Na podwieczorek „chleb i piwo”, które prócz koloru nie miało z piwem nic wspólnego; wreszcie na wieczerzę znowu gorące mleko, chleb z masłem a czasem jakaś jarzyna. W piątek była ryba. Przy takiej diecie byliśmy zupełnie zdrowi. Wszystko w tym zakładzie było proste aż do surowości; wyjątkiem był wspaniały gmach mieszkalny, marmurowa posadzka jadalni z galerią i chórem, piękny kościół i piękne otoczenie.

Kary cielesne były bardzo surowe. Mówię to z pełnią świadomości, gdyż nie wiem, czy był drugi chłopak z tak bogatym doświadczeniem w tej dziedzinie, jak ja. Narzędzie, którym wymierzano karę było dziwne, sprowadzone zapewne także z Holandii, był to kawałek grubej, gumy w kształcie podeszwy. Pod wpływem jednego mocnego uderzenia tym instrumentem dłoń puchła i siniała. O surowości wymierzanych kar świadczy fakt, że normalnie, starszy wychowanek otrzymywał dziewięć razów na każdą dłoń. Dziewięć na jedną dłoń stanowiło minimum. Z reguły delikwent nie był zdolnym do otwarcia drzwi, gdy wychodził z pokoju, w którym odbywała się egzekucja. Zdaje mi się jednak, że wyniki tych kar były dodatnie. Wielu z nas uważało za punkt honoru nie okazać bólu, a to hartuje życiowo. Fakt, że podlegałem tym karom częściej niż inni, nie wynikał z mojej większej przewrotności, lecz z pewnego rysu mej natury. Rys ten polegał na tem, że o ile gorliwie odpłacałem dobrem za dobre, o tyle buntowałem się przeciw jakimkolwiek groźbom i z zadowoleniem fałszywej dumy starałem się zawsze dowieść, że przemocą nikt ze mną nic nie wskóra. Dlatego często świadomie popełniałem rzeczy naganne i karygodne, dla pokazania, że umiem postawić na swoim. Perswazją można było ze mną więcej wskórać, niż postrachem. Kary, które otrzymałem, należały mi się za moje postęпки, lecz te ostatnie były wynikiem złego obchodzenia się ze mną.

Z pośród moich kolegów jeden tylko Bernard Partridge, znany współpracownik „Punchu” doczekał dość dużej sławy; w owych czasach było to ciche i łagodne chłopię. Ojciec Thurston, który lat później miał się stać moim oponentem w kwestiach psychicznych, był o rok wyżej ode mnie. Był tam wtedy nowicjusz zakonny, z którym wprawdzie nie zawarłem bliższej znajomości, lecz którego piękna i uduchowiona twarz wryła mi się w pamięć. Był to późniejszy słynny kaznodzieja, Bernard Vaughan. Jeśli chodzi o trwałą przyjaźń, to zawarłem ją tylko z jednym z moich ówczesnych kolegów. Był nim James Ryan, niezwykle chłopiec, który wyrósł na niezwykle człowieka.

W czasie końcowego stadium mego rozwoju w Stonyhurst zdałem sobie sprawę, że jest we mnie pewna żyłka literacka, którą nie każdy posiada. Była to dla mnie zupełna niespodzianka, zaś jeszcze w większym stopniu dla moich nauczycieli i wychowawców, którzy nie mieli żadnych nadziei co do moich widoków na przyszłość. Rzeczony incydent zdarzył się w r. 1874, kiedy byłem w klasie szóstej; uczniowie tej klasy mieli obowiązek opracowania danego tematu wierszem. Przeważna część uczniów uważała to oczywiście za nudne i nienaturalne zadanie. Te wymuszone zaloty do Muzy miały zazwyczaj bardzo zabawny charakter. Dla mnie natomiast, który miałem istotne zamiłowanie do poezji, była to praca, zadowalająca umysł i uczucie. Dlatego produkowałem wiersze, które były lichą poezją, lecz zdały się być cudem dla tych, którzy nie posiadali w tym kierunku żadnego powołania. Tematem w tym wypadku było przejście Izraelitów przez Morze Czerwone i mój wysiłek, choć drewniany i konwencjonalny był jednak technicznie zupełnie poprawny. W każdym razie był to jak się wyrażał znany publicysta, Stead, drogowskaz, który ukazywał kierunek mego powołania. W ostatnim roku pobytu w Stonyhurst byłem redaktorem czasopisma szkolnego, w którym ukazało się sporo mych wierszy, obojętnych co do wartości. Studia w Stonyhurst kończą się egzaminem immatrykulacyjnym na uniwersytecie londyńskim. Złożyłem go ku powszechnemu zdziwieniu z odznaczeniem, i opuściłem tę szkołę licząc lat szesnaście z lepszym wynikiem niż ten, jaki zdawał się być prawdopodobnym na podstawie mych świadectw dorocznych.

Muszę tu nadmienić, że wkrótce po mym przybyciu do Stonyhurst, zaproponowano mej matce, zwolnienie mnie od opłaty szkolnej, gdybym się z jej zgodą poświęcił stanowi duchownemu. Matka odrzuciła tę propozycję, niewątpliwie z korzyścią Kościoła i moją. Ilekroć jednak myślę o jej skromnych środkach i jej wysiłkach dla powiązania końca z końcem, widzę w tym geście piękny przykład niezależności jej charakteru, gdyż jednym słowem zgody mogła oszczędzić roczny wydatek 50 funtów.

Spędziłem jeszcze jeden rok u Jezuitów, gdyż zdecydowano, że jestem za młody na studia zawodowe i postanowiono wysłać mnie do Niemiec dla nauczania się języka. Wyprawiono mnie do jezuickiej szkoły w Feldkirch, w austriackiej prowincji Voralberg. Stosunki w tej szkole i całe traktowanie uczniów, było o wiele bardziej ludzkie niż w Stonyhurst, tak, że szybko przemieniłem się z protestującego buntownika na podporę ładu i porządku.

Na początek jednak nie bardzo się spisałem, gdyż zaraz pierwszej nocy po przybyciu płośliwo mi sen z powiek głośnie chrapanie jednego z nowych kolegów. Nie mogąc w końcu znieść tego rżenia, wyjąłem z łóżka jakiś kołek i podszedłszy do śpiącego, począłem go szturchać tym kijem. Zbudzony ze snu, począł się ze zdumieniem wpatrywać w nieznanego sobie (przybyłem bowiem późnym wieczorem) draba z kijem w rękę. Zamierzałem właśnie ocucić go zupełnie, kiedy uczułem czyjeś dotknięcie na ramieniu, był to jeden z wychowawców, który mnie wyprawił z powrotem do łóżka. Następnego dnia musiałem wysłuchać kazania o zbyt swobodnych metodach angielskich wymierzania samemu sprawiedliwości. Było to moje największe wykroczenie przez cały czas pobytu w tej szkole.

Na ogół rok ten upłynął szczęśliwie. Wprawdzie w języku niemieckim nie uczyniłem spodziewanych postępów, gdyż w szkole było około dwudziestu chłopców angielskich i irlandzkich, którzy oczywiście trzymali się razem, niwecząc tym samym zamiary tych, którzy ich tu wysłali. Nie uprawiano wprawdzie gry w cricket, lecz było dużo saneczkarstwa, piłka nożna i dziwaczna gra w piłkę na szczudłach. Jedzenie było lepsze niż w Stonyhurst i prawdziwe, jasne piwo niemieckie zamiast tej lury, o której wspominałem.

Nadprogramowo nauczyłem się tam grać na trombonie, dzięki temu, że uczeń, który grał na tym instrumencie w doskonałej orkiestrze dętej, nie wrócił do szkoły. W lecie 1876 opuściłem Feldkirch, zachowując zawsze w milej pamięci austriackich Jezuitów i ich starą szkołę.

W istocie muszę wyznać, że mimo wszystkiego co nas dzieli, zachowałem dla Jezuitów w ogóle bardzo przyjazne uczucia. Widzę obecnie zarówno ich zalety jak i braki. W wielu dziedzinach obrzucono ich oszczerstwami; tak na przykład po ośmiu latach stałego kontaktu z nimi nie mogę powiedzieć, aby byli mniej prawdomówni lub bardziej kazuistyczni niż ich bliźni, Poznałem ich jako ludzi zdolnych, jasnych umysłów i poważnych; zdarzały się wśród nich i wyjątki, lecz rzadko, gdyż dobór jest bardzo ostrożny, staranny i długotrwały. We wszystkim, wyjąwszy ich teologię, zasługiwali oni na podziw, lecz właśnie ta ich teologia czyniła ich nieużytkowymi i nieludzkimi na pozór. Jest to na ogół rys wspólny wszystkim krańcowym formom katolicyzmu. Człowiek, wstępujący do ich zakonu, jest stracony dla rodziny. Ich ciasny i surowy pogląd na świat, daje im siłę, która cechuje także Purytanów i wszelką wiarę fanatyczną. Są oni pełni poświęcenia, nieustraszeni i raz po raz, czy to w Kanadzie, czy w Południowej Afryce, czy w Chinach, stanowili oni pierwszą straż cywilizacji, ku swej bolesnej szkodzi. Są oni od dawna ostoją Kościoła Rzymskiego. Tragedią jest to, że ci, którzy by chętnie życie oddali za starą wiarę, przyczynili się najwięcej do jej upadku, gdyż oni to zdaniem powag takich jak ojciec Tyrrell i inni modernisci, ponoszą odpowiedzialność za wszystkie krańcowe doktryny, tudzież za ogólne zacieśnienie dogmatyczne, które po prostu uniemożliwiły pozostanie w Kościele ludziom, przejętym nauką żądzą prawdy lub intelektualnym poczuciem swej godności. Nawet Sir Charles Miwart, ostatni z katolików–naukowców, który przez szereg lat usiłował wytrwać na niemożliwym stanowisku, musiał w końcu dać za wygraną i obecnie, o ile mi wiadomo, nie ma ani jednego wybitnego naukowca lub myśliciela, który byłby praktykującym katolikiem. Jest to sprawka wyznawców krańcowych, nad którą umysły umiarkowane boleją, którą modernisci potępiają. Zależy ona od wewnętrznego dyrektoriatu włoskiego, który wydaje rozkazy. Nic nie może przewyższyć bigoterii teologii jezuickiej i ich pozomej nieświadomości, co do wrażenia, jakie wywoływać ona musi na umysły nowoczesne. Pamiętam, że kiedy jako chłopak dorosły słuchałem słynnego kaznodziei irlandzkiego, ojca Murphy, który piorunował, że poza kościołem czeka każdego wieczne potępienie, patrzyłem nań z przerażeniem i mam przekonanie, że w onej chwili począł się ów rozdział, który z czasem zmienił się na przepaść między mną i tymi, którzy mną kiedyś kierowali.

W drodze powrotnej do Anglii, zatrzymałem się w Paryżu. Przez całe życie do owej chwili słyszałem wiele o nigdy niewidzianym wuju dziadecznym, nazwiskiem Michał Conan, któremu muszę tu poświęcić kilka słów. Wszedł on do rodziny przez małżeństwo mego dziadka „H. B.” z panną Conan. Brat jej, Michał, był redaktorem pisma „The Art Journal”; należał on do tej elity intelektualnej, która stworzyła w Irlandii ruch znany jako Sinn Fein. Zajmował się dn heraldyką i genealogią z tą samą gorliwością co moja matka i wywiódł swój ród jakąś drogą okrężną od książąt Bretonii, których rodowe nazwisko brzmiało Conan; w istocie Arthur Conan był owym nieszczęsnym księciem, któremu król Jan według Szekspira wylupił oczy. Ten wuj był moim ojcem chrzestnym i stąd moje imiona Arthur Conan.

Żył on w Paryżu i wyraził życzenie, aby jego krewniak i chrześniak, z którym utrzymywał korespondencję, odwiedził go w przejeździe. Rozprawiłem się z moimi zasobami pieniężnymi tak skrupulatnie, zwłaszcza po dość sutym obiedzie w Strassburgu, że kiedy stanąłem w Paryżu, zostały mi w kieszeni dwa grosze. Ponieważ trudno było zajechać do nieznanego krewnego i prosić o zapłacenie pojazdu, zostawiłem kufer na stacji i ruszyłem piechotą. Doszedłem do Sekwany i szedłem jej brzegiem do Champs Elysees; obejrzałem z oddalenia Łuk Triumfalny i wiedząc, że Avenue Wagram, przy której wuj mieszkał, jest niedaleko, puściłem się dalej mimo upału, aż dotarłem na miejsce. Pomnę, że droga i upał wyczerpał mnie tak, iż szukałem pokrzepienia w napoju, który jakiś przechodzień sprzedawał z dużej bańki noszonej na plecach, za jednego z moich pensów wypilem dwa kubki rozwodnionej lukrecji. Tak pokrzepiony, z

ostatnim groszem w kieszeni doszedłem do domu wuja. Kilka tygodni spędziłem w Paryżu z tym Irlandczykiem wulkanicznego temperamentu, który cały dzień letni spędzał bez surduta, obsługiwany przez zahukaną i potulną żonę. Rzecz dziwna, że zarówno z budowy fizycznej jak i z usposobienia jestem podobniejszy do niego niż do typu rodziny Doyle. Zawarliśmy prawdziwą przyjaźń, po czym wróciłem do domu, świadom, że stoję na progu mego własnego życia.

III WSPOMNIENIA STUDENCKIE

UNIwersytet w Edynburgu. — ROZCZAROWANIE. — PIERWOWZÓR PROFESORA CHALLENGER. — O SHERLOCKU HOLMESIE. — WNIOSKI. — SHEFFIELD. — RUYTON. — BIRMINGHAM. — ASPIRACJE LITERACKIE. — PIERWSZY UTWÓR DRUKOWANY. — ŚMIERĆ OJCA. — NASTRÓJ UMYŚLU. — TĘSKNOTY DUCHOWE. — NIEMILE ZAJŚCIE.

Wróciwszy do Edynburga, po mile spędzonym roku w szkole niemieckiej bez zbyt pokaźnych rezultatów w moim rozwoju umysłowym i duchowym, zastałem rodzinę w warunkach jak zwykle trudnych. Ojciec mój nie otrzymał żadnego awansu, zaś wydatki wzrosły przez wyjście z okresu dzieciństwa najmłodszej pary rodzeństwa, mianowicie mego jedyne go brata Innesa i siostry Idy. Wkrótce potem powiększyła to grono siostra Julia. Najstarsza siostra Annetta była już w Portugalii, skąd przysyłała do domu swoją pensję, zaś dwie młodsze Lotte i Connie miały wkrótce wstąpić w jej ślady. Matka wynajęła obszerny dom i przyjmowała sublokatorów, co miało swoje dodatnie i ujemne strony.

Z uwagi na moją gwałtowność, krewkość i pewną nieogłędność, te ciężkie warunki życiowe wyszły mi na dobre, gdyż położenie wymagało szybkiej i energicznej akcji. Matka dawała przykład, który musiał działać. Wybrano dla mnie zawód lekarza, głównie zdaje się dlatego, że Edynburg jest słynnym ogniskiem wiedzy medycznej. Postanowienie to równało się zwiększeniu wysiłków ze strony matki, która posiadała wielkie ambicje, gdy chodziło o przyszłość dzieci. W moim wypadku pragnęła ułatwić mi nie tylko zawodowe wykształcenie, lecz dać mi także możliwość zdobycia doktoratu, co trwało dłużej niż uzyskanie pozwolenia na praktykę. Wróciwszy z Austrii przekonałem się, że była spora liczba konkursów na miejsca w bursie uniwersyteckiej i stypendia. Mając miesiąc czasu, zabrałem się do klasyków i stanąłem do konkursu; w rezultacie otrzymałem stypendium na dwa lata w sumie 40 funtów rocznie. Nie potrzebuję dodawać, jak wielką była radość; zdało się, że już koniec wszelkiej biedy. Tymczasem, kiedy zgłosiłem się po odbiór zdobytego stypendium, oświadczono mi, że w ogłoszeniu przeoczono fakt, iż przyznane mi stypendium było przeznaczone wyłącznie dla studiujących sztukę. Na to wyraziłem nadzieję, że przypadnie mi w udziale jakieś wakujące stypendium medyczne; pocziwy urzędnik odparł z widocznym zakłopotaniem, że odnośne stypendium medyczne zostało już w całości wypłacone studentowi, który zgłosił się przede mną; mimo widocznej krzywdy nie było na to rady i ja, który zdobyłem stypendium, musiałem się zadowolić skromnym odszkodowaniem siedmiu funtów. Było to bolesne i gorzkie rozczarowanie; z prawnego punktu widzenia byłem pokrzywdzony, lecz nie myślałem o dochodzeniu mych praw, ze względu braku środków i niewłaściwości rozpoczynania kariery uniwersyteckiej od wytaczania procesu władzom uniwersytetu. Toteż dano mi radę, abym się pogodził z sytuacją.

W takich to warunkach, tęgi i rosły młodzieniec rozpoczynał pięcioletnie studiów lekarskich. Na dobrą sprawę można je ukończyć w ciągu lat czterech, lecz wypadek, który opiszę w dalszym ciągu, sprawił, że musiałem przerwać je na cały rok. Stąd, choć wstąpiłem na uniwersytet w październiku 1876 roku, opuściłem jego progi ze stopniem doktora medycyny w sierpniu 1881. W ramach tych dwóch dat mieści się długie paranie się z botaniką, chemią, anatomią, filozofią i całą długą listą przedmiotów obowiązkowych, z których wiele posiada tylko bardzo małe znaczenie dla sztuki lekarskiej. Cały system kształcenia, zdaje mi się teraz, z retrospektywnego punktu widzenia, zbyt okrężnym a za mało praktycznym, chodzi o cel.

A jednak mam wrażenie, że kolegium w Edynburgu przewyższa inne co do praktyczności. Jest ono także praktyczne w dziedzinie przygotowania do życia, gdyż nie ma atmosfery wielkiego internatu, jaka panuje w uniwersytetach angielskich; w Edynburgu student prowadzi swobodne życie człowieka wolnego, bez żadnych ograniczeń. Oczywiście, że jednych to rujnuje, drugich hartuje. W moim wypadku nie było żadnych obaw, gdyż żyłem razem z rodziną.

Między uczniami i profesorami w Edynburgu nie było żadnej zażyłości, żadnych znajomości prywatnych. Cały stosunek polegał na tym, że uczeń płacił oznaczone czesne i w zamian za nie wysłuchiwał kursu danego przedmiotu, nie troszcząc się poza tym o profesora. A jednak, niektórzy z nich byli ludźmi niezwykłymi i interesującymi, tak, że o wielu z nich dowiedzieliśmy się sporo, mimo braku znajomości osobistej. Tak np. przychodzi mi na pamięć uprzejmy Crum Brown, profesor chemii, który chował się zawsze przed wybuchem jakiejś mieszaniny chemicznej; zazwyczaj do wybuchu nie dochodziło, tak, że głośne „Bum” wydane przez słuchaczy było jedyną eksplozją, po której profesor wychylał się ze swej kryjówki ze stereotypowym „Panom tylko żarty w głowie”, lecz bez jakiegokolwiek dalszej wzmianki o nieudanym eksperymencie. Zoologię wykładał Wyville Thomson, który świeżo wrócił z wyprawy na statku „Challenger”, zaś anatomię niejaki Turner, samouk, który okazał się najbardziej ludzkim podczas pewnego dnia zimowego. Słyszając, że na dziedzińcu kolegium wre zacięta walka na kule śnieżne, tudzież dostrzegłszy niecierpliwość, z jaką oczekiwaliśmy końca wykładu, zakończył go szybko ze słowami: „obecność panów na dziedzińcu jest bardziej pożądana niż tu”. Lecz najżywiej tkwi w mej pamięci krótka figura profesora Rutherforda z jego assyryjską brodą, ogromnym głosem, olbrzymią pierśią i jego szczególną manierą. Był on dla nas źródłem ciągłego zdumienia. W pewnej mierze odtworzyłem jego szczególne znamiona w mej kreacji profesora Challenger. Miał on zwyczaj rozpoczynać swój wykład przed wejściem do sali wykładowej, tak, że do uszu naszych dochodziło zdanie „Są zatyczki w żyłach” lub jakaś inna podobnej treści informacja, wygłoszona gromkim głosem, zanim postać profesora ukazała się na katedrze. Był on, niestety, bezwzględny zwolennikiem wiwisekcji; co do mnie, jakkolwiek zawsze uznawałem, że w minimalnej mierze wiwisekcja bez bólu jest konieczna i bardziej uzasadniona niż np. spożywanie mięsa, rad jestem, że wprowadzono surowe prawa dla hamowania ludzi typu Rutherforda.

Lecz najbardziej charakterystycznym człowiekiem był Joseph Bell, chirurg szpitala uniwersyteckiego. Była to postać uderzająca zarówno swym wyglądem fizycznym, jak i cechami umysłu. Był chudy, żyłasty, czarny, z ostrą twarzą, wysoko osadzonym nosem, przenikliwymi, szarymi oczyma i kanciastymi ramionami; głos miał wysoki i krzykliwy. Był to bardzo zdolny chirurg, lecz siła jego leżała w diagnozie, obejmującej nie tylko chorobę, lecz także zawód i charakter pacjenta. Dla jakichś dotąd dla mnie niezrozumiałych powodów wybrał mnie z całej rzeszy studentów, którzy odwiedzali jego sale szpitalne i uczynił swym asystentem dla sporządzania listy i wprowadzania po kolei jego pacjentów dochodzących. Do obowiązków moich należało również zanotowanie ważniejszych szczegółów, dotyczących każdego pacjenta. Zajęcie to dawało mi wiele sposobności do studiowania jego metod i spostrzeżenia, że jeden rzut oka na pacjenta mówił mu często więcej, niż moje szczegółowe badanie przy pomocy szeregu pytań. Czasami wyniki jego diagnozy miały charakter zupełnie dramatyczny, chociaż były wypadki, że się mylił,

— Przytoczę tu typowy przykład jego wnioskowania. Na salę wszedł pacjent w cywilnym stroju:

- Dzień dobry. Pan służył w wojsku?
- Tak, proszę pana doktora.
- Niedawno zwolniony ze służby?

- Tak, proszę pana.
- Z pułku szkockiego?
- Tak.
- Służbę pełnił pan w Indiach?
- Tak.

Widzicie panowie, — zwykł się był zwracać do audytorium z objaśnieniem, — jest to człowiek dobrze wychowany, lecz wszedł do sali w kapeluszu na głowie; jest to przyzwyczajenie wyniesione z armii, którego można się pozbyć po dłuższym czasie. Pewność siebie, przebijająca z całej postaci, zdradza pochodzenie szkockie; służył w Indiach, bo cierpi na elephantiasis, która jest chorobą tam rozpowszechnioną. Nic dziwnego, że studium takiego charakteru, skłoniło mnie do użycia i pogłębienia jego metod w moim późniejszym życiu, kiedy usiłowałem stworzyć typ detektywa naukowego, rozwiązującego tajemnicę danej zbrodni na podstawie punktów faktycznych a nie dzięki głupocie zbrodniarza. Bell interesował się bardzo tymi opowieściami o detektywach i poddawał nawet pewne pomysły — muszę wyznać — nie bardzo praktyczne. Pozostawałem w stosunkach z nim przez długie lata; jeszcze w r. 1901, kiedy kandydowałem do parlamentu z Edynburga, zwykł był przychodzić na moje zebrania, dla poparcia mej kandydatury.

Mówiąc ogólnie o mej karierze uniwersyteckiej, mam prawo oświadczyć, że należałem do przeciętnie dobrych słuchaczy, która przy egzaminach nie zdobywała żadnych oznaczeń, lecz też nie dawała powodów do narzekań. Ta przeciętność miała jednak swoje przyczyny, które poniżej wyłuszczę.

Jest rzeczą jasną, że zadaniem moim było nieść pomoc materialną w domu możliwie najszybciej, choćby tylko dla pokrycia kosztów mego własnego utrzymania. Dlatego niemal od samego początku mych studiów, usiłowałem odbyć studia roczne w ciągu pół roku i tym sposobem zyskać kilka miesięcy, w ciągu których mogłem zarobkować nieco jako asystent lekarski. Kiedy po raz pierwszy podjąłem się tych obowiązków, praca moja była tak mało warta, że po trzech tygodniach rozstałem się z lekarzem w Sheffield, który mnie przyjął. Po tej nieudanej próbie udałem się do Londynu, dla ponowienia mych ogłoszeń; kilka tygodni spędziłem u krewnych, mieszkających w ogrodowej dzielnicy Maida Vale. Niestety nie czułem się wśród nich dobrze; ja musiałem być dla nich zbyt cygański, zaś oni dla mnie byli zbyt konwencjonalni. Okazywali mi jednak dużo uprzejmości, tak że przez jakiś czas wałęsałem się po Londynie do woli, lecz z tak pustymi kieszeniami, że żadne pokusy nie miały do mnie przystępu. Pamiętam, że się zanosilo na jakąś wojnę na wschodzie, i że agenci werbunkowi, kręcący się dookoła Trafalgar skweru, namawiali mnie ustawicznie do wpisania się na ich listę. Była nawet chwila, że się niemal zdecydowałem, lecz plany mej matki powstrzymały mnie ostatecznie. Muszę tu dodać, że pod koniec tego samego, 1878 roku, zgłosiłem się jako ochotnik na opatrunkowego do ambulansów angielskich, wysyłanych do Turcji w czasie wojny z Rosją; figurowałem już na liście Czerwonego Krzyża i tylko klęska Turcji powstrzymała moją wyprawę.

Wkrótce jednak otrzymałem odpowiedź na jedno z moich ogłoszeń, które brzmiało mniej więcej tak: „Student trzeciego roku medycyny, któremu zależy więcej na doświadczeniu niż wynagrodzeniu, ofiaruje swe usługi, itd.” Odpowiedź przyszła od niejakiego dra Elliota mieszkającego w małej miejscinie Ruyton, w Shropshire. Przez cztery miesiące pełniłem obowiązki asystenta w tej niemal wiejskiej praktyce lekarskiej. Życie było tam tak spokojne, czasu wolnego tak wiele, że mogłem się oddać swobodnie lekturze i myśleniu, nie bez korzyści dla mego rozwoju umysłowego. Obowiązki me były rutynowe; w kilku tylko wypadkach przekroczyły przyjęte granice. Jeden z nich tkwi dotąd w mej pamięci, gdyż stanowił pierwszą poważną próbę mej samodzielności i wytrzymałości nerwów w nagłej potrzebie. Jednego dnia, podczas nieobecności lekarza, wpadł na wpół obłąkany z przerażenia służący z pobliskiej

rezydencji prywatnej, donosząc, że podczas jakiejś gromadnej rozrywki nastąpiła eksplozja małej armatki domowej, raniąc ciężko jednego z uczestników. Ponieważ żadnego doktora nie było pod ręką, ja musiałem się udać na miejsce wypadku. Przybywszy tam, zastałem w łóżku jegomością z kawałkiem żelaza, tkwiącym w boku jego głowy. Nie zdradzając żadnego wrażenia, bez dłuższego namysłu szarpnąłem za odłamek i wyciągnąłem go w całości z rany; dostrzegłszy na jej dnie białą kość nienaruszoną, zapewniłem obecnych, że mózg jest nietknięty. Z kolei zatamowałem krwotok i opatrzyłem ranę, tak, że kiedy doktor nareszcie się zjawił, nie miał już, nic do roboty. Wypadek ten natchnął zaufaniem nie tylko mnie samego, lecz co ważniejsza, innych. Na ogół czas spędzony w Ruyton minął bardzo miło a pamięć doktora Elliota i jego żony nie zatarła się we mnie po dzień dzisiejszy.

Po zimowej pracy w uniwersytecie, z nadejściem następnego lata otrzymałem zajęcie asystenta u znanego lekarza w Birmingham, dra Hoare, z płacą dwa funty miesięcznie, mieszkaniem i utrzymaniem (z wyjątkiem drugiego śniadania, na które otrzymywałem dwa pensy dziennie). Lekarz ten miał ogromną praktykę wśród uboższej ludności miejskiej, zarabiając przeciętnie około trzech tysięcy rocznie; zważywszy, że opłata za wizytę wynosiła trzy i pół szylinga, a flaszeczka lekarstwa półtora szylinga, łatwo wywnioskować, ile wizyt trzeba było odbyć i flaszeczek lekarstwa spreparować i sprzedać, by osiągnąć rzeczony dochód. Doktor Hoare był miłym człowiekiem, zażywnym, barczystym, z czerwoną twarzą, bujnym zarostem i czarnymi oczami. Żona jego była również bardzo miła i uczynna, tak że rychło poczułem się u nich, jak w domu. Lecz praca była bardzo ciężka i wyczerpująca przy skąpej płacy. Każdego dnia musiałem preparować około stu flaszeczek lekarstwa. Na ogół myliłem się rzadko, chociaż zdarzało się, że wręczałem puszki z maścią i pudełeczka z pigułkami, które prócz dokładnych wskazówek co do użycia, nie zawierały nic więcej. Musiałem także odwiedzać rekonwalescentów najuboższej dzielnicy; te wizyty dały mi sposobność przyjrzeć się z bliska największej nędzy. Dwukrotnie pełniłem te obowiązki u dra Hoare, przy czym stosunki moje z jego rodziną zacieśniały się coraz więcej. Podczas mej drugiej bytności, moja wiedza medyczna wzrosła poważnie, — brałem udział w cięższych wypadkach i położnictwie. Na marnowanie pieniędzy czasu nie miałem i nie żaliłem się na to, gdyż każdy grosz był potrzebny w domu.

W tym samym roku przekonałem się po raz pierwszy, że pieniądze można zarobić nie tylko przez napełnianie rurek i flaszek. Ktoś z przyjaciół zauważył, że listy moje były bardzo żywe, że zatem powinienem napisać coś, celem spieniężenia mych zdolności. Muszę wyznać, że na ogół aspiracje literackie odzywały się we mnie silnie i że umysł mój wykonywał sporo pracy, która zdawała się być bezcelową. Pamiętam, że obok sklepiku, gdzie zwykle nabywałem przekąskę na drugie śniadanie, była maleńka antykwarnia z pełną skrzynią starych książek, nad którą widniała karta z napisem: „Każda książka za dwa grosze”. Otóż dość często nabywałem jakiś skarb za cenę mego drugiego śniadania, tak, że w chwili, w której piszę te słowa, oczy moje spoczywają na półce, na której znajdują się dzieła Tacyta w przekładzie Gordona, Homer w tłumaczeniu Pope’a, dzieła Temple’a i Swifta tudzież „Spectator” Addisona, wszystkie wyłowione z owej skrzyni dwugroszówek. Ktoś obcy, kto by śledził moje upodobania literackie, mógłby sądzić, że taki posiew powinien był wydać bujny plon, lecz co do mnie samego, nigdy nie marzyłem, aby się zdobyć na przyzwoitą prozę; stąd uwaga mego przyjaciela, który nie miał zwyczaju bawić się w pochlebstwa, zaskoczyła mnie bardzo. Nie namyślając się jednak wiele, usiadłem przy stoliku i napisałem krótką powiastkę pełną przygód, której dałem tytuł: „Tajemnica Doliny Sassassa”. Ku wielkiemu i radosnemu zdziwieniu przyjęło ją znane pismo „Chamber’s Journal” i przysłało mi trzy gwineje (63 szylingi). Fakt, że inne próby nie wydały tak pomyślnych wyników, był dla mnie bez znaczenia. Pocięszała mnie myśl, że co się udało raz, może się udać znowu. Wprawdzie upłynął szereg lat zanim nowy mój utwór ukazał się na łamach „Chamber’s Journal”, lecz w roku

1879 wydrukowałem „Opowiadanie Amerykanina” w piśmie „London Society”, za które otrzymałem również skromne honorarium. Oczywiście myśl o wielkim powodzeniu literackim była mi obca i daleka, mimo tych zachęcających wyników.

Przez ten cały czas warunki materialne mej rodziny nie poprawiły się, gdyby nie moje wycieczki zarobkowe oraz pomoc mych sióstr, trudno byłoby związać koniec z końcem. Ojciec zaniemógł obłożnie i beznadziejnie; musiał nie tylko rzec się zajmowanej posady, lecz udać się do domu zdrowia, w którym spędził ostatnie lata swego życia. W rezultacie ja, chłopak dwudziestoletni, zostałem głową dużej, borykającej się z niedostatkiem rodziny. Życie mego ojca to była jedna wielka tragedia nierozwiniętych zdolności i niewypełnionych zamierzeń. Jak każdy z nas posiadał słabości przy bardzo wybitnych cechach i zaletach. Mężczyzna wysokiego wzrostu, z długą brodą, wytworny, oznaczał się wdziękiem w obejściu z innymi, rzadko spotykanym. Posiadał żywy i bardzo urozmaicony dowcip, przy uderzającej delikatności uczuć i myśli, dającej mu odwagę opuszczenia każdego towarzystwa, obrażającego tę delikatność. Kiedy umarł w kilka lat później, nie zostawił po sobie złej pamięci, zaś w tych, którzy go znali najlepiej pozostało współczucie na myśl, że zrzadzeniem twardego losu ten człowiek wielkiego talentu i wrażliwości artystycznej, znalazł się w otoczeniu, nie odpowiadającym zgoła jego usposobieniu. Rodzina musiała cierpieć za jego brak zmysłu praktycznego, który w pewnej mierze był wynikiem jego rozwoju duchowego. Przez całe życie do samego grobu był gorącym katolikiem. Natomiast matka moja, która nigdy nie była zbyt wierną córką tej wielkiej instytucji, jaką jest kościół rzymsko-katolicki, oddalała się z czasem od niej coraz więcej, aż wreszcie przeszła do kościoła anglikańskiego.

W tym miejscu kilka słów muszę poświęcić mojemu rozwojowi duchowemu, podczas tych lat ciągłej walki. Wykazałem już, mówiąc o Jezuitach, że zdrowa i lepsza część mej natury występowała od wczesnej młodości przeciw ciasnej teologii poglądom wrogim wobec wielkich innych religii świata. Według kościoła katolickiego wątpić o jednym znaczy wątpić o wszystkim; bowiem zwątpienie, uznane za grzech śmiertelny, opanowuje daną jednostkę, rozluźnia w niej całe wiązanie wiary, tak, że odtąd patrzy ona na cały cudowny schemat współzależności nowymi, bardziej krytycznymi oczami. Mimo to było dla mnie w katolicyzmie rzymskim wiele momentów pociągających, a więc: jego tradycje, jego nieprzerwany, uroczysty rytuał, piękno i prawda jego wielu obrządków, jego poetycki apel do uczuć, zmysłowy czar muzyki, światła i kadzidła, wreszcie jego potęga jako narzędzia ładu i porządku; jako przewodnik bezmyślnego i niewykształconego świata, jest on istotnie nieprzewyższony, jak tego dowodzą dzieje Paragwaju i dawnej Irlandii, w której, pominiawszy rozruchy agrarne, zbrodnia była prawie nieznaną. Wszystko to oczywiście dla mnie jasne; jeśli jednak posiadam jakąś charakterystyczną cechę, to jest nią niechęć połowicznego traktowania spraw religijnych; sprawy te były dla mnie tak poważne, że ilekroć miałem w tej dziedzinie coś do oświadczenia, mogłem powiedzieć tylko, co w danej chwili uznawałem w głębi mej istoty za prawdę, nawet gdyby dane oświadczenie miało szkodzić moim sprawom osobistym.

Należy pamiętać, że były to lata, kiedy Huxley, Tyndall, Darwin, Herbert Spencer i John Stuart Mili, byli naszymi głównymi myślicielami, że nawet przeciętny zjadacz chleba odczuwał wpływ ich myśli; nieodparty i przemożny, o ile chodziło o młodego studenta, wrażliwego i rwącego się do życia.

Dziś wiem, że ich postawa negatywna była bardziej błędna i o wiele bardziej niebezpieczna niż postawy pozytywne, atakowane przez nich całą mocą druzgocącego krytycyzmu. Między nami i pokoleniem ojców naszych otwarła się przepaść tak gwałtownie i nagle, że kiedy Gladstone występował w obronie sześciu dni stworzenia lub gadareńskich wieprzy, najmłodszy ze studentów parskał śmiechem na jego dowody, do których zbiccia nie trzeba było wcale umysłu

Huxsleya. Najgorszymi wrogami religii są ci, którzy protestują przeciw jakiegokolwiek rewizji lub modyfikacji tej masy materiału, wartości zarówno najwyższej, jak i wątpliwej, którą zamykamy w jeden zwarty tom, rzekomo jednolity co do wartości. Należy uznać, że zawartość jego nie jest czystym złotem, lecz rudą złotą; kto to zrozumie, ten nie odrzuci całości z momentem, gdy się natknie na glinę, lecz będzie cenił tym bardziej złoto, oddzielone od gliny własnym trudem i zachodem.

Powtarzam, że nie katolicyzm wyłącznie, lecz całe chrześcijaństwo stało mi się obojętne i zawiodło mnie do agnostycyzmu, który jednak nigdy nie przerodził się w ateizm, gdyż nie zatraciłem nigdy poczucia cudownej równowagi wszechświata i tej olbrzymiej mocy, której istnienie to poczucie dopuszcza. We wszystkich mych zwątpieniach zachowywałem poszanowanie tych spraw, które nigdy nie opuszczały mej myśli; lecz im więcej myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w mej nieprawowierności. Z bardziej ogólnikowego stanowiska zostałem unitariuszem, z tym zastrzeżeniem, że w stosunku do Biblii okazywałem więcej krytycyzmu niż przeciętny unitariusz. Ta postawa negatywna stała się z czasem tak mocną, iż uważałem ją za kres mego rozwoju; w rzeczywistości okazała się ona tylko przystankiem węzłowym na drodze życia, które w pewnej chwili kazało mi zamienić utarty trakt na nową drogę. Dziś widzę wyraźnie, że każdy materialista jest rezultatem wstrzymanego rozwoju. Jest to człowiek, który uprzętnął gruz i rumowisko, lecz nie zaczął jeszcze budować swego przybytku. Co do wiedzy psychicznej, znałem ją tylko z rozpraw sądowych, demaskujących szarlatanów, tudzież zwyczajnych sensacyjnych artykułów w prasie. Lata całe miały upłynąć, zanim pojąłem, że na drodze tej wiedzy można znaleźć pozytywne dowody, które zgodnie z moim stałym przekonaniem stanowiły jedyny warunek mojej ponownej wiary w świat niewidzialny. Dowód oczywisty jest dla mnie niezbędny, gdyby to bowiem była kwestia ślepej wiary, mógłbym poprostu wrócić do wiary mych przodków. Nigdy nie uwierzę w nic, co się nie da stwierdzić dowodem. „Wszystko zło religii ma swe źródło w wierze w rzeczy, których nie można udowodnić”. Tak sobie powiedziałem w owym czasie i postanowieniu temu pozostałem wierny.

Nie chciałem pozostawić w umyśle czytelnika wrażenia, że życie moje było ponure lub niemoralnie ciężkie wskutek moich trosk i kłopotów. Na szczęście natura obdarzyła mnie usposobieniem żywym, tak, że nie pomijałem żadnej sposobności zabawy i rozrywki, którym się chętnie i z zapalem oddawałem. Czytałem dużo, uprawiałem wszystkie możliwe gry sportowe, tańczyłem zawzięcie i uczęszczałem do teatru, o ile tylko kieszeń pozwalała na wyrzucenie sześciu groszy na galerię. Raz przy takiej właśnie okazji padłem ofiarą zajścia, które mogło się skończyć fatalnie. Stałem na stopniach schodków, wiodących do drzwi na galerię; za mną stał długi sznur publiczności, oczekującej na otwarcie; w tym stłoczonym tłumie było jakieś pół tuzina żołnierzy, z których jeden ścisnął tak mocno dziewczynę przypartą do muru, że ta zaczęła krzyczeć. Ponieważ było to blisko mnie, zwróciłem uwagę żołnierzowi, aby się zachował łagodniej, na co ten zajechał mnie łokciem między żebra, że zaś przy tym zwrócił się ku mnie twarzą, poczęstowałem go w twarz obiema pięściami. Wywiązała się mimo ścisku bójka, w ciągu której inny żołnierz uderzył mnie w głowę trzciniową laską. W tym samym momencie otworzyły się drzwi galerii i fala tłumy oddzieliła mnie od pozostałych żołnierzy; korzystając z tego pchnąłem mego napastnika w otwarte drzwi a sam wróciłem do domu, gdyż pozostanie na miejscu nie wróżyło nic dobrego. W ten sposób wywinąłem się szczęśliwie z bardzo nieprzyjemnego zajścia.

Czas jednak przejść do mojej pierwszej przygody, która wymaga bardziej szczegółowego opracowania.

IV

POŁÓW WIELORYBÓW NA OCEANIE PÓŁNOCNYM

**STATEK „NADZIEJA” — JOHN GRAY. — SZTUKA BOKSOWANIA. — ZASTĘPCA
KAPITANA — NASZ ZBRODNIARZ. — WIDOK PIERWSZEJ KOBIETY. — HURAGAN. —
NIEBEZPIECZEŃSTWA RYBOŁÓSTWA. — TRZY KĄPIELE W OCEANIE
PODBIEGUNOWYM. — ŁÓDŹ PRÓŻNIAKÓW. — ŁOWY NA WIELORYBA. — UROK
STREFY PODBIEGUNOWEJ. — SKUTEK PODRÓŻY.**

W roku 1880 odbyłem siedmiomiesięczną wyprawę na morze podbiegunowe na statku „Nadzieja”, pod wodzą znanego łowcy wielorybów, Johna Graya. Wziąłem udział w tej wyprawie w charakterze chirurga; że jednak miałem zaledwie dwadzieścia lat a moja wiedza medyczna nie przekraczała zasobu wiadomości przeciętnego słuchacza trzeciego roku medycyny, myślałem często z zadowoleniem o tym, że wiedza ta nie była wystawiona na poważniejszą próbę w ciągu tej podróży.

Zdarzyło się to mnie więcej tak. Pewnego słotnego popołudnia siedziałem w Edynburgu, ślęcząc nad jakąś książką, przygotowując się do jednego z tych egzaminów które zatruwają życie studentom medycyny, kiedy nagle wpadł do mnie jeden ze znajomych studentów, nazwiskiem Currie i zapytał mnie prosto z mostu:

— Chciałbyś wyruszyć na przyszły tydzień pod biegun na wieloryby? Będziesz pełnił obowiązki chirurga okrętowego, z płacą dwóch i pół funta miesięcznie i trzy szylingi od każdej tony oleju.

To niespodziewane pytanie wytrąciło z mej głowy wszelką myśl o dalszym studium.

— Skąd wiesz, że to w ogóle możliwe? — zapytałem.

— Gdyż ja sam zawarłem umowę z kapitanem; obecnie widzę, że nie mogę się wybrać i szukam kogoś, ktoby mnie zastąpił.

— Skądże ja wezmę odpowiedni strój i ekwipunek?

— Weźmiesz moje.

— W kilka minut nastąpiła ugoda i tak krótka jedna chwila skierowała bieg mego życia na nowy tor.

Po upływie jakiegoś tygodnia znalazłem się w Peterhead, zajęty pakowaniem mojego skromnego dobytku, przy pomocy gospodarza statku, w przegródce zamkniętej pod moją koją, na okręcie „Nadzieja”.

W bardzo krótkim czasie przekonałem się, że głównym zadaniem chirurga jest dotrzymanie towarzystwa kapitanowi, którego stosunek do reszty załogi ogranicza się do krótkich technicznych pogadanek. Byłoby to nieznośne, gdyby nie fakt, że kapitan „Nadziei”, John Gray, był człowiekiem niezwykle, doskonałym marynarzem i poważnie myślącym Szkotem, z którym rychło zawarłem bliską przyjaźń, niezmaconą niczym w ciągu całej wyprawy. Dziś jeszcze stoi mi w oczach jego postać prosta i muskularna, z twarzą ogorzałą i zbitą wiatrem, z kędzierzawym włosiem i brodą. Milczący, sardoniczny, czasem surowy lecz ludzki i sprawiedliwy.

Co do załogi „Nadziei” pamiętam jeden zabawny szczegół. Człowiek, który się zgodził na stanowisko zastępcy kapitana, był małym, schorzałym i wyniszczonym, zgoła niezdolnym do pełnienia przyjętych obowiązków. Natomiast pomocnik kucharza, był olbrzymem, cery brązowej, z rudą brodą, olbrzymiej siły, z głosem jak grzmot. Otóż, jak tylko okręt, opuścił port, mały i

zniedołężniały zastępcę kapitana zniknął z pokładu i pełnił przez cały czas wyprawy obowiązki kuchcika, podczas gdy kuchcik — olbrzym pojawił się na pokładzie i objął obowiązki zastępcy kapitana. Rzecz miała się tak, że pierwszy posiadał wprawdzie odpowiedni certyfikat, lecz był za stary i za słaby, podczas gdy kuchcik, który nie umiał ani czytać, ani pisać, był marynarzem jakich mało; toteż jak tylko okręt znalazł się na pełnym morzu, zamienili oni swoje stanowiska z obopólną zgodą, tudzież z wiedzą kapitana i kucharza.

Colin Mc Lean, ze swoim wzrostem sześciu stóp, ze swoją tęgą, wyprostowaną figurą, ze swoją rudą brodą, był stworzonym na marynarza, co znaczy więcej, niż wszystkie certyfikaty. Jediną jego wadą była gwałtowność, która sprawiała, że mały powód przyprawiał go często o szal. Pamiętam jak dziś jeden wieczór, spędzony na trzymaniu go z dala od gospodarza statku, który nieroztropnie skrytykował jego nieudany atak na wieloryba. Obydwaj mieli w czubie, co jednego pobudziło do sprzeczki, zaś drugiego przyprawiło o szal; że zaś we trójkę siedzieliśmy w bardzo ciasnej izdebce, nic dziwnego, że miałem pewną trudność w powstrzymaniu rozlewu krwi. Co jakiś czas, właśnie w chwili, kiedy myślałem, że niebezpieczeństwo już minęło, gospodarz powtarzał z uporem swoje niedorzeczne: „Bez nijakiej obrazy, Colin, to ci mogę powiedzieć, że gdybyś był ździebko rychlej tę rybkę...”. Nie pamiętam ile razy rozpoczynał on to zdanie, lecz wiem, że nigdy nie dokończył, gdyż na słowo „rybkę” Colin chwycił go za gardło, zaś ja Colina w pół i zmagaliśmy się aż do zupełnego wyczerpania. Kiedy gospodarz ochłonął, rozpoczynał na nowo owo nieszczęsne zdanie, „rybka” dawała hasło nowego ataku. Mam głębokie przekonanie, że gdyby nie moja obecność, skończyłoby się pobiciem gospodarza, gdyż Colin był rozgniewany do szalu.

Mieliśmy na statku pięćdziesięciu ludzi; połowa z nich była pochodzenia szkockiego, zaś druga połowa pochodziła z Wysp Szetlandzkich; ci wyspiarze byli ludźmi spokojniejszymi, bardziej uległymi i uprzejmymi; natomiast marynarze szkoccy, choć trudniejsi do kierowania, posiadali więcej męstwa i charakteru. Stąd Szkoci zajmowali wyższe stanowiska na okręcie, oni też rzucali harpuny; natomiast wyspiarze szetlandzcy mieli pod swą pieczę łodzie, którymi kierowali z jak największą sprawnością.

Jeden tylko członek załogi nie był Szkotem, ani nie pochodził z Wysp Szetlandzkich; był on tajemnicą dla wszystkich. Wysoki, śniadej cery, czarnych oczu, z kruczą brodą i czupryną, rysów uderzająco pięknych, odznaczał się dziwnym chodem, któremu towarzyszyło podrzucanie ramion. Mówiono, że pochodził on z południowej Anglii, skąd miał rzekomo uciec przed karzącą ręką sprawiedliwości. Nie przyjaźnił się z nikim, mówił rzadko, lecz był jednym z najsprawniejszych marynarzy. Z wyglądu wnosilem, że musiało być w jego usposobieniu coś szatańskiego, tudzież, że zbrodnia, która kazała mu się ukrywać, musiała być ciężka. Raz tylko mieliśmy sposobność przekonać się naocznie o jego skrytej gwałtowności. Kucharz, ogromne, mocne chłopisko, miał swój własny zapasik rumu, z którego korzystał tak szczerze, że przez trzy dni z rzędu obiad całej załogi był nie do spożycia. Trzeciego dnia nasz milczący wyrzutek podszedł do kucharza z mosiężną patelnią w rękę i nie mówiąc ani słowa, wymierzył mu tak potężny cios, że głowa kucharza wybiła dno patelni, której krąg boczny zawisł na jego szyi. Na pół pijany i pół ogłuszony kucharz zaczął coś mamrotać o walce, lecz przekonawszy się, że sympatia załogi jest po stronie przeciwnika, oddalił się zrzędząc do kuchni, podczas gdy milczący pogromca popadł w swe zwyczajne zamyślenie. Od tej chwili nikt się nie żalił na kucharza.

Wspominałem już o gospodarzu; ilekroć myślę o tej wyprawie, w ciągu której noga nasza nie postąpiła na lądzie przez siedem miesięcy, miła twarz Jacka Lamba zawsze mi staje przed oczyma. Posiadał on bardzo piękny i sympatyczny głos tenorowy, którego słuchałem nieraz godzinami; lubował się szczególnie w patetycznych i sentymentalnych pieśniach, że zaś tylko ten, kto przez

sześć miesięcy nie widział twarzy kobiecej może pojąć czym jest sentyment, przeto każda sentymentalna piosenka budziła w nas wszystkich jakiś słodki niepokój, pamiętny mi po dziś dzień. By ocenić czym jest kobieta, należy stracić ją zupełnie z oczu na pół roku. Pamiętam doskonale, że kiedyśmy się zbliżali w drodze powrotnej do brzegów północnej Szkocji, przepływalismy koło latarni morskiej, odległej o jakichś kilkaset sążni od brzegu. Na sygnał dany przez naszą banderę wynurzyła się z wnętrza jakaś postać, w celu odsygnalizowania; w tej samej chwili podniecony szept przebiegł poprzez nasz pokład „To niewiasta”. Kapitan stał na swym pomoście z teleskopem. Ja nałożyłem okulary. Każdy patrzył z największą ciekawością. Była to kobieta powyżej pięćdziesiątki, w krótkiej spódnicy i wysokich butach, lecz dla każdego z nas była „niewiastą”. — Cokolwiek, byle w czepku — powiadali marynarze a ja przyznawałem im w duchu słuszość.

Widzę jednak, że wyprzedzam bieg wypadków. Notatnik mój mi mówi, żeśmy rozpięli żagle dnia 28 lutego o godzinie drugiej popołudniu. W porcie Peterhead zegnały nas hałaśliwie wielkie tłumy. Pokład statku był czysty jak na jachcie; na ogół odbiegał bardzo od mojego uprzedniego wyobrażenia. Zaraz na wstępie zaskoczyła nas burzliwa pogoda, tak, że ledwie zdołaliśmy schronić się na czas do portu w Lerwick przed nadciągającym huraganem takiej siły, że o mało nie zerwał naszego statku z kotwicy. Gdyby nas dopadł o kilka godzin wcześniej, byłibyśmy na pewno stracili łódzie, bez których statek wielorybiczny jest do niczego. Dopiero 11 marca wypogodziło się na tyle, że mogliśmy puścić się w dalszą drogę. Do tego czasu zebrało się w małej zatoce jakieś dwadzieścia statków, tak, że wyprawa nasza przybrała poważne rozmiary. Pamiętnej nocy statek nasz musiał szukać schronienia w wąskiej zatoce jednej z małych wysepek. Następnego dnia udałem się na brzeg i błądziłem po wysepce, spotykając dziwne, półbarbarzyńskie, lecz bardzo uczynne postacie wyspiarzy, nie mających pojęcia o świecie. W drodze powrotnej na statek wiodła mnie dzika dziewczyna, niosąca pochodnię, gdyż przedzieranie się między torfowiskami groziło niebezpieczeństwem utonięcia. Do dziś stoi mi w pamięci jej postać, jej długie, skołtunione, czarne włosy, jej gołe nogi, brudna poplamiona kiecka i dzikie rysy twarzy, zaostrzone w blasku pochodni.

Pierwszą moją niespodzianką co do strefy podbiegunowej była szybkość z jakąśmy dostali się w jej obręb. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że jest ona tak bliska. O ile pamiętam, w cztery dni po opuszczeniu Wysp Szetlandzkich, znaleźliśmy się wśród płynącej kry lodowej. Jednego poranka zbudziły mnie głucho uderzenia w ściany statku; wyszedłszy na pokład, dojrzałem całe morze, aż do krańców widnokregu, pokryte łomami lodu. Łomy te nie były wielkie, lecz płynęły tak gęsto obok siebie, że zręczny człowiek mógł po nich wędrować, przeskakując z jednego na drugi. Ich rażąca oczy białość czyniła morze drogą kontrastu bardziej niebieskim, zaś kontrast ten, uzupełniony błękitem nieba i czystym powietrzem podbiegunowej strefy, dawał wrażenie niezapomniane. Na jednym z takich rozchybotanych, rozkołysanych łomów lodowych dostrzegliśmy raz olbrzymią fokę, lśniącą, leniwie ospałą, patrzącą na statek z zupełnym spokojem, jakby była świadomą, że czas ochrony miał trwać jeszcze całe trzy tygodnie. Innym razem dojrzeliliśmy na lodzie ślady stopy niedźwiedziej. Zaś wszystko to oglądały nasze oczy w czasie, gdy zabrane ze Szkocji pierwiosnki zachowały jeszcze swą świeżość w kloszach, ustawionych w kajutach.

Wspomniałem powyżej o czasie ochrony; winienem tu wyjaśnić, że na mocy umowy między rządem Norwegii i Wielkiej Brytanii, obywatele tych dwóch państw nie mają prawa polować na foki przed 3 kwietnia. Powodem tego jest fakt, że czas łęgu przypada w marcu, gdyby zaś matki zabito, zanim młode mogą sobie poradzić, cały gatunek rychłoby wyginął. Na czas łęgu wszystkie foki gromadzą się w jednym z góry upatrzonym, lecz zawsze innym miejscu; że zaś miejsce to znajduje się w obrębie kilkuset mil kwadratowych pływającego lodu, stąd nie łatwo je

wysledzić. Rybacy wyszukują je w następujący sposób. Skoro tylko załoga statku, posuwającego się wśród kry lodowej, dostrzeże gromadkę fok, notuje na mapie przy pomocy kompasu ich kierunek. Co jakiś czas ukazuje się nowa gromada; jej kierunek zaznacza się podobnie na karcie; po nakreśleniu kilku takich linii należy je przedłużać dopóki się nie przetną, zaś punkt przecięcia wskazuje mniej więcej dokładnie punkt zborny pływających fok.

Miejsce to przedstawia niezwykle widok. Mam wrażenie, że jest to najliczniejsze zebranie żywych istot na świecie; i pomyśleć, że odbywa się ono na otwartych obszarach pól lodowych, w odległości setek mil od wybrzeży Grenlandii, gdzieś między 71 i 75 stopniem szerokości geograficznej, o ile bowiem chodzi o długość geograficzną jest jeszcze trudniej ją oznaczyć; mimo to foki znajdują je bez trudności. Z gniazda na szczycie masztu widzi się ich nieprzeliczoną ilość; na najbardziej dalekim dla oka łomie lodu czernieją one, jak ziarenka pieprzu. Dookoła leżą również młode, podobne do śnieżno białych ślimaków z czarnymi noskami i wielkimi, ciemnymi oczami. Ich na wpół ludzkie krzyki wypełniają nieustannie powietrze; człowiekowi siedzącemu w kajucie okrętu znajdującego się w samym środku tego wiecu fok, może się wydawać, że jest w sąsiedztwie jakiejś potwornej dzieciarni.

Nasz statek był jednym z pierwszych w owym roku, który odnalazł miejsce zebrania fok; zanim jednak nadszedł okres łowów, mieliśmy szereg burz, które strącały młode przedwcześnie w odmęt wód, tak, że kiedy nareszcie zbliżył się termin określony prawem, natura w wielkiej mierze nas wyręczyła, pozostawiając nam niewiele do roboty. Mimo to o świcie trzeciego dnia kwietnia, załoga statku udała się na pole lodowe dla zbierania krwawego żniwa. Robota to haniebna i brutalna, lecz w istocie nie wiele różna od tej, której wyniki zaopatrują nasz stół w mięso. A jednak te szkarłatne kałuże na wyiskrzonych bieli lodowcowej, pod spokojnym, milczącym błękitem nieba podbiegunowego, zdały się być czymś wstępnym. Lecz nieubłagany popyt pociąga za sobą nieubłaganą podaż i te biedne foki śmiercią swoją pomagają do życia długiemu szeregowi marynarzy, robotników w dokach, garbarzy, skórników, handlarzy łoju i oleju, którzy zajmują miejsce pośrednie między tą doroczną rzezią i tymi, którzy nabywają przerobione i wykończone artykuły.

Pamiętam dobrze ten pierwszy dzień łowów na foki, wskutek przypadków, których doświadczyłem. Jak już wspomniałem panowała dość silna burza, która pędząc jeden lodozwał na drugi czyniła pobyt na polu lodowym niebezpiecznym, zwłaszcza dla człowieka tak niedoświadczonego, jak ja. Dlatego kapitan kazał mi wrócić na pokład w chwili, kiedy wraz z innymi drapałem się przez przedmoście. Moje prośby i przekonywania nie zdawały się na nic, tak, że w końcu usiadłem na poręczy przedmościa w jak najgorszym usposobieniu, zwiesiwszy nogi na zewnątrz, kołysząc się w takt rozchybotanego statku. Nie zauważyłem jednak, że siedziałem na cienkim płacie lodu, którym wierzch poręczy był pokryty; nagle, w pewnej chwili, gdy podmuch wichru wyniósł statek tak wysoko, że znalazł się on pod kątem ostrym, zjechałem prościutko w odmęt morza, dając nurka między dwie kry lodowe. Kiedym się wynurzył na powierzchnię uczepiłem się jednego z nich i wkrótce znalazłem się z powrotem na pokładzie. Przypadek ten spełnił jednak moje życzenie, gdyż kapitan oświadczył, że skoro mam się kapać, to lepiej bym to uczynił z kry lodowej, niż z pokładu statku. Że jego pierwotna ostrożność nie była bezpodstawną, to udowodniłem, wpadając dwukrotnie do wody tego samego dnia, tak, że w końcu pełen wstydu musiałem iść do łóżka, podczas gdy moje garnitury suszyły się w izbie maszynisty. Pocięchą moją w tym niepowodzeniu był fakt, że rozbawiło ono kapitana do tego stopnia, iż niewiele myślał o niepowodzeniu łowów, rozweselony przygodą „wielkiego nurka północy”, jak mnie od tego czasu nazywał. Raz tylko później znalazłem się w wielkim niebezpieczeństwie, kiedy cofnął się w tył za brzeg płynącej kry, na której zdejmowałem skórę z zabitej foki. Oddaliłem się wtedy od reszty towarzyszy, tak, że nikt nie dostrzegł mego upadku.

Powierzchnia lodu była tak gładka i śliska, że nie miałem się czego uczeplić, by się wydobyć z wody, w której ciało me po prostu drętwiało. Nareszcie udało mi się uchwycić tylną płetwę fokii; z kolei powstała kwestia, czy ja wciągnę fokę do wody, czy bezwładny ciężar fokii pozwoli mi się wydobyć na wierzch. W końcu wygramoliłem się i potoczyłem w stronę cielska fokii. Pamiętam, że kiedy dostałem się na statek, odzienie moje było twarde i sztywne jak zbroja, tak, że musiałem stać przy ogniu zanim zdołałem je zdjąć.

Przedmiotem tych łowów kwietniowych są samice i młode. Później w maju udają się dalej na północ, gdzie między 77 i 78 stopniem szerokości nie są wcale łatwym łupem. Są one bardzo ostrożne, tak, że trzeba dobrego strzału na daleką odległość, by je trupem położyć. W czerwcu łowy na fokii się kończą, zaś statek posuwa się jeszcze dalej na północ, aż w końcu między 79 i 80 stopniem szerokości wkracza w ojczyznę prawdziwych grenlandzkich wielorybów. Spędziliśmy tam jakieś trzy miesiące z bardzo zmiennym szczęściem, gdyż jakkolwiek ścigaliśmy sporo wielorybów, zabiliśmy tylko cztery.

Statek wielorybniczy posiada osiem łodzi, lecz zazwyczaj tylko siedem opuszcza okręt, gdyż łódź każda wymaga sześciu ludzi, tak, że po spuszczeniu siedmiu łodzi, zostają na pokładzie tylko tzw. „próżniacy”, to znaczy ci z załogi, którzy nie pełnią służby marynarskiej. Zdarzyło się jednak, że na pokładzie „Nadziei” próżniacy tworzyli dość obrotną gromadkę, która się rwała iść na ochotnika; spuszczone zatem ósmą łódź, która zarówno w łowach na fokii, jak i podczas połowu na wieloryby, spisała się bardzo chwacko. Gospodarz statku, drugi maszynista, kotlarz i ja, byliśmy przy wiosłach; harpuniarzem był rudowłosy góral szkocki a sternikiem nasz przystojny wyrzutek społeczny. Nasze łowy na fokii przyniosły wcale pokazny rezultat, zaś co do wielorybów, łódź nasza raz rzucała harpun, a raz wykonywała atak lancami. Nie mieliśmy się zatem czego wstydzić. W istocie zajęcie to tak mi przypadło do smaku, że kapitan Gray ofiarował mi zajęcie harpuniarza i chirurga z podwójną płacą, o ile wziął bym udział w jego następnej wyprawie. Dobrze się stało, że odmówiłem, gdyż życie to jest pełne niebezpiecznego uroku.

Podpływanie do wieloryba jest rzeczą bardzo zajmującą. Wioślarz jest wprawdzie zwrócony tyłem do niego, tak, że wiosłujący wiedzą o nim tylko tyle, ile zdołają wyczytać z twarzy sternika. Ten patrzy ponad głowy wioślarzy, śledząc potwora płynącego na powierzchni wód, podnosząc dłoń od czasu do czasu na znak, że należy przestać wiosłować, gdyż oko potwora zatacza krąg badawczy, wreszcie dając hasło do posuwania się chyłkiem dalej: Ilość płynących łomów lodowych jest tak wielka, że o ile wiosła nie są w ruchu, sam widok łodzi nie płoszy wieloryba. I tak łódź pod pływa z wolna, aż znajduje się w punkcie dostatecznie bliskim do wysłania harpuna. Wioślarze dostrzegają nagły błysk w oczach sternika, który woła „Śmiało, chłopcy! Śmiało! Z całej siły!”. Słychać trzask cyngla i harpun wypada z wielkiej lufy; woda pieni się wokół wiosł, których sześć uderzeń wpędza czoło łodzi na coś miękkiego, co odbija od siebie i łódź i wiosła. Lecz wiosłujący nie troszczą się o to, gdyż w chwili, w której łódź dotknęła cielska wieloryba, usłyszeli huk działa i zrozumieli, że harpun znalazł się w głębi tej bryły ołowianego koloru. Potwór zapadł w głąb jak kamień, przód łodzi zanurza się raz po raz w odmiecie, lecz ruch chorągiewki, umieszczonej w środku łodzi i warkot odwijanej z szaloną szybkością liny dowodzą trafności strzału.

I teraz następuje chwila wielkiego niebezpieczeństwa; rzadko grozi ono ze strony wieloryba; bezpieczeństwo zależy od normalnego odkręcania się liny, którą nawija zawsze specjalnie trzymany w tym celu zawodowy nawijacz; gdyby lina się splątała i zaczepiła o kogoś z wiosłujących, jest on stracony i chyba tylko przecięcie liny mogłoby go uratować, choć i to jest bardzo wątpliwe, gdyż zanim by to nastąpiło, ofiara byłaby już zbyt głęboko w wodzie.

— Stój! — krzyknął raz w takim wypadku harpuniarz na wioślarza, który zamierzył się nożem na linę, — większy pożytek z ryby, niż z topielca dla wdowy! Brzmi to bardzo cynicznie, lecz zdanie to zawiera dużo praktycznego sensu.

Łódź, z której wypada harpun, nie ma nic więcej do roboty. Natomiast „lancowanie”, to znaczy dobijanie wieloryba długimi lancami stalowymi trwa dłużej, stąd jest bardziej zajmujące. Przez jakieś pół godziny jest się tak blisko schwytanego wieloryba, że można go dotykać dłońią. Ma się wrażenie, że wieloryb jest zupełnie nieczuły na ból, gdyż najmniejszym ruchem nie reaguje na pchnięcia długimi lancami. Lecz instynktownie trzepie on swym ogonem i usiłuje uderzyć nim w łódź, podczas gdy wioślarze, wiedzeni również instynktem samozachowawczym, starają się trzymać łódź wzdłuż jego boku i jak najbliżej głowy. Lecz raz okazało się, że nawet ta pozycja nie jest wolna od niebezpieczeństwa, gdyż wieloryb uniósł w górę swą olbrzymią płetwę boczną, pod którą nagle znalazła się nasza łódź. Jedno uderzenie tej płetwy posłało by nas na dno morza i nie zapomnę nigdy ruchu naszych rąk, którymi zasłaniałiśmy się od ciosu, jakby ręce nasze zdołały go odparować. Na szczęście wpływ krwi zbyt osłabił wieloryba, tak, że płetwa zamiast spaść na łódź, zawinęła się w stronę przeciwną, co dowodziło, że potwór przestał żyć. Był to jednak moment, którego nie wymienilibym za żaden inny triumf myśliwski.

Szczególne wrażenie innego świata, które się odczuwa w strefie podbiegunowej, wrażenie trwające przez całe życie, jest w dużej mierze wynikiem ustawicznego światła dziennego. Pora nocna ma wprawdzie światło przyćmione, lekko pomarańczowego koloru, lecz różnica nie jest zbyt wielką. Mówiono mi, że niektórzy z kapitanów odwracali zupełnie rozkład godzin, każąc podawać śniadanie późnym wieczorem, a obiad o dziewiątej z rana. Tu bowiem człowiek rozporządza pełnymi 24 godzinami i może je rozkładać do woli. Po jakichś dwu miesiącach oczy zaczynają odczuwać zmęczenie, tak, że człowiek poznaje kojącą wartość zmroku. Pamiętam, że kiedy zbliżyliśmy się do Islandii w drodze powrotnej, widok pierwszej gwiazdy sprawił na mnie tak silne wrażenie, że nie mogłem dość napatrzeć się tej rozmigotanej drobinie świata. Powszedniość zabija połowę piękna przyrody.

Poczucie samotności wzmacnia również wrażenia, wyniesione z mórz podbiegunowych. Kiedy przebywaliśmy w ojczyźnie wielorybów, nie było zapewne prócz nas żadnej istoty ludzkiej w promieniu jakichś ośmiuset mil angielskich. Przez siedem długich miesięcy nie doszła nas żadna wieść z południa. Opuściliśmy ten świat w okolicznościach bardzo niespokojnych. Anglia podjęła właśnie kampanię w Afganistanie, a wojna z Rosją zdała się nieuniknioną. Wracaliśmy w stronę Bałtyku, bez wiedzy, czy jakiś krążownik nie obejdzie się z nami tak, jak my z wielorybami. Kiedy spotkaliśmy pierwszy statek rybacki na północ od Wysp Szetlandzkich, dowiedzieliśmy się o zdarzeniach tych długich siedmiu miesięcy, więc o klęsce Maiwanda i słynnym marszu Roberta z Kabulu do Kandahar. Lecz wszystkie te wypadki przedstawiały się nam dość mgliście, zaś co do mnie, nigdy nie zdołałem sobie wyrobić jasnego poglądu o tym szczególnie naszych dziejów militarnych.

Ustawiczna jasność, rażąca oczy biel lodu, głęboki błękit wody i suche, rześkie, radosne powietrze, które samo oddychanie zamienia na rozkosz, to są momenty, wrażliwe się najsilniej w pamięć. Poza tym nieliczna ilość ptactwa morskiego, wszystkie odmiany mewy śmieszki i rybitwy, które wypełniają powietrze, łagodzą samotność, podobnie jak dziwaczne twory, wychylające się raz po raz z głębi wód. Spotkanie z wielorybem, który jest przedmiotem łowów i handlu, nie jest zbyt częste, lecz pomniejsze jego odmiany, z handlowego punktu widzenia nie przedstawiające żadnej wartości, widzi się ciągle. Do takich należą skrzeloryb, który dźwiga bezcelowo 90 stóp bezwartościowego łaju, wiedząc, że żaden łowca się na to nie pokusi, dalej wieloryb — garbus, wreszcie upiorny biały wieloryb; występują w tych wodach także liczne potworne stworzenia, jak narwał, piła, krwiożerczy grampus, grenlandzki ludojad itp. Zaś na

powierzchni lodowej widzi się foki, wodne i lądowe, łąkopłazy i olbrzymie nosowozy, długie na dwanaście stóp, które w rozdrażnieniu wydymają olbrzymie czerwone banie, zwisające im z nosów, jak worki. Czasami można dojrzeć białego lisa podbiegunowego i pod dostatkiem białych niedźwiedzi. Kra lodowa w pobliżu miejsc, gdzie się gromadzą foki, poznaczona jest śladami tych nieszkodliwych mieszkańców lodów. Dla schwywania foki wędrują one setki mil po lodzie; ich przemyślna metoda łowów polega na upatrzeniu obszernego pola lodowego, na którym jest tylko jedna przerębel; nad tym otworem przykuca niedźwiedź, otaczając go przednimi, potężnymi łapami. Kiedy głowa foki się wynurza, łapy się zbiegają i biały miś ma swój obiad. Czasami paliliśmy odpadki kuchenne pod kotłem statku; zapach tej spalenizny sprowadzał wkrótce całą gromadę niedźwiedzi w nasze sąsiedztwo.

Jakkolwiek są lata, w których jakieś dwadzieścia lub trzydzieści wielorybów wpada w ręce łowców na morzu Grenlandii, zdaje się, że liczne łowy w ciągu ostatniego stulecia, zmniejszyły bardzo ich liczbę, tak dalece, że liczba ta nie dochodzi zapewne tysiąca. Oczywiście mam namyśli gatunek, przedstawiający wartość handlową, gdyż innych jest dość. Oczywiście jest rzeczą bardzo trudną ustalić bodaj w przybliżeniu liczbę gatunku, który przenosi się z miejsca na miejsce, lecz fakt, że ten sam wieloryb jest ścigany przez ten sam statek podczas kilku wypraw, dowodzi, że liczba ich musi być ograniczoną. Pamiętam, że był jeden,

którego szczególnym znamieniem była narośl na ogonie, wielkości i kształtu ula pszczelego. Kiedyśmy spuścili łodzie dla udania się w pościg, kapitan zawołał: „Trzy razy gonilem tę bestię; w roku 1871 po prostu uciekł; w 1874 mieliśmy go już w rękach, kiedy harpun, nie dosięgłszy widocznie wnętrza, przerwał cielsko i wysliznął się; w roku 1876 uratowała go mgła. Ale tym razem nam się nie wymknie”! Ja nie miałem tej pewności i okazało się, że miałem rację; mam też wrażenie, że ten ogon obnosi jeszcze swą brodawkę po dziś dzień, po obszarach mór podbiegunowych.

Nigdy nie zapomnę chwili, w której zobaczyłem pierwszego wieloryba właściwego gatunku. Dostrzegł go najpierw marynarz, postawiony w tym celu na drugim końcu pola lodowego, obok którego zatrzymał się nasz statek. Kiedyśmy ruszyli na pokład, spłoszony widocznie potwór dał nurka. Przez jakieś dziesięć minut czekaliśmy na jego wynurzenie się ponowne, tak, że zniechęcony, przestałem patrzeć we właściwym kierunku, kiedy nagły okrzyk zdumienia zmusił mnie do spojrzenia w górę, gdzie dostrzegłem całego wieloryba w powietrzu. Jego ogon był skrecony, tak, jak ogon pstrąga w skoku, a całe cielsko barwy ołowiu było ponad powierzchnią wody. Zdziwienie nasze było zupełnie uzasadnione, gdyż kapitan, który odbył trzydzieści wypraw na wieloryby, nigdy nie widział podobnego zjawiska. Kiedy schwytaliśmy go okazało się, że całe jego ciało było pokryte pasożytującymi raczkami wielkości kilku centymetrów; widocznie swędzenie całego ciała przyprawiło potwora o napad szału. Człowiek bez rąk, z liczną gromadą pcheł na plecach, umiałby ocenić tę sytuację.

Obok przygód łowieckich, okolice podbiegunowe posiadają swoisty, niezapomniany urok. Rozumiem doskonale tego starego łowcę wielorybów, który pozostawiony na chwilę na łożu śmierci, zerwał się i ruszył przed siebie tak, że go dopędzono w znacznej odległości od domu, mrużąc do siebie „płynę na północ”. Podobnie biały lis podbiegunowy, którego jeden z moich znajomych starał się oswoić, uciekł i wpadł w potrzask leśniczego w kilka miesięcy później w Caithness, w północnej. Szkocji. On także gnał na północ, lecz któż może powiedzieć jakim kompasem wiedziony?

Czyste są te obszary białych lodów i błękitu wód, ponad którymi płynie powiew ludzkim oddechem niezeepsuty. Ale jest w tej strefie także coś romantycznego. Stoi się tam na rubieży nieznanego, gdyż każda kaczka zastrzelona nosi w swym pępuszku kamyki z łądu, którego nie ma na mapie. Toteż opisana tu wyprawa stanowi zajmujący rozdział mej młodości.

Kiedy wsiadłem na statek byłem roślą młodzieńcem; opuszczałem go jako mocny, dorosły mężczyzna. Nie ma też żadnych wątpliwości, że to czyste podbiegunowe powietrze wpłynęło dobroczynnie na zdrowie całego mojego życia i że ono wyposażyło mnie w ogromny zasób niewyczerpanej wprost energii. Umysłowo i duchowo był to okres niemal zupełnej stagnacji, gdyż życie w towarzystwie dzielnych co prawda, lecz ograniczonych nieokrzeszańców, jest z natury rzeczy bardzo jednostronne. Lecz za to zyskałem zdrowie i zarobiłem więcej grosza, niż się spodziewałem. Pod wieloma względami byłem jeszcze młodym figlarzem, gdyż pamiętam, że wyładowałem wszystkie kieszenie mych ubrań sztukami złota, aby sprawić matce więcej przyjemności przy ich wydobywaniu. Na ogół powiększyłem jej skromny trzosik o jakieś pięćdziesiąt funtów.

Po powrocie zabrałem się z zapałem do ostatniego egzaminu, który złożyłem pomyślnie pod koniec zimowego półrocza w r. 1881, otrzymawszy tym sposobem dyplom lekarza medycyny i chirurgii, stanąłem na progu mej kariery zawodowej.

V

PODRÓŻ DO AFRYKI ZACHODNIEJ

STATEK „MAYUMBA”. — NIEPOGODA. — NIEBEZPIECZEŃSTWO. — HANNO I JEGO OPIS PODRÓŻY. — ATLANTYDA. — KRAINA ŚMIERCI. — ŻÓŁTA FEBRA. — DZIWNA RYBA. — MISJONARZE. — NIEBEZPIECZEŃSTWO ZBYTKU. — WARIACKI CZYN. — POŻAR OKRĘTU. — Z POWROTEM W ANGLII.

Jednym z moich zamiarów po otrzymaniu dyplomu była podróż na okręcie w charakterze lekarza; dawało to sposobność rozejrzenia się po świecie i zarobienia trochę grosza, bez którego trudno mi było myśleć o rozpoczęciu praktyki na własną rękę. Dwudziestokilkuletniego lekarza nikt nie bierze na serio, a chociaż wyglądałem na więcej, musiałem pomyśleć o sposobie spędzenia kilku najbliższych lat. Plany moje były bardzo ogólnikowe; gotów byłem wstąpić chwilowo do armii, do marynarki lub do służby w Indiach, byle tylko znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Nie spodziewałem się znaleźć miejsca na statku osobowym i niemal zapomniałem, że podałem swe nazwisko na liście kandydatów jednej kompanii okrętowej, kiedy nagle otrzymałem telegram, wzywający mnie do Liverpool, dla objęcia stanowiska lekarza na okręcie „Mayumba”, należącym do „African Steam Navigation Company” i wyruszającym niezwłocznie w podróż do wybrzeża Afryki Zachodniej. W ciągu tygodnia stanąłem na miejscu wezwania a dnia 22 października 1881, ruszyliśmy w podróż.

„Mayumba” był małym parostatkiem, o pojemności około 4000 ton; w porównaniu z 200-tonową „Nadzieją” wydawał się olbrzymem. Był to statek handlowy, wożący różnorodne towary do Afryki a przywożący stamtąd olej palmowy, orzechy palmowe, kość słoniową i inne produkty tropikalne.

Posiadał miejsce dla jakichś dwudziestu do trzydziestu pasażerów, których zdrowie powierzono mej pieczy, za cenę dwunastu funtów miesięcznie. Obycie z morzem bardzo mi się przydało, gdyż wyruszyliśmy podczas okropnej burzy, która po opuszczeniu przez nas Kanału Mersey, przybrała taką gwałtowność, że na noc musieliśmy się schronić do Holyhead. Następnego dnia przy fatalnej niepogodzie puściliśmy się dalej. Mam po dziś niezbite przekonanie, że ocalałem statek od nieszczęścia, kiedy bowiem stałem w pobliżu marynarza pełniącego straż, nagle dostrzegłem w przerwie mgły zarys latarni morskiej. Nie lubię czynić niepotrzebnego alarmu, lecz, mając przekonanie, że okręt powinien być dobrze na prawo od latarni, dotknąłem ramieniem strażnika i ukazując mu mglisty zarys latarni, zapytałem: „Czy to w porządku?” Biedak o mało nie podskoczył, gdy oko jego spoczęło na wskazanym przedmiocie; krzyknął gromko na załogę i wydzwonił sygnał do maszynisty. O ile pamiętam, latarnia nosiła nazwę Tuskar i statek nasz pędził prosto na jej skalne fundamenty, skryte w gęstej ulewie i mgle.

Do kapitanów miałem jakieś szczęście, gdyż Gordon Wallace, kapitan „Mayumby” był jednym z najlepszych, jakich spotkałem, tak, że utrzymywałem z nim stosunki przyjazne przez długi czas. Pasażerowie nasi przeważnie płynęli na Maderę; było jednak kilka miłych pań, które się udawały do portów wybrzeża afrykańskiego, tudzież kilku niemiłych handlarzy Murzynami, którzy jako stali pasażerowie kompanii, musieli być tolerowani. Niektórzy z tych handlarzy mieli ogromne dochody, wynoszące po kilka tysięcy funtów rocznie, będąc jednak ludźmi bez kultury, wydawali pieniądze na rozpustę, pijaństwo i nedorzeczne zbytki. Pamiętam, że jednego z nich zęgnęła w Liverpoolu cała gromada dam półświatka.

Burza towarzyszyła nam całą drogę przez Kanał i Zatokę, co zdaje się jest rzeczą normalną w tych stronach i o tej porze roku. Wszyscy chorowali, więc nie mogłem próżnować. Pięknej pogody doczekaliśmy się jeszcze przed przybyciem na Maderę. Kto przez cały tydzień brodził po kostki w wodzie, ten umie ocenić przyjemność spaceru po suchym pokładzie. Podczas niepogody brakowało mi bardzo tego garnituru,

który nosiłem podczas wyprawy na wieloryby, tym bardziej, że zaledwie zakosztowaliśmy pogody, dopadła nas burza gorsza od poprzedniej; całe szczęście, że płynęliśmy z wiatrem; co chwila jednak zalewała nas olbrzymia grzebieniasta fala atlantycka, fosforyzująca podczas nocy, tak, że zdawało się, iż pokład zalewa ogień. Toteż z radością po tygodniu takiej burzy ujrzelśmy porwane szczyty górskie Porto Sancto, leżącego nieopodal Madery i z uczuciem ulgi zarzuciliśmy kotwicę w zatoce Funchal. Było już ciemno, kiedy zawinęliśmy do portu, lecz światła domów miejskich dodawały nam otuchy. Ciemny horyzont przerzynała tęcza księżycowa, zjawisko, którego nie widziałem ani przedtem, ani później.

Następnym miejscem naszego postoju była Teneryfa, a raczej port tej wyspy Santa Cruz. W tych czasach prowadził ten port wielki handel koszenilą, produkowaną z owada hodowanego na kaktusach. Zasuszone, dostarczały one barwnika tak cennego, że paczka tych owadów kosztowała wtedy przeciętnie 350 funtów; przypuszczam, że obecny przemysł anilinowy w Niemczech zabił ten handel tak doszczętnie, jak przemysł mineralny zabił wyprawy łowieckie na wieloryby. W dzień później stanęliśmy w Las Palmas, skąd, patrząc wstecz, można się rozkoszować widokiem słynnego szczytu Teneryfy, oddalonego o jakieś sześćdziesiąt mil. Opuściwszy Las Palmas, znaleźliśmy się w najrozkoszniejszej części oceanu, rzadko wzburzonego, lecz zawsze falującego i spienionego, z niebem stale wypogodzonym. Z dnia na dzień upał wzrastał, a kiedy dotarliśmy do wyspy De Los przy wybrzeżu Sierra Leone, zacząłem zdawać sobie sprawę z tropikalnego upału. Dość powiedzieć, że serwetka przy posiłku położona na kolanie zostawia na białych spodniach wilgotną plamę, aby mieć pojęcie o przyjemnościach tej strefy.

Dziewiątego listopada dopłynęliśmy do Freetown, stolicy Sierra Leone, pierwszego naszego przystanku w porcie afrykańskiego kontynentu. Wygląd tej miejscowości jest bardzo miły, mimo, że jest to siedlisko śmiertelnych chorób. Tu pożegnaliśmy nasze miłe towarzyski podróży; żegnaliśmy je tym smętniej, że życie białych kobiet na tym wybrzeżu jest nawet krótsze, niż białych mężczyzn. Oczywiście mówię o czasach malarii i żółtej febry przed czasem, w którym Ronald Ross i inni sławni lekarze podjęli olbrzymi i tak skuteczny trud ich zwalczania i zapobiegania. W ósmym dziesięcioleciu ubiegłego stulecia było to miejsce istotnie okropne, tak, że rozpacz, tająca się w sercach białych mieszkańców tych stron, w dużej mierze była odpowiedzialna za pijaństwo, któremu ci sami ludzie w zdrowszej okolicy na pewno by się nie oddawali. Rok pobytu był najdłuższą próbą wytrzymałości Europejczyka. Pamiętam, że spotkałem tylko jednego osobnika zdrowo wyglądającego, który mi oznajmił, że bawi tam już trzy lata. Kiedy mu wieszowałem odporności organizmu, potrząsnął głową i rzekł: „Jam człowiek skazany na śmierć; cierpię na rozwiniętą już chorobę Brighta”. Przychodziło mi na myśl, że niewiadomo, czy te kolonie warte są ceny, którą za nie trzeba zapłacić.

Z Sierra Leone udaliśmy się do Monrowii, stolicy murzyńskiej republiki Liberyjskiej, która, jak sama nazwa wskazuje, została założona głównie przez zbiegłych niewolników. O ile mogłem stwierdzić, panował w niej jaki taki ład, chociaż, jak każda mała społeczność, posiadała cechy komicznej zarozumiałości. Tak np. w czasie wojny francusko-pruskiej, Liberia miała rzekomo wysłać swą jedyną łódź, pełniącą normalnie obowiązki straży celnej, reprezentującą równocześnie oficjalnie marynarkę państwową. Zatrzymała ona brytyjski statek pocztowy, dla przesłania oświadczenia do Europy, że w toczącym się sporze nie weźmie żadnego udziału.

Krajobraz całego wybrzeża jest bardzo jednostajny, gdyż zarówno Wybrzeże Kości Słoniowej i jak Wybrzeże Żółte posiadają te same cechy: rozpalone słońce, wzbита spieniona fala, pas złotego piasku a dalej wzdłuż niego niskie, zielone krzewy z drzewem palmowym tu i ówdzie. Kto widział jedną milę tego krajobrazu, widział ich tysiące. W chwili kiedy piszę te słowa, te wszystkie porty, w których zatrzymywaliśmy się na postój, Grand Bassam, Cape Palmas, Accra, Cape Coast Castle, tworzą jeden i ten sam obraz w mym umyśle. Jeden tylko szczegół zachował się w mej pamięci. W jakiejś małej osadzie, której imienia nie pomnę, przybiegł do nas młody, rosły Walijczyk, krzycząc w widocznym podnieceniu, że mu się jego murzyni zbuntowali i że nastają na jego życie. „Ot, tam czekają na mnie”! Woła, ukazując na czerniejącą w oddali gromadkę. Ofiarowaliśmy mu miejsce na okręcie, lecz na to oświadczył, że nie może porzucić swego mienia. Przynieśliśmy mu, że pošemy z Cape Coast Castle kanonierkę. Często się zastanawiałem podczas ostatniej wojny, jak sobie tacy ludzie radzili, gdy Anglia musiała odwoływać swą flotę ze wszystkich niemal placówek, dla odparcia niebezpieczeństwa niemieckiego.

W nocy wybrzeże to znaczone jest ogniskami osad murzyńskich; niektóre z tych ognisk przybierają ogromne rozmiary, dzięki zwyczajowi palenia kawy. Jest rzeczą ciekawą, że Hanno, jedyny z pisarzy starożytnej Kartaginy, którego urywek dochował się do naszych czasów, wspomina także w opisie swej podróży wzdłuż tego wybrzeża o ogniskach, widzianych w nocy. Ponieważ mówi on o gorylach, jest rzeczą prawdopodobną, że dotarł aż do Gabonu. W podróży swej widział czynne wulkany, zapewne te, których szczątki można dziś oglądać w Fernando Po, miejscowości wulkanicznej. W czasach podróży Hanna wszystkie wzgórza okoliczne były czynnymi wulkanami, tak, że podróżnik ten nie miał odwagi wysiąść na ląd. Czasami przychodziło mi na myśl, czy ostatni kataklizm Atlantydy nie zdarzył się znacznie później, niż sądzimy. Wzmianka Plutona ustala jego datę na 9000 lat przed Chrystusem, lecz jest możliwym, że katastrofa ta odbywała się stopniowo i że ostatni jej akt był tym, o którym wspomina Hanno. Wypadki przezeń opisane miały się zdarzyć w pobliżu miejsca, gdzie rzekomo istniał stary ląd.

Nasze statki, płynące wzdłuż wybrzeża, są dość nieobliczalne. Raz ruszyliśmy w dalszą drogę, mimo, że około stu krajowców było na pokładzie. Było zabawnie patrzeć, jak jeden przez drugiego dawali nurka i płynęli ku swym łódkom. Jeden z nich miał cylinder, parasol i wielki obraz Zbawiciela, przedmioty zakupione na statku. Lecz nawet one nie przeszkodziły mu w osiągnięciu czółna. W innym małym porcie, nie mając czasu do stracenia, wyrzucono cały zapas belek na beczki do wody, w przekonaniu, że prędzej czy później krajowcy je wyłowią. W jaki jednak sposób istotny właściciel miał je odebrać, o tym nie mam pojęcia. Czasem krajowcy odnosili z tego korzyść.

Musiałem i ja spłacić haracz miejscowemu klimatowi, gdyż widzę, że dziennik mój urywa się na pewien czas, pod datą 18 listopada. Dotarliśmy do Lagos, gdzie zapadłem na ciężką febrę. Pamiętam, że dowlokłem się jakoś do mej koi, a potem wszystko się zatarło w mej pamięci. Ponieważ ja byłem lekarzem, nie było nikogo, kto by się mną mógł zająć, więc przeleżałem kilkanaście dni, zmagając się cały czas ze śmiercią. Że z walki tej wyszedłem zwycięsko to dowodzi siły mego organizmu. Nie pamiętam żadnych przeżyć duchowych, żadnych majaceń, żadnego strachu, nic, tylko duszącą mgłę, z której się wynurzyłem słaby jak dziecko. Atak był bardzo ciężki i jeszcze nie byłem zbyt zdrowy, kiedy dowiedziałem się, że jeden z towarzyszy podróży, który zapadł równocześnie ze mną, stał się ofiarą tej strasznej choroby.

W tydzień później znalazłem się już pełen energii, choć jeszcze jako rekonwalescent, na rzece zwanej Bonny* River, która nie ma nic wspólnego z tym szkockim przymiotnikiem, gdyż wygląd cuchnącej wody brunatnego koloru i szeroko rozlanych bagnisk, nie był wcale pociągający.

* bonny w gwarze szkockiej oznacza wszelki dodatni przymiot, przyp. tłum.

Krajowcy tej okolicy byli zupełnie dzicy; składali oni ofiary ludzkie ludojadom i krokodylom. Kapitan nasz słyszał nieraz przeraźliwe krzyki ofiar, wleczonych do wody; innym razem widział on na własne oczy czaszkę ludzką, wystającą z ogromnego mrowiska. Łatwo jest naśmiewać się z misjonarzy, lecz bez ich poświęcenia nie można by mówić o jakimkolwiek postępie wśród tych ludzi.

Zatrzymaliśmy się w Fernando Po a następnie w przystani bardzo miłej osady, zwanej Victoria, prawie opartej o wysoki grzbiet Kamerunu. Obowiązki misjonarskie pełniła tu bardzo miła młoda Szkotka, która wprawdzie nie zamieniła tubylców w aniołów, lecz cywilizowała ich na prawdę. Osada ta leży w pięknej zatoce, usianej wysepkami; dookoła niej rozciągają się lasy. Krajobraz jest wyjątkowo odmienny i miły dla oka po długiej monotonii. Przez jakiś czas miejscowość należała do Niemiec, lecz obecnie wróciła w posiadanie Francuzów, którzy jako koloniści nie są raczej zbyt pożądanymi sąsiadami. Wysiadłem na chwilę w tej przystani na ląd i dotąd nie zapomniałem wrażenia, jakie na mnie uczynił olbrzymi niebieski motyl, którego w locie uważałem za ptaka.

Dla dostania się do miejscowości Old Calabar musieliśmy płynąć jakieś sześćdziesiąt mil kanałem śródlądowym, zwanym Old Calabar River. Kanał był tak wąski, że mogliśmy chwytać za gałęzie drzew rosnących na brzegu. Czatowałem na pokładzie ze strzelbą w rękę, w nadziei, że ujrzę jakiegoś aligatora, lecz choć nieraz dostrzegłem podejrzany wir w wodzie, nie miałem szczęścia. Old Calabar była to największa i najzamożniejsza miejscowość wśród tych, które odwiedziliśmy, lecz i tu przemożna dłoń śmierci leżała na wszystkim, a życie płynęło pod hasłem: „Jedz, pij i baw się!” I tu spotkaliśmy pełną poświęcenia młodą pionierkę cywilizacji. Oczywiście cywilizacja zyskuje, ale fakt, że te ofiary młodego życia kobiecego są konieczne, budzi dziwne uczucia.

Postarałem się tam o czółno i udałem się w górę, do miejscowości zwanej Creektown. Po obu brzegach rzeki rozciągały się straszne, mroczne moczary, budzące grozę. Ma się wrażenie, że samo złe czai się tam dokoła. W pewnej chwili dojrzałem na odosobnionym drzewie, otoczonym wodą, węża cielistego koloru, długości prawie trzech stóp, który wyglądał jak samo wcielenie złośliwej jadowitości. Strzeliłem i widziałem jak się osunął w wodę martwy. Później w życiu zarzuciłem zupełnie zabijanie zwierząt, ale zabicie tego węża nigdy nie niepokoilo mego sumienia. Creektown leży na terytorium miejscowego kacyka, który przysłał rozkaz, abym się stawił z moimi towarzyszami przed jego oblicze; ponieważ czas nasz był ograniczony, a wizyta nie wróżyła nic dobrego, w odpowiedzi ujęliśmy za wiosła i rychło wróciliśmy na terytorium wód brytyjskich.

Jednego poranka zaobserwowałem ciekawe zjawisko. W pobliżu statku ukazała się duża ryba, kształtu wstęgi długiej na jakieś cztery stopy. Ponieważ miałem strzelbę pod ręką, strzeliłem do niej. W kilka sekund po moim strzale, znacznie większa ryba wypłynęła się z głębi, porwała zranioną rybę w pół i pociągnęła w głąb. Oto dowód, jak morderczy jest głód i jak czujny na każdą łatwą zdobycz. Coś podobnego widziałem raz jeszcze w akwarium; jedna z ryb uderzyła się tak mocno głową w szklaną ścianę basenu, że najwidoczniej osłabła; najbliższa jej sąsiadka skorzystała z tego natychmiast, pożerając ją w jednej chwili. W Calabar pokazano mi dziwną rybę, zwaną torpedą elektryczną. Podają ją na małej glinianej miseczce; jest koloru szarego i wynosi około pięciu cali, wystarczy jednak dotknąć jej grzbietu, by podskoczyć na metr w górę.

Wrażenie, że Afryka to kraj śmierci, wzrastało we mnie z dnia na dzień. Czuję, że biały człowiek, ze swymi nawykami i systemem życiowym, był tu intruzem, który musiał ginąć i ginął jak komar, na tym olbrzymim, słońcem spalonym kontynencie. Za to życie na statku było wygodne i nawet zbyt wygodne jak dla młodego człowieka, którego czekało borykanie się z losem. Wygoda przedwczesna wyniszcza w człowieku energię. Pamiętam doskonale, że myślałem nad

tym raz, stojąc na pomoście w czasie szalejącej burzy; czułem że rok lub dwa takiego życia, pozbawiłby mnie energii, niezbędnej do zdobycia powodzenia. Myśl o sukcesie literackim nie powstała nigdy w mej głowie. Myślałem oczywiście o zawodzie lekarskim, co do którego nie miałem złudzeń, gdyż pobyt w Birmingham przekonał mnie, jak długa i żmudna jest droga dla tych, którzy nie mają ani wpływów, ani gotowego grosza. W owej to chwili przysiągłem sobie, że nie będę się więcej włóczył po świecie; istotnie musiał to być jeden z punktów zwrotnych w mym życiu. Jeden „Wander-fahr” pomyślałem sobie może się przydać, lecz dwa mogą człowieka wykoleić. Z notatek moich widzę, że tego samego dnia wyrzekłem się używania alkoholu. Do owej chwili napitkiem nie gardziłem, zwłaszcza, że miałem niezwykle silną głowę, lecz rozum mówił mi, że to „zalewanie robaka” w Afryce kryje w sobie niebezpieczeństwo. Jest w zupełnej abstynencji pewna subtelna przyjemność, na ogół mam wrażenie, że tylko zwyczaje towarzyskie czynią to zadanie trudnym. Gdybyśmy wszyscy byli zupełnymi abstynentami, jak prawowierni Mahometanie, kwestia ta byłaby dla nas obojętną.

W Cape Coast Castle popełniłem czyn po prostu szalony. Nie wiem czy pod wpływem zwykłej brawury, czy też lekkomyślności wskoczyłem do morza i przepłynąłem spory kawał dwukrotnie wzdłuż okrętu. Kiedy się wycierałem na pokładzie po tej kąpieli, dostrzegłem tuż koło statku trójką pływającą wynurzającego się z głębi rekina. Kilka razy w życiu popełniłem taki nierozważny czyn i to tak niepotrzebnie, że sam sobie nie mogę wytłumaczyć tej lekkomyślności.

Najbardziej inteligentnym i wykształconym człowiekiem, którego spotkałem na wybrzeżu Afryki, był murzyn, piastujący godność konsula amerykańskiego w Monrowii. Był pasażerem na naszym statku — w naszej drodze powrotnej. Stęskniony za literaturą i rozmową o rzeczach literackich, gawędziłem z nim z rozkoszą o aktualnych wielkościach literatury, uprzytamniając sobie od czasu do czasu fakt, że człowiek, z którym rozmawiam, jeśli sam nie był za młodu niewolnikiem, to na pewno był synem niewolnika i niewolnicy. Myślał on wiele na temat zagadnień Afryki i oświadczył, że „Jedyną drogą badania Afryki jest wędrowanie bez broni, w towarzystwie skąpego orszaku służby. Który Anglik patrzyłby obojętnie na gromadę obcych, uzbrojoną od stóp do głów, maszerującą przez Anglię? Krajowcy afrykańscy pod tym względem są nie mniej wrażliwi” Było to uznanie metody Livingstona, w przeciwstawieniu do metody Stanleya. Oczywiście, że pierwsza wymaga więcej odwagi i tęższego umysłu.

Ten wykształcony murzyn oddał mi wielką przysługę, gdyż mózg ludzki jako organ kształtowania własnych opinii i pojmowania opinii cudzych, wymaga ciągle pokarmu. Rzecz prosta, mieliśmy biblioteczkę na pokładzie, lecz ani zasobną, ani interesującą. Nie mam wrażenia, że podróż ta rozwinęła mnie bardzo umysłowo i duchowo, lecz bądź co bądź dała mi szereg doświadczeń, które ostatecznie w jakiś sposób przyczyniają się do utworzenia charakteru i indywidualności. Ja byłem rosnącym, dobrze zbudowanym, młodym człowiekiem, w którym radość życia pieniała się; nie było we mnie żadnej „patologicznej pobożności, lub cnoty suchotniczej”. Byłem człowiekiem wśród ludzi. Przewijałem się jak każdy wśród zasadzek i pułapek i jestem wdzięczny mym aniołom stróżom, że mnie cało przeprowadzili; stąd mam dużo współczucia dla tych, którzy nie byli tak szczęśliwymi.

Nasza podróż powrotna, podczas której przystanek w każdym porcie powiększał zasób oleju palmowego, była prawie bez przygód, i dopiero po minięciu Madery spotkała nas niemiła przygoda, mianowicie pożar okrętu. Czy przyczyną jego było zatlenie się mialu węglowego, nie zostało to rozstrzygnięte, lecz faktem jest, że ogień wszczął się w skrzyniach na węgiel, które od beczek z olejem były oddzielone tylko drewnianym przepierzeniem. Niebezpieczeństwo było groźne. Pierwszego dnia lekceważyliśmy je, twierdząc, że się coś zatliło; drugiego i trzeciego dnia zaczęliśmy polewać miejsce, gdzie się tliło i odsuwać skrzynie z węglem jak najdalej od beczek z olejem. Lecz czwartego dnia sprawa się pogorszyła. Przytoczę tu odnośny ustęp z mego

dziennika: „Dziewiąty stycznia. Wczesnym rankiem zbudził mnie płatniczy okrętu, Tom King, który wsadziwszy głowę do kajuty, oznajmił mi lakonicznie, że okręt cały stoi w płomieniach i że cała załoga jest na dnie zajęta gaszeniem ognia. Ubrałem się szybko i udałem się na pokład, gdzie prócz gęstego dymu i czerwonej łuny bijącej z dołu, nic więcej dojrzeć nie mogłem. Chciałem się udać na dno, lecz powiedziano mi, że tam już miejsca nie ma i polecono mi budzić pasażerów. Budziłem ich kolejno i muszę przyznać, że wszyscy przyjmowali wiadomość odważnie i ze spokojem. Jeden z nich, Szwajcar, usiadł na łóżku, przetarł oczy i na moją uwagę: „okręt jest w ogniu”, odparł: „Bardzo często byłem na okręcie, który był w ogniu”. „Cudowny łgarz — ale zuch!” Pomyślałem sobie. Cały dzień walczyliśmy z ogniem, od którego żelazna ściana okrętu w jednym miejscu była rozpalona do czerwoności.

Łodzie były spuszczone i zaopatrzone w żywność; w najgorszym wypadku musielibyśmy byli płynąć na łodziach do Lizbony, gdzie siostry moje miałyby ogromną niespodziankę na mój widok. Na szczęście pożar przygasł wieczorem; świadczyły o nim tylko cienkie smużki dymu. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane”.

Dnia 14 stycznia zawinęliśmy do Liverpool. Afryka Zachodnia stała się jednym ze skrawków filmowych mej pamięci. Słyszę, że warunki i stosunki w niej poprawiły się znacznie. Mój dawny przyjaciel i kolega, Sir Frederick Guggisberg, który piastuje urząd namiestnika w Accra, zaprasza mnie do odwiedzenia tych stron w zmienionych warunkach i okolicznościach. Rad bym, lecz życie krótkie a tyle jest jeszcze do zrobienia.

VI

PIERWSZE DOŚWIADCZENIA PRAKTYKI LEKARSKIEJ

DZIWNY CZŁOWIEK. — JEGO MIESIĄC MIODOWY. — PRAKTYKA W BRISTOLU. — TELEGRAM Z PLYMOUTH. — SZEŚĆ ZABAWNYCH TYGODNI. — INTRYGA. — TANIE MEBLE. — INTRYGA WYCHODZI NA JAW.

Zakończywszy pierwszy okres mych wędrówek, stanąłem wobec zadania rozpoczęcia mej praktyki lekarskiej. W książce, napisanej w kilka lat później, pod tytułem „The Atark Munro Letters”, opisałem dość szczegółowo wypadki kilku następnych lat. Odsyłam do niej ciekawego czytelnika, zaznaczając, że gdyby któryś z czytelników chciał sobie wytworzyć obraz osoby lub kariery na podstawie tej książki, to cały szereg wypadków w niej opisanych jest wytworem wyobraźni, a zwłaszcza wypadek z obląkanym i Lordem Saltire w rozdziale czwartym. Zdarzył się on nie mnie, lecz mojemu przyjacielowi. Poza tym mój cały stosunek z człowiekiem noszącym w książce nazwisko Cullingworth, jego niezwykle charakter, nasze rozstanie i jego zamiar zrujnowania mnie — wszystko to zdarzyło się zgodnie z opisem. Tu ograniczę się do podania najważniejszej treści, zachowując nazwisko wprowadzone do książki.

Zawarłem przyjaźń z tym niezwykle studentem medycyny w czasie ostatniego roku studiów w Edynburgu. Pochodził z rodziny, która wydała kilku słynnych lekarzy; ojciec był znanym specjalistą chorób infekcyjnych. Członkowie tej rodziny odznaczyli się w dziedzinie sportu mój przyjaciel był wybitnym graczem znanego klubu piłki nożnej (rugby); jedyną jego wadą było to, że wpadał w szał podczas gry. Starał się o międzynarodowe przodownictwo, a jego młodszy brat uznawany był powszechnie za jednego z najlepszych graczy angielskich.

Jego zdolności umysłowe szły w parze z jego siłą fizyczną. Był doskonale zbudowany, wzrostu pięciu stóp i dziewięciu cali, ze szczęką buldoga, głęboko osadzonymi, zawsze przekrwionymi oczyma, ocienionymi krzaczastymi brwiami i z czupryną jasnożółtego koloru jeżącą się jak szczotka. Człowiek ten nie mógł żyć bez przygód i awantur; snuł wiecznie jakieś niezwykle plany, w których wykonywaniu okazywał wiele energii i dużo woli, słowem, człowiek czynu i dużej inteligencji. Umarł on stosunkowo wcześniej; pośmiertne oględziny lekarskie wykazały pewne patologiczne cechy jego mózgu. Nie wiem dlaczego przywiązywał pewną wagę do mych rad i opinii.

Kiedy go spotkałem po raz pierwszy, był właśnie w trakcie jednej ze swych przygód, które zazwyczaj kończyły się ucieczką, lub chwilowym aresztem; w tym wypadku konsekwencje okazały się bardziej trwałe. Krótko i węzłowato, przygoda polegała na tym, że przyjaciel mój porwał nieletnią, wielkiej urody panienkę spod dachu jej opiekunów i zawarł z nią potajemnie ślub. Wobec faktu, którego żaden prawnik nie mógł zmienić, nie miał się czego obawiać, chociaż prawo nakłada w tym wypadku kary. Opowiadał później, że wzięwszy ślub, udali się do jakiejś nieznaney małej miejscowości, dla zmylenia pościgu ufarbował swe włosy na czarno. Barwnik przyjął się w jednych miejscach mniej, w drugich więcej; z tą pstrokatą czupryną musiał wyglądać jak osobnik z cyrku Barnuma. Trudno wymyślić lepszą drogę do rozgłosu niż ta, którą Cullingworth wybrał dla jego uniknięcia. Gdyby się udał do Londynu, nikt by go nie zauważył. Pamiętam, że włosy jego zachowały ten pstrokaty wygląd przez szereg lat.

Po spędzeniu miodowego miesiąca we wspomnianej zapadłej dziurze, do której się schronił, przywiózł swą żonę do Edynburga, wynajął małe mieszkanie i wprowadził się doń prawie bez mebli. Pamiętam, że obiad, na który mnie raz zaprosił, składał się ze strudla z jabłkami, zaś z

braku krzesła musiałem siedzieć na kilku grubych tomach. Zaznajomiliśmy ich z przyjaciółmi naszej rodziny, uczyniliśmy, co było w naszej mocy, by młodą żonę jakoś rozerwać, lecz po pewnym czasie małżeństwo to rozeszło się i na jakiś czas wszystko ucichło.

Niedługo przed moją podróżą do Afryki, otrzymałem od Cullingwortha telegram, w którym błagał mnie o odwiedzenie go w Bristolu, dodając, że potrzebuje mej rady. Ja byłem wtedy w Birmingham, więc bez zwłoki uczyniłem zadość jego prośbie. Przybywszy do Bristolu, znalazłem go w wielkim i pięknym domu i zaraz musiałem wysłuchać jego żalosalnej historii. Rozpoczął praktykę na wielką skalę w nadziei, że pacjenci jego ojca będą korzystać z jego usług. Okazało się jednak inaczej; pacjentów nie było, pieniądze się rozeszły, a wierzyciele oblegali go ze wszech stron. Co robić? Przez dwa dni podejmował mnie iście po królewsku, gdyż nawet w największych kłopotach człowiek ten musiał się bawić i żyć szeroko. Jedyna rada, jaką mu mogłem dać, był układ z wierzycielami. Jak się później dowiedziałem, zebrał on wszystkich wierzycieli razem, wygłosił do nich długą mowę pełną uczucia, wzruszył ich niemal do łez wymownym opisem swej niezasażonej doli i swej walki z przeciwnościami i uzyskał od nich jednomyślną zgodę na spłacenie długów wtedy, kiedy będzie mógł. To był jego sposób postępowania, który nikogo więcej nie bawił tak, jak jego samego.

W parę miesięcy po powrocie z Afryki, otrzymałem znowu telegram — człowiek ten prawie nigdy nie pisał, zawsze telegrafował — który brzmiał mniej więcej tak: „Zacząłem tu praktykę w czerwcu zeszłego roku. Powodzenie kolosalne. Przyjedź najbliższym pociągiem. Dość miejsca na dwóch. Świetne warunki”. Telegram był z Plymouth. Drugi z kolei telegram zwymyślał mnie za zwłokę i gwarantował trzysta funtów w pierwszym roku. Ponieważ to brzmiało zachęcająco — pojechałem. Wypadki następnych sześciu tygodni późnej wiosny i wczesnego lata 1882 roku, nadają się bardziej do jakiejś humorystycznej powieści, niż do poważnej, prawdomównej kroniki. Warunki jakie zastałem w Plymouth były niewiarygodne. W krótkim czasie człowiek ten, pół-geniusz i pół-znachor, zdołał wyrobić sobie praktykę, która mu przynosiła dobrych kilka tysięcy funtów w gotówce. „Bezpłatne porady — lekarstwa na miejscu” — to było jego hasło, że zaś kazał sobie dobrze płacić za lekarstwa, więc w rezultacie bezpłatne porady się opłacały. Używał on narkotyków w sposób nadmierny i ryzykowny, lecz z bardzo dodatnimi wynikami. Pamiętam wypadek, w którym wodna opuchlina ustąpiła zupełnie pod wpływem sporej dozy jakiegoś olejku; wieść o tym rozeszła się z szybkością błyskawicy. Ludzie przybywali z odległości 20 i 30 mil, tak że nie tylko jego pokój przyjąć, lecz schody i korytarze były pełne pacjentów. Jego stosunek do nich był nadzwyczajny. Krzyczał on i wrzeszczał, ryczał ze śmiechu, beształ, żartował, popychał, czasem wypędzał na ulicę, czasem przemawiał do wszystkich ze szczytu klatki schodowej. Pół dnia spędzone z nim wśród pacjentów, bawiło więcej niż najlepsza pantomina. Człowiek czuł się osłabionym ze śmiechu. Miał pod ręką stary, zniszczony tom Prawa Medycznego, które podawał jako Biblię i na tę księgę kazał przysięgać starym kobiecynom, że nie będą pić więcej herbaty. Nie wątpię, że zdziałał on wiele dobrego, gdyż kierował się zarówno wiedzą, jak i rozsądkiem, lecz sposób jego postępowania był krańcowo niekonwencjonalny. W drugim końcu korytarza siedziała jego żona, która wykonywała recepty i przyjmowała pieniądze, zgodnie z ceną wyrażoną na kartce, którą zbadany pacjent przynosił. Wieczorem Cullingworth wracał do swojej wspaniałej rezydencji poza miastem z workiem srebra pod pachą, z ogromnym, rozwianym płaszczem, zarzuconym na ramiona, z kapeluszem na bakier, szczerząc zęby do każdego lekarza, którego zgorzona twarz ukazywała się w oknie mijanego domu.

Przygotował i urządził dla mnie pokój, wyposażając go w stół operacyjny i dwa krzesła, gdzie miałem leczyć pacjentów, których leczenia sam się nie chciał podjąć. Mam przekonanie, że moja metoda zawodowa musiała być nudną w porównaniu z jego, której nie umiałbym naśladować

nawet gdybym chciał. Mimo to, na brak pacjentów skarżyć się nie mogłem: miałem wrażenie, że mogę zdobyć sobie praktykę. Raz udałem się na wieś, gdzie dokonałem operacji bardzo trudnej. Polegała ona na wycięciu raka, który się wywiązał w nosie człowieka, przywykłego do trzymania krótkiej glinianej fajki tuż pod nosem. Udany przebieg tej operacji, która nie zdeformowała nosa, zdało się być dobrą wróżbą na przyszłość.

Lecz nad niemi mego losu pracowały jeszcze inne wpływy. Matka moja była bardzo niezadowolona z mojej przyjaźni z Cullingworthem. Jej duma rodzinna była dotknięta, być może słusznie, chociaż moje wędrówki po świecie wytworzyły we mnie pewne cygaństwo obyczajowe, tak, że nie odczuwałem wtedy tych spraw. Przeciwnie, lubiłem Cullingwortha, co więcej, dziś jeszcze wspominam go z przyjemnością; podziwiałem jego zalety i znajdowałem upodobanie w jego kawałach. Ta moja postawa, która skłaniała mnie nawet do występowania w obronie mego przyjaciela, irytowała moją matkę; napisała do mnie kilka listów z wyrzutami, w których nie obwijała wcale w bawełnę swej opinii o Cullingworcie i jego charakterze. Ponieważ miałem zwyczaj zostawiania mej korespondencji na stole, listy te — jak się później dowiedziałem — przeczytał zarówno Cullingworth, jak i jego żona. Nie sądzę, że wyrządzam mu jakąś krzywdę tym oświadczeniem, gdyż ostatecznie sami się przyznali do tego dobrowolnie. Wynik był taki, że Cullingworth, który ciągle węszył jakąś intrygę przeciw sobie, doszedł do przekonania, że opinia mej matki musiała być odbiciem mojej, chociaż w rzeczywistości wywołała ją moja obrona jego charakteru. Zauważyłem, że w stosunku do mnie się zmienił, a nawet kilka razy dostrzegłszy jego ukradkowe, wyraźnie nieprzyjazne spojrzenia, zapytałem go wprost o powód tej zmiany. Oczywiście odpowiedzi nie otrzymałem, lecz nie przychodziło mi wcale na myśl, że człowiek ten dążył do zrujnowania mnie, co oczywiście materialnie byłoby bez znaczenia, gdyż nie posiadałem żadnego mienia, lecz moralnie mogło być wielką krzywdą zarówno dla mnie, jak i dla mojej matki.

Pewnego dnia przyszedł do mnie i oświadczył, że obecność moja komplikuje jego praktykę, że zatem lepiej by było, gdybyśmy się rozstali. Zgodziłem się na to bez najmniejszej obrazy, zapewniając go, że nie przybyłem wcale, aby mu szkodzić, że jestem mu wdzięczny za wszystko, co dla mnie uczynił, niezależnie od faktu, że uczynność jego nie wydała spodziewanych wyników. Z kolei zaczął mi doradzać bardzo mocno, abym rozpoczął praktykę na własną rękę. Odpowiedziałem, że brak mi kapitału. Odparł, że będzie mi pożyczał funta tygodniowo do czasu, gdy nie stanę na własnych nogach, a zwrócę dług tylko w miarę możliwości. Podziękowałem bardzo serdecznie i rozejrzawszy się po okolicy, postanowiłem spróbować szczęścia w Portsmouth; nie znałem wprawdzie tej miejscowości, lecz wnioskowałem, że stosunki tam muszą być analogiczne do tych, jakie poznałem w Plymouth. Spakowawszy całe moje mienie w jeden kuferek, wsiadłem na irlandzki parostatek w lipcu 1882 i udałem się do Portsmouth. Gotówka moja wynosiła niecałe dziesięć funtów; miała nie tylko pokryć bieżące wydatki, lecz starczyć na wynajem i umeblowanie domu. Co do życia z tygodnia na tydzień, nie troszczyłem się zbytnio, gdyż przyrzeczony funt tygodniowo wystarczał zupełnie na potrzeby osobiste; resztę kapitału tworzyły: wrodzony optymizm i młodość.

Po przybyciu do Portsmouth, wynająłem na tydzień umeblowany pokój. Zaraz pierwszego wieczoru wmieszałem się mimo woli w kłótnię, a raczej bójkę uliczną, w której stanąłem w obronie kobiety, bitej i kopanej przez jakiegoś opryszka. Niezbyt zachęcający początek, a tym dziwniejszy, że pierwszym pacjentem, który się zjawił u mnie po otwarciu praktyki, był właśnie ten opryszek. Przypuszczam, że mnie nie poznał, ja natomiast nie miałem co do niego najmniejszej wątpliwości. Z bójki wyszedłem prawie cało, rad, że obeszło się bez skandalu. Tak to już drugi raz oberwałem guza w obronie niewinności uciśnionej.

Tydzień cały upłynął mi na oglądaniu pustych domów, aż w końcu wynająłem dom pod nazwą „Busch Villa”, którego właściciel zmienił obecnie nazwę na „Doyle House”. Komornicze roczne wynosiło czterdzieści funtów. Obawiałem się w duchu, że agent może zażądać depozytu, lecz podanie nazwiska mego stryja jako „referencji” wzbudziło dostateczne zaufanie. Upewniwszy się co do domu i otrzymawszy klucz od niego, udałem się do Portsea. Tam za sumę czterech funtów nabyłem sporo starych mebli, które zaspokoiliły w zupełności moje najniezbędniejsze potrzeby. Na parterze urządziłem pokój do przyjęć, a na piętrze moją sypialnię. Następnie przybiłem tabliczkę z nazwiskiem, nabytą jeszcze w Plymouth, kupiłem na kredyt czerwoną lampkę i tak przygotowałem się do rozpoczęcia zawodu z dwoma funtami w kieszeni. Ponieważ nie stać mnie było na służbę, przeto sam czyściłem mą mosiężną tabliczkę, zamiatałem i utrzymywałem czystość w domu. Przekonałem się, że mogłem wyżyć zupełnie przyzwoicie za niecałego szylinga dziennie, byłem więc zaopatrzony na dość długi czas.

W tym czasie posłałem kilka nowel do czasopisma „London Society”, które obecnie nie istnieje, lecz wtedy było w pełni powodzenia pod doskonałą redakcją niejakiego Hogga. W kwietniowym numerze z roku 1882, wydrukowano nowelkę p.t. „Kości”, dziś na szczęście zapomnianą, zaś w numerze z poprzedniego grudnia powiastkę p.t. „The Gully of Bluemansdyke”; obie powstały pod wpływem rozczytywania się w opowiadaniach Bret Harte’a. Wraz z wymienionymi poprzednio stanowiły cały mój ówczesny dorobek. Napisałem do pana Hogga, przedstawiając mu swoje położenie i posłałem do grudniowego numeru nową powiastkę p.t. „My Friend the Murderer”. Hogg przysłał mi za nią dziesięć funtów, które odłożyłem na komorne za pierwszy kwartał. W szereg lat później, sprawił mi mniejszą przyjemność kiedy oświadczył, że wszystkie te pierwociny literackie nabył na własność i wydał następnie pod moim nazwiskiem.

Dobrze się jednak stało, że miałem te dziesięć funtów, gdyż Cullingworth, dowiedziawszy się o moich zobowiązaniach, wymierzył mi cios, który jego zdaniem powinien był mnie zgnieść. Przysłał mi on krótki list — tym razem wyjątkowo nie telegram, — w którym przyznawszy się, że czytał listy mojej matki, wyrażał swe zdziwienie, jak mogłem żywić wobec niego podobne uczucia, żyjąc pod jego dachem i oświadczał, że nie chce mieć więcej nic wspólnego ze mną. W rzeczywistości nie miał powodu do żadnego żalu, lecz gotów jestem przyznać, iż on wierzył naprawdę w istnienie takiego powodu. W każdym razie zemsta jego dowodziła nienormalności umysłu.

W pierwszej chwili byłem zupełnie oszołomiony. Lecz spaliwszy raz mosty za sobą, nie mogłem się cofać. Odpisałem Cullingworthowi z wyraźną pogardą i przestałem o nim myśleć. Faktem jest, że ponownie usłyszałem o nim dopiero w jakieś pięć lat później, kiedy doszła mnie wieść o jego przedwczesnej śmierci. Był to człowiek niezwykle i mógł być naprawdę czymś wielkim. Jego rozrzutne życie pozostawiło jego żonę prawie w biedzie.

VII

MÓJ POBYT W SOUTHSEA

**DZIWNE ŻYCIE. — PRZYJAZD MEGO BRATA. — KUPUJĘ SKLEP. — TANIA SŁUŻBA. —
DZIWNI PACJENCI. — NIEBEZPIECZEŃSTWA ZAWODU LEKARSKIEGO. — ŻART Z
WŁADZ PODATKOWYCH — MAŁŻEŃSTWO. — TRAGEDIA W DOMU. — NOWA FAZA.**

Codzienne sprzątanie w domu, otwieranie drzwi, robienie niezbędnych zakupów, udoskonalanie z dnia na dzień mojego gospodarstwa domowego, jednym słowem ciągłe zajęcie od rana do nocy sprawiało, że czas mi się nie dłużył. Jest to nieoceniona rzecz posiadać własny dom, choćby najbardziej skromny. Największą troską otaczałem pokój frontowy, by uczynić go jak najprzyjemniejszym dla pacjentów. Umeblowanie pokoju tylnego stanowił duży kufer i stołek. Wnętrze kufra służyło za spiżarnię, a jego wieko za stół. Dom był zaopatrzony w instalację gazową, tak że mogłem nad płomykiem gazowym usmażyć na patelni kawałek wędzonki, którą krajałem na bardzo cienkie plasterki. Chleb, wędzonka, herbata a czasem kielbaski — stanowiły dość urozmaicone pożywienie, które kosztowało mniej niż szylinga dziennie. Pokażną ilość narkotyków i innych środków leczniczych otrzymałem na kredyt z hurtowni: te ustawiłem w słoikach i flaszeczkach wzdłuż ścian tylnego pokoju. Od samego początku poczęła mnie odwiedzać pewna ilość pacjentów, ludzi z najuboższej klasy; jedni przychodzili wiedzeni prostą ciekawością, drudzy wskutek niezadowolenia ze swych dotychczasowych lekarzy, jeszcze inni wskutek niemożności spłacenia zaległych należności. Sprzedane lekarstwa dawały mi dość na moje własne życie, tak, że schowane funty leżały nietknięte, czekając na termin płacenia komornego. Zdarzały się dni, w których i napisane listy musiały czekać na znaczki pocztowe, lecz nawet wtedy nie ważyłem się tknąć odłożonych dziesięciu funtów. Dom mój znajdował się na rogu bardzo ładnej ulicy; z jednej strony sąsiedował z kościołem, z drugiej z dużym hotelem. Dnie upływały wcale miło gdyż jesień była ciepła i pogodna. Mogłem siedzieć w oknie skryty za firanką, śledząc ruch uliczny, oddawać się lekturze, gdyż mimo skromnych środków, zapisałem się do miejscowej wypożyczalni.

Mimo mego skromnego odżywiania się, lub może dzięki niemu, czułem się rześki i zdrowy jak nigdy, tak, że późnym wieczorem, kiedy już nie było nadziei, aby się jakiś pacjent pokazał, zamykałem dom na klucz i udawałem się na kilkumilowy spacer dla wyładowania tym sposobem nadmiaru energii. Portsmouth, miasto tak pełne asocjacji z całym imperium, jest jednym z najpiękniejszych w Anglii i nawet dziś jeszcze nie zawahałbym się szukać rezydencji w jego najpiękniejszej dzielnicy, Southsea, gdybym był zmuszony mieszkać gdzieś, poza Londynem. Dzieje przeszłości zlewają się tu z dziejami teraźniejszości w nieprzerwaną, organiczną jedność; nowa łódź torpedowa przemyka się pod blokiem starego statku „Victory”, pod tym samym białym sztandarem, zaś stare elżbietańskie armatki spoczywają w sąsiedztwie dzisiejszych olbrzymich dział. Stąd miasto to posiada ogromny urok dla każdego, kto ma jakie takie poczucie historii, poczucie, które ja wyssałem z macierzyńskim mlekiem.

Jakkolwiek nie myślałem jeszcze o tym na serio, że literatura może być polem mojej kariery, lub, że w ogóle może mi przynieść coś więcej, jak trochę przygodnego zarobku, to jednak stawała się ona czynnikiem decydującym w mym życiu, gdyż bez owych dziesięciu funtów, przysłanych przez redaktora Hogga, musiałbym albo przymierać głodem albo zarzucić myśl o samodzielnej praktyce. Kiedy czasem przenoszę się myślą w te czasy, zdejmuje mnie zdziwienie, że nie zachorowałem na szkorbut, gdyż żywiłem się przeważnie konserwami, nie mając

możności gotowania jarzyn. Lecz w owym czasie nie miałem żalu do nikogo, metodę swego życia nie uważałem za niezwykłą i nie miałem żadnych obaw co do przyszłości. Wszystko w tych latach wydaje się zajmującą przygodą, nie mówiąc już o tym, że posiadanie domu było źródłem coraz to nowych przyjemności.

Miałem raz chwilę słabości, kiedy odpowiedziałem na ogłoszenie posady lekarza w Chinach. Przez kilka dni czekałem na odpowiedź, lecz kiedy nie nadeszła, przestałem myśleć o dalszym szukaniu przygód. Innym razem musiałem zwalczyć pokusę, która obiecywała łatwe powodzenie. Moi katoliccy krewni przysłali mi list polecający do miejscowego biskupa katolickiego, informując mnie równocześnie, że w całym mieście nie ma ani jednego lekarza katolika. Nie miałem jednak złudzeń co do faktu, że mnie już prawie nic nie łączy z tym wyznaniem; lecz sumienie nie pozwoliło mi wyzyskiwać formalnej przynależności dla celów materialnych; dlatego spaliłem list polecający.

W miarę jak czas upływał, zaczęła mi się dawać we znaki samotność i przyszło mi na myśl, dlaczego ktoś z licznych kółka rodzinnego w Edynburgu nie miałby dzielić ze mną mej ośmiopokojowej samotni. Siostry były wprawdzie na posadach, lecz matka miałaby ulgę, a ja wielką pomoc, gdyby mój dziesięcioletni brat Innes zamieszkał u mnie. Od myśli do czynu nie było daleko i pewnego wieczoru młodzieniaszek zjawił się na moim progu. Trudno byłoby znaleźć miłszego i weselszego towarzysza. W ciągu kilku tygodni urządziliśmy sobie wygodną rutynę życia, według której dzień schodził nam na pracy; gdy ja zajęty byłem pacjentami, brat był w szkole. Największą jego radością byli żołnierze, których w Portsmouth zawsze można widzieć. To zamiłowanie odpowiadało, jak się okazało z późniejszej jego kariery, jego naturze, gdyż był on urodzony na wodza i administratora. Nie przewidywałem oczywiście wtedy, że ten chłopak odznaczy się w największej wojnie świata i zginie śmiercią przedwczesną, lecz ze świadomością zwycięstwa. Wtedy był w nas obydwóch jakiś duch żołnierski, gdyż pamiętam, jak niecierpliwie wyglądaliśmy obaj pod drzwiami redakcji dziennika miejscowego wiadomości o wyniku bombardowania Aleksandrii.

Już po napisaniu ustępu powyższego przerzucałem jakieś stare papiery i wśród nich znalazłem list zapisany nieudolnym pismem mego dziesięcioletniego towarzysza, adresowany do domu. List ten rzuca swoiste światło na sposób naszego życia. Nosi on datę 16 sierpnia 1882 i zawiera taki ustęp:

„Pacjenci gromadzą się tłumnie. W tym tygodniu zarobiliśmy trzy szylingi. Zaszczepiliśmy dziecko i dostaliśmy w swoje ręce suchotnika, zaś dzisiaj zaczął dzwonić do drzwi Cygan z wózkiem pełnym koszyków i krzesłek na sprzedaż. Kiedy zadzwonił dwa razy, Arthur zawołał z góry na cały głos: „Ruszaj z Bogiem!”, lecz Cygan dzwonił znowu, więc ja zbiegłem na dół i przez otwór skrzynki do listów zawołałem „Ruszaj z Bogiem!” Cygan zaczął mnie przezywać i powiedział, że chce widzieć Arthura, który cały ten czas myślał, że drzwi otwarte i wołał: „Zamknij te drzwi!” Więc poszedłem na górę i powiedziałem Arthurowi, co Cygan powiedział i Arthur poszedł na dół, otworzył drzwi i wtedy dowiedzieliśmy się, że dziecko Cygana ma odrę... Na koniec dostaliśmy od niego sześć pensów, a i to coś znaczy”.

Pamiętam dobrze to zdarzenie i nie wątpię, że moje nagłe przejście od tonu właściciela domu, trapionego przez włóczęgę, do tonu lekarza, dbałego o zarobek, musiało być zabawne. Tylko o ile mnie pamięć nie myli, Cygan dostał od nas sześć pensów, a nie my od niego.

Przez jakiś czas żyliśmy zupełnie sami, gospodarując pospołu i spędzając wieczory na długich przechadzkach. Nagle przyszło mi na myśl, że mogę odnając część mieszkania na dole, w zamian za obsługę domową i gotowanie. Zrobiłem odpowiednie ogłoszenie i spośród licznych kandydatek wybrałem dwie starsze kobieciny, które oświadczyły, że są siostrami. Ich późniejszy stosunek nie dowodził wcale siostrzanych uczuć. Kiedy się wprowadziły, dom mój zaczął mieć

wygląd bardziej normalny. Niedługo jednak powstały swary i kłótnie, tak, że jedna z gospodyń się wyprowadziła, a wkrótce i druga poszła jej śladem. Ponieważ pierwsza z nich wydała mi się sprawniejszą, postanowiłem ją odszukać i przekonałem się niedługo, że założyła ona maleńki sklepik. Ponieważ płaciła komorne tygodniowo, przeto kwestia wypowiedzenia nie przedstawiała trudności. Lecz sprawa zapasu sklepowego niepokoiła babinę. „Ja wykupię cały ten zapas”, oświadczyłem wspaniałomyślnie. Kosztowało mnie to wprawdzie siedemnaście i pół szylinga, lecz za to byłem zaopatrzony w zapalki, czernidło do butów i tym podobne rzeczy na długi czas. Od tego czasu spożywaliśmy gotowane obiady i rozpoczęliśmy życie normalne pod każdym względem.

Z miesiąca na miesiąc przybywało pacjentów, tak, że wytworzyło się coś w rodzaju niewielkiej praktyki. Czasem pomagał w tym przypadek, czasem nagła choroba, czasem nowy przybysz do miasta, lub ktoś, kto się poróżnił ze swym lekarzem. O ile mogłem robiłem znajomości, gdyż przekonałem się, że sama tabliczka nie wystarcza, że ludzie chcą wiedzieć, kto się za nią ukrywa. Niektórzy kupcy, którzy mieli we mnie stałego odbiorcę, zostali moimi pacjentami; tak np. właściciel sklepu, w którym nabywałem masło i herbatę, cierpiał na epilepsję. Biedak na pewno nigdy nie zdawał sobie sprawy z tej mieszanki uczuć, które wywoływała we mnie wiadomość o nowym ataku. Pamiętam również bardzo wysoką damę, z twarzą końską. Miała zwyczaj siedzieć w oknie swego małego domku, czyniąc wrażenie obrazu jakiejś „grande dame” w ramach. Od czasu do czasu miała napad furii, podczas którego rzucała z okna talerze na przechodniów. Byłem jedynym człowiekiem, który w takich chwilach miał na nią wpływ, gdyż na ogół była ona wyniosłą i niedostępną. Raz zamierzyła się talerzem na mnie, lecz ułagodziłem ją przybraniem postawy nie mniej godnej niż jej. Posiadała wiele cennych zabytków sztuki, którymi mnie obdarzała podczas choroby i które odbierała po wyzdrowieniu. Raz, kiedy sprawiła mi więcej kłopotu niż zwykle, otrzymałem dzbanek z lawy, bardzo pięknej roboty, który zachowałem mimo jej późniejszych protestów po dziś dzień.

Jest to wielkie szczęście, że praktyka lekarska ma swoją stronę humorystyczną, gdyż na ogół przygnębia ona niemało. Przeważna część ludzi nie rezonuje na temat religii, gdyby jednak tak czynili, przysłoby im często z trudnością pogodzić rzeczy, na które lekarz musi patrzeć, z ideą miłosiernej opatrności. Ten kto nie wierzy w wyjaśnienie, że życie ziemskie jest duchowym oczyszczeniem, przygotowaniem do życia pozaziemskiego, kto wierzy, że wszystko się kończy ze śmiercią i że życie tutaj jest naszym jedynym doświadczeniem, ten nie może zachować wiary w dobroć i wszechmoc Boga. Tak czułem w owym czasie i to poczucie uczyniło ze mnie materialistę, lecz dziś wiem, że sąd mój był jednostronny.

Przytoczę tu przykład. Jakaś biedna kobieta wezwała mnie raz do swej córki. Wszedłszy do bardzo ubogiej izdebki, zauważyłem małą, sofkę z jednej strony; gest matki dał mi poznać, że tam się chora znajduje. Podjąłem świecę i zbliżyłem się do łóżeczka, będąc pewnym, że zobaczę dziecko. Wszystko, co zobaczyłem, to była para szarych oczu, pełnych bólu i odrazy, które spojrzwały na mnie z niechęcią. Trudno było oznaczyć wiek tej istoty. Długie, cienkie członki zwinięte były w kłębek na małej sofce. Twarz była normalna, lecz zła, złowieszcza.

— Co to jest? — zapytałem matki, oddaliwszy się od chorej.

— Ot, dziewczyna dziewiętnastoletnia, — odparła biedna kobieta, dodając: — Żeby się Bóg zmiłował i zabrał do siebie! — Co za życie dla obojga! A jak trudno pogodzić się z powszechnie przyjętymi poglądami na naszą egzystencję, wobec takich wypadków!

Życie lekarza jest pełne niebezpieczeństw i zasadzek, a tzw. szczęście odgrywa poważną rolę w jego karierze. Wielu uczciwych ludzi przypawilo o zgubę proste niepowodzenie. Pewnego razu wezwano mnie do chorej, która cierpiała na ciężką niestrawność. Nie można było dostrzec żadnego, objawu, który by wskazywał na coś innego. Uspokoilem zatem rodzinę. O chorobie

wyrażałem się prawie z lekceważeniem i udałem się z powrotem do domu dla przygotowania odpowiedniego lekarstwa, wstępując po drodze dla odwiedzenia dwu innych pacjentów. Kiedy przybyłem do domu, zastałem posłańca z wiadomością, że owa chora umarła. To jest wypadek, na który każdy lekarz powinien być przygotowany w każdej chwili. Nie zrujnował on mnie, gdyż nie miałem jeszcze zbyt wyrobionej reputacji. Co do chorej, pokazało się przy oględzinach pośmiertnych, że cierpiała na wrzód żołądka, którego żadna diagnoza nie może wykryć. Wrzód ten trawił oponę żołądkową i po moim odejściu musiał przegryźć arterię, co wywołało śmiertelny krwotok. Oczywiście na to nie było ratunku i rodzina zrozumiała to doskonale.

O ile chodzi o moje dochody, wynosiły one w pierwszym roku 154 funtów, a w drugim 250 funtów; suma ta powoli wzrosła do 300 funtów, których w ciągu najbliższych ośmiu lat nie przekroczyłem, niezależnie, rzecz prosta, od dochodów z innych źródeł. Zaraz w pierwszym roku otrzymałem do wypełnienia formularz z urzędu podatkowego, który wypełniłem jak najsumienniejszym, wykazując, że dochód mój jest poniżej minimalnej skali. Otrzymałem go z powrotem ze słowami „Zupełnie niezadowolające” wypisanymi w poprzek arkusza. Pod tymi słowami dopisałem: „Zgadzam się najzupełniej” i odesłałem znowu. Za ten żart kazano mi się stawić w urzędzie, dokąd się udałem uzbrojony w moją książkę rachunkową, wykazującą każdy zarobiony grosz. Wobec tych dowodów urzędnicy nie mogli mi nic zrobić i rozstaliśmy się wśród śmiechu i obopólnych komplementów.

W roku 1885 brat mój udał się do szkoły średniej w Yorkshire, zaś ja wkrótce potem ożeniłem się. Niejaka pani Hawkins, wdowa z Gloucestershire, przybyła do Southsea z synem i bardzo miłą córką. Poznałem ją wskutek choroby syna; była to choroba nagła i gwałtowna, która się wywiązała na tle meningitis. Ponieważ mieszkanie w pokojach umeblowanych było połączone z wielu niewygodami, zaproponowałem przeniesienie chorego chłopca do jednego z moich nie zajętych pokoi. Lecz wszystkie moje zabiegi nie przydały się na nic i biedny chłopak umarł w kilka dni później. Śmierć chorego pod moim dachem narażała mnie oczywiście na wiele kłopotów i nieprzyjemności, i gdyby nie fakt, że na parę dni przed śmiercią wezwałem na konsultację innego lekarza, władze mogły mi być czynić poważne trudności. Pogrzeb odbył się z mego domu. Matka i córka ubolewały szczerze nad faktem, że wbrew własnej woli spowodowały tyle nieprzyjemności i dzięki temu stosunek nasz stopniowo tak się zacieśnił, że córka zgodziła się dzielić mój los. Ślub odbył się 6 sierpnia 1885. Trudno by było znaleźć lepszą towarzyszkę życia i pracy; niestety związek nasz, po kilku latach jasnych i szczęśliwych, zamroczyła nieuleczalna słabość żony; jedyną moją pociechą jest myśl, że przez cały czas naszego pożycia nic nie zmało naszej zgody i przywiązania wzajemnego, oczywiście głównie dzięki zaletom jej charakteru, które pozwoliły jej nie tylko znosić z cierpliwym uśmiechem jej chroniczną dolegliwość, lecz i wszystkie inne życiowe przykrości. Radość sprawia mi także myśl, że choć wyszła ona za ubogiego lekarza, dożyła czasów, w których miała wszystkie wygody, jakie moje stopniowe powodzenie materialne mogło jej zapewnić. Posiadała ona także swój własny skromny kapitał, z którego dochód pozwolił nam urządzić dom wygodniej, niż za moich kawalerskich czasów.

Pod wielu względami małżeństwo oznaczało punkt zwrotny w moim życiu. Życie kawalerskie bardzo często wiedzie do cyganerii i ja pod tym względem nie byłem wyjątkiem. Kiedy spoglądam wstecz na te lata, nie czuję wielkiego zadowolenia, gdyż było to brodzenie w dolinie ciemności. Był to czas, w którym przestałem zupełnie trykać głową w to, co się zdało murem nieprzebitym i pogodziłem się z brakiem odpowiedzi na najważniejszą kwestię w życiu, nie bacząc na to, że bezcelowa jest każda podróż, gdy podróżnik nie ma pojęcia do jakiej płynie przystani.

Stare, zużyte wskaźniki odłożyłem na bok i straciłem zupełnie nadzieję znalezienia nowego, który by pozwolił mi sterować moją łódź bez zatracenia się w tej mgle, którą wszyscy moi stemicy z Huxleyem, Millem i Spencerem na czele, ukazywali jako granicę horyzontu. Moja postawa umysłowa tych czasów znalazła swój wierny wyraz w książce p.t. „The Stark Munro Letters”. Lecz niedługo potem miałem dojrzeć mdłe światelko, które z czasem miało się rozszerzyć i urósć w ognisko jasności.

Dotąd głównym moim zainteresowaniem była moja kariera literacka. Lecz życie bardziej regularne i większe poczucie odpowiedzialności wpłynęło na rozwój umysłu, który się przejawiał spotęgowaniem we mnie żyłki literackiej, rosnącej stale, aż wreszcie zajęcie literaturą usunęło na drugi plan mój zawód lekarski. Teraz zaczęła się faza napół medyczna, napół literacka, częściowo zaś filozoficzna, której muszę poświęcić nowy rozdział.

VIII

MÓJ PIERWSZY SUKCES LITERACKI

NOWE WIDNOKRĘGI. — OBIAD Z REDAKTOREM MIESIĘCZNIKA „CORNHILL”. — JAMES PAYN. — „STUDIUM W SZKARŁACIE”. — GENEZA HOLMESA. — MICAH CLARKE. — ROZCZAROWANIA — ANDREW LANG. — OSCAR WILDE. — JEGO SAMOKRYTYCYZM. — „THE WHITE COMPANY”.

W czasie przed ożenkiem, od czasu do czasu napisałem nowelkę, które redakcje pism przyjmowały za drobne sumy — przeciętnie czterech funtów — nie stały one na poziomie, który by usprawiedliwiał ich wydanie w książce. Są rozrzucone po pismach takich, jak „London Society”, „All the Year Ronnd”, „Tempie Bar”, „The Boys Own Paper” itp. i nie myślę nigdy o naruszaniu ich wiecznego odpoczynku. Spełniły swoje zadanie, przynosząc mi drobną ulgę materialną w ciężkich czasach. Co prawda nie przynosiły mi one więcej, jak jakieś dziesięć lub piętnaście funtów na rok, tak, że nie było mowy o zarabianiu na życie tą drogą. Lecz choć niewiele produkowałem, za to wiele skorzystałem umysłowo. Do dziś posiadam notatniki z tych czasów, pełne wiadomości z wszelkich dziedzin, które nabywałem w owym czasie. Jest to wielki błąd wydawać z siebie wszystko przed uprzednim nagromadzeniem zapasów. Moja powolna metoda i moje naturalne ograniczenia pozwoliły mi uniknąć tego niebezpieczeństwa.

Po ożenieniu się, umysł mój się ożywił, moja wyobraźnia i moje zdolności wyrażania wzmogły się wyraźnie. Przeważna część nowel, zawartych w tomie p.t. „Kapitan Gwiazdy Północnej” powstała w tych latach między rokiem 1885 i 1890. Niektóre z nich należą do moich najlepszych prac. Największą przyjemność sprawiła mi jednak świadomość, że przestaję być dyletantem i że wchodzę w towarzystwo pisarzy profesjonalnych a tę świadomość dało mi przyjęcie mej noweli p.t. „Habakuk Jephsons Statement” przez Jamesa Payna do miesięcznika „Cornhill”. Miałem ogromny szacunek dla tego pisma z jego świeżą tradycją Thakeraya i Stevensona, toteż fakt wejścia w szeregi jego współpracowników radował mnie więcej, niż czek na 30 funtów. Oczywiście utwór ukazał się bezimiennie, gdyż taka była zasada miesięcznika, który odmawia autorowi sławy, w zamian za obronę przed ewentualną napaścią. Po ukazaniu się tej noweli jeden z dzienników rozpoczął recenzję od słów: „Nowy numer pisma Cornhil drukuje na wstępie nowelę, która mogłaby poruszyć Thackeraya nawet w grobie”. Pewien znajomy staruszek z naprzeciwka, który znał mój sekret, przybiegł, by mi pokazać to dwuznacznej wartości zdanie. Inne pisma oświadczyło wprost: „Noworoczny numer pisma „Cornhill” przynosi na wstępie utwór potężny, noszący wyraźnie ślady wytrawnej dłoni autora „Nowych Nocy Arabskich”^{*}. Była to wielka pochwała, lecz wyznaję, że mniejsza skierowana wprost do mnie, sprawiłaby mi większą przyjemność.

Wkrótce potem to samo pismo umieściło dwie inne moje nowele „John Huxford’s Hiatus” i „The Ring of Thoth”. Dostałem się także na łamy trudno dostępnego „Blackwood Magazine”, który przyjął nowelę p.t. „The Physiologist’s Wife”, pisaną pod wpływem Henry Jamesa. Mimo to, były to wszystko rzeczy na małą skalę, a moja duma autorska nie musiała być wielka, skoro pozwoliła mi na przyjęcie czterech funtów, za napisanie noweli na temat wyrażony w dołączonym do czeku drzeworycie. Drzeworyt był bez wartości a nowela na pewno stała na jego poziomie. Pamiętam także, że napisałem powiastkę, której akcja działa się w Nowej Zelandii.

^{*} L. R. Stevenson, Przyp. tłum.

Dlaczego pisałem o miejscowości, o której nie miałem najmniejszego pojęcia, na to nie umiem odpowiedzieć. Jakiś krytyk z Nowej Zelandii wykazał, że umieściłem opisywaną farmę o 90 mil na wschód czy na zachód od miasteczka Nelson, że zatem musiała się znajdować na dnie Pacyfiku, w odległości dwudziestu mil od brzegu. Takie omyłki się zdarzają. Czasem dokładność jest koniecznie potrzebna, czasem zaś gdy treść jest ideowa, szczegół geograficzny jest bez znaczenia.

W jakiś rok po ożenieniu się, doszedłem do przekonania, że pisanie krótkich nowel nie doprowadzi do celu. Nazwisko autora na okładce, oto co jest potrzebne do powodzenia. Tylko tą drogą można zapewnić sobie uznanie swej indywidualności. Od roku 1884 pracowałem od czasu do czasu nad dłuższą historią, pełną sensacyjnych przygód p.t. „The Firm of Girdlestone”, która była moją pierwszą próbą dłuższej opowieści. Pomijając kilka krótkich ustępów, jest to rzecz bez wartości i jak każda pierwsza książka — wyjąwszy utwory wielkich i oryginalnych geniuszy — jest zbyt oczywistym naśladownictwem innych. Miałem już wtedy świadomość tego, zaś ta samowiedza rosła z postępem czasu. Kiedy wydawcy odrzucili ją, pogodziłem się z ich wyrokiem i schowałem dość pomięty rękopis do najniższej szuflady.

Równocześnie czułem, że stać mnie na pracę bardziej świeżą i artystycznie lepszą. Pociągał mnie wtedy Gaboriau przez swą umiejętność rozwiązywania intrygi, zaś Dupin, detektyw z powieści Poe'go, był moim umiłowanym bohaterem od wczesnej młodości. Czy zdołam jednak stworzyć w tej dziedzinie coś własnego? To pytanie nie dawało mi spokoju. Na myśl przychodziła mi postać mego starego profesora Joe Bella, z jego orlą twarzą, jego dziwacznymi nałogami, z jego bajecznym zmysłem wydobywania szczegółów. Gdyby on był detektywem, na pewno podniósłby z czasem ten wysoce zajmujący sposób do wyżyn ścisłego, prawie naukowego systemu. Trzeba spróbować, czy się uda osiągnąć ten wynik. Jeśli była taka możliwość w życiu rzeczywistym, czemużby nie można stworzyć jej wiarygodnego obrazu fikcyjnego? Nie dość jest powiedzieć, że ktoś jest zdolny; czytelnik żąda dowodów i przejawów tej zdolności, takich przejawów na przykład, jakie profesor Bell składał codziennie w sali wykładowej. Ta myśl mnie bawiła. Ale jak nazwać takiego jegomościa? Do dziś dnia zachowałem kartkę z notatnika, wypełnioną różnymi nazwiskami proponowanymi. Pospolita metoda, która nazwiskiem zaznacza charakter i daje w rezultacie różnych Bystroniów lub Szperalskich, nie pociągała mnie zupełnie. Początkowo chciałem go nazwać Sherringford Holmes, ostatecznie miał się nazywać Sherlock Holmes. Oczywiście nie może on opowiadać sam o swych przygodach; musi mieć towarzysza, człowieka wykształconego, który mógłby brać udział w przygodach i umiał je opowiedzieć. Zwykle, pospolite nazwisko dla takiego zausznika; niech się nazywa Watson. Tak oto powstały moje figury książki, której dałem tytuł: „Studium w szkarłacie”.

Miałem wrażenie, że utwór jest napisany tak, iż nie pozostawia nic do życzenia, stąd przywiązywałem doń wielkie nadzieje. Kiedy rękopis „Girdlestone” wracał za każdym razem do punktu wyjścia, jak gołąb pocztowy, robiło mi się przykro, lecz nie byłem zdziwiony; kiedy jednak ta mała książeczka o Holmesie zaczęła podobnie krążyć między mną i wydawcami, czułem się skrzywdzony, gdyż wiedziałem, że rzecz zasługuje na coś więcej niż odprawę. James Payn uznał jej zalety, lecz ze słuszością oświadczył, że jako nowela, rzecz jest za długa a jako powieść za krótka. Wydawca Arrowsmith, który otrzymał ją w maju r. 1886, odesłał ją nie czytając w lipcu. Podobnie postąpiło kilku innych. W końcu postanowiłem posłać do firmy „Ward, Lock and Co”, wiedząc, że specjalnością jej jest tania i sensacyjna powieść. Istotnie dnia 30 października 1886 otrzymałem list, następującej treści:

„Szanowny Panie!

Przeczytaliśmy utwór pański i przyjmiemy go z przyjemnością. Nie możemy jednak wydać go w tym roku z powodu nadmiaru materiału. Jeśli Pan się zgodzi na wstrzymanie wydania do następnego roku, jesteśmy gotowi nabyć prawa autorskie za sumę 25 funtów.

Z poważaniem

Ward, Lock and co.”

Propozycja ta nie była zbyt kusząca, tak, że nawet ja, nie opływający w dostatki, wahałem się z jej przyjęciem. Chodziło nie tylko o bardzo małą sumę, lecz także o zwłokę. Lecz ciągle odmowy i zawody znudziły mnie; sądziłem przy tym, że lepiej jest dać się poznać późno niż wcale. Dlatego się zgodziłem i książka ukazała się w r. 1887. Nie otrzymałem za nią nigdy ani grosza więcej.

Mając przed sobą spory kawał czasu do ukazania się książki, czując równocześnie dziwny napływ myśli, postanowiłem spróbować swych sił na większą skalę; w tym celu wybrałem formę powieści historycznej, gdyż zdawało mi się, że forma ta odpowiada najlepiej moim pojęciom, kojarzącym wysoką godność literatury z duchem awanturnych przygód. Miałem zawsze wiele sympatii dla Purytanów, którzy przy całej swej skłonności do dziwactw, odznaczyli się zawsze poszanowaniem wolności politycznej i głęboką religijnością. Zarówno powieść jak i sztuka skarykaturowała ich niejednokrotnie. Nawet Walter Scott nie dał ich wiernego obrazu. Macaulay, który był zawsze jednym ze źródeł moich natchnień, przedstawił ich w najbardziej prawdziwym świetle, odtwarzając ich jako poważnych bojowników, zbrojnych w biblie i szerokie miecze. Pamiętam zwłaszcza jeden jego ustęp — choć nie umiem go dosłownie, — w którym mówi, że po epoce Restauracji, każdy bardziej inteligentny woźnica lub wieśniak, był jednym z żołnierzy Cromwella. Ten ustęp natchnął mnie do napisania powieści p.t. „Micah Clarke”, w której puściłem wodze swej fantazji. Jakkolwiek czytany w historii, spędziłem kilka miesięcy na studiowaniu szczegółów, po czym napisałem całą rzecz dość szybko. Są w niej ustępy, jak n.p. obraz gospodarstwa purytańskiego lub szkic sędziego Jeffreys, których nie mógłbym napisać lepiej. Kiedy ją skończyłem w początkach r. 1888, byłem z siebie bardzo zadowolony i z tym uczuciem wyprawiłem rękopis w drogę do wydawców.

Lecz niestety, jakkolwiek moja książeczka o Holmsie już się ukazała i wywołała dość żywe zainteresowanie, stukanie do drzwi wydawców pozostało bez odpowiedzi. Pierwszym, który otrzymał rękopis był James Payn, który swą odpowiedź odmowną zaczął od słów: „Jak pan, jak pan może tracić czas i zdolności na pisanie powieści historycznych!” Taki rezultat po roku pracy mógł oddziaływać przygnębiająco. Z kolei nadszedł wyrok Bentleya, który brzmiał: „Moim zdaniem brak tej rzeczy czynnika decydującego w powieści, to jest zainteresowania; wobec tego nie sądzimy, aby powieść ta mogła zyskać popularność szerokiej publiczności”. Z kolei przemówił Blackwood: „Są w tej pracy niedoskonałości, które nie rokują jej powodzenia; brak poważnej rękopis w tym kierunku nie pozwala nam na jej wydanie”. Inne odpowiedzi były jeszcze gorsze. Miałem już zamiar umieścić rękopis obok pierwszego nieudanego tworu „Girdlestone”, kiedy postanowiłem spróbować raz jeszcze i posłałem go do firmy Longmans, której doradcą literackim był znany literat Andrew Lang. Nadspodziewanie powieść mu się spodobała, tak, że polecił jej przyjęcie. W ten sposób pierwszy sukces literacki zawdzięczam Langowi, którego Stevenson nazywał „Andrzejem Kędzierzawym”. Książka ukazała się w lutym 1889 roku i jakkolwiek nie miała szalonego powodzenia, doczekała się jednak całego szeregu bardzo pochlebnych recenzji, między nimi zaś specjalnego artykułu w „Nineteenth Century” pióra znanego krytyka Prothero. Księgarsko stanowiła dobry artykuł zbytu od początku po dziś dzień, tak, że mogę ją uważać za pierwszy solidny fundament mej literackiej sławy.

Literatura angielska cieszyła się w owych czasach wielką popularnością w Stanach Zjednoczonych, choćby z tej prostej przyczyny, że wskutek braku ochrony praw autorskich, księgarze amerykańscy mogli uprawiać bezkarnie korsarstwo. Działo się to z wielką szkodą autorów brytyjskich, lecz jeszcze więcej cierpieli na tym autorzy amerykańscy, którzy nie mogli w tych warunkach współzawodniczyć. Jak każdy grzech społeczny, ten niemoralny stan rzeczy przygotował sobie sam karę, gdyż odbił się ujemnie nie tylko na niewinnych autorach, lecz także na wydawcach, gdyż to, co należy do każdego, jest równocześnie własnością niczyją. Stąd każdy wydawca, który chciał sporządzić przyzwoite wydanie spotykał się w tej chwili z gorszym, lecz tańszym wydaniem. Widziałem niektóre z moich pierwszych wydań amerykańskich na papierze mało co lepszym od tego, jakiego używają w sklepach do pakowania. Jedynym dodatnim momentem tych stosunków był fakt, że każdy autor brytyjski, który był coś wart, szybko zyskiwał tam uznanie a później, kiedy wprowadzono ustawę Ochrony Praw Autorskich, miał tam wyrobioną publiczność. Moja książeczka o Holmesie spotkała się w Ameryce z pewnym powodzeniem, a wkrótce potem zawiadomiono mnie, że przedstawiciel firmy Lippincott jest w Londynie i pragnie się ze mną widzieć, celem zawarcia umowy co do wydania książki. Nie potrzebuję dodawać, że udzieliłem pacjentom jednodniowego odpoczynku i udałem się do Londynu.

Raz tylko poprzednio otarłem się o wielki świat literacki. Było to przy sposobności zamiany czasopisma „Cornhill” na wielki dziennik ilustrowany ; pomysł ten okazał się tak niepraktycznym, że rychło wrócono do pierwotnej formy miesięcznika. Rzeczona zmiana dała okazję do obiadu, na który redakcja zaprosiła wszystkich współpracowników. Uroczystość odbyła się w Greenwich, w gospodzie „Pod Okrętem”. Zebrało się tam sporo artystów i pisarzy, a ja do dziś pamiętam szacunek, z jakim się zbliżałem do osoby Jamesa Payna, który dla mnie był klucznikiem złotych podwoi sławy i powodzenia. Przybyłem jako jeden z pierwszych, powitany przez pana Smitha, głównego dyrektora firmy, który mnie przedstawił Paynowi. Lubiłem bardzo i ceniłem wysoko jego pisma, więc z nabożnym zaciekawieniem czekałem na pierwszą uwagę z jego ust. W istocie stwierdziła ona fakt, że jedna z szyb w oknie była pęknięta i że diabli wiedzą, jak się to stało. Muszę jednak dodać zaraz, że później mogłem się przekonać wielokrotnie, że był to jeden z najdowcipniejszych i najmiłszych ludzi. Podczas obiadu siedziałem obok Ansteya, którego świeża książka „Vice Versa” święciła wtedy zasłużony triumf; poznałem też wiele innych znakomitości, tak, że wracałem do domu z głową w obłokach.

Obecnie po raz drugi bawiłem w Londynie w celach literackich. Amerykanin, Stoddart, okazał się bardzo sympatycznym człowiekiem; oprócz mnie zaprosił on na obiad niejakiego Gilla, bardzo wesołego członka parlamentu z grupy irlandzkiej i Oscara Wilde’a wsławionego już przywódcę kierunku estetycznego. Dla mnie był to cudowny wieczór. Wilde czytał — ku mojemu wielkiemu zdziwieniu — moją powieść „Micah Clarke” i wyrażał się o niej z entuzjazmem, tak, że nie czułem się zupełnym intruzem. Rozmowa z nim wywarła na mnie niezatarte wrażenie. Górował on nad nami wszystkimi a równocześnie okazywał szczerze zainteresowanie dla wszystkiego, co słyszał od nas. Zdradzał wielką subtelność uczuć i takt towarzyski, umiał „brać i dawać”, lecz to, co dawał, było jedynym w swoim rodzaju. Posiadał dar dziwnego precyzowania tego, co mówił, delikatność humoru, tudzież szczególnie subtelną gestykulację dla ilustrowania znaczenia swych słów. Trudno mi odtworzyć gest, lecz nigdy nie zapomnę tego, co powiedział w ciągu naszej dyskusji o przyszłych wojnach: „Z każdej strony zbliżać się będzie do granicy chemik z butelką...” w tym momencie wzniesiona dłoń i wyraz twarzy uzupełniały te słowa groteskowym obrazem. Niezwykłymi były jego anegdoty. Rozmawialiśmy na temat cynicznej zasady, że powodzenie przyjaciół wywołuje w nas niezadowolenie. „Szedł raz diabeł przez Pustynię Libijską”, wtrącił Wilde, „i doszedł do miejsca,

gdzie pewna ilość diablików męczyła pustelnika świętego. Święty ten z łatwością otrząsał z siebie ich nieczne namowy. Diabeł patrzył przez chwilę na bezskuteczność ich usiłowań, a potem zbliżył się ku nim dla dania im lekcji.

„To, co czynicie — oświadczył — jest zbyt grube i niesmaczne. Pozwólcie mi na chwilę...” Rzekłszy to, zbliżył się do świętego i szepnął mu do ucha: „Twój brat został właśnie biskupem Aleksandrii”. Złośliwy wyraz zazdrości stanął w tej chwili w oczach pustelnika i zmroczył jego pogodną twarz. „To — rzekł diabeł do swych sług — jest metoda, którą wam polecam”.

Wynikiem tego wieczoru było przyrzeczenie dane przez Wilde’a i mnie napisania dłuższych utworów dla „Lippincotts Magazine”. Wilde napisał „Portret Doriana Greya”, książkę wysokiej wartości moralnej, zaś ja napisałem powieść „The Sing of Four”, w której Holmes ukazał się po raz drugi na widowni. Muszę dodać, że ani razu nie dostrzegłem w rozmowie Wilde’a bodaj cienia jakiegóż niskiej myśli; nikt w owym czasie nie podejrzewałby go nawet o coś podobnego. Raz tylko jeszcze widziałem go w latach późniejszych; wtedy odniosłem wrażenie, że jest to człowiek umysłowo chory. Pamiętam, że mnie zapytał, czy byłem na którejś z jego sztuk wówczas granych. Odpowiedziałem, że nie byłem. „Ach, niechże pan idzie!” zawołał, „Toż — to rzecz cudowna, genialna!” Wszystko to z najzupełniejszą powagą. Trudno było o większą sprzeczność z wrażeniem, które czynił, gdy go widziałem po raz pierwszy. Pomyślałem wtedy i dziś jeszcze jestem tego zdania, że ta potworność, która się stała przyczyną jego zguby, była objawem patologicznym i że szpital był miejscem właściwszym dla jej rozważania, niż sala sądowa.

Kiedy się ukazał „Portret Doriana Greya”, napisałem do Wilde’a, wyrażając mu swoją opinię o tej książce. Warto tu przytoczyć jego odpowiedź, gdyż pokazuje ona prawdziwego Wilde’a. Opuszczam tu początek listu, w którym mowa o moim utworze w słowach zbyt pochlebnych. Lecz oto ustęp odnośny:

„Między mną i życiem unosi się zawsze mgła słów. Dla frazesu gotów jestem wyrzucić za okno prawdopodobieństwo, a za sposobność stworzenia epigramu mogę rozstać się z prawdą. Przy tym wszystkim celem moim jest stworzenie dzieła sztuki i fakt, że pan uważa moją metodę za subtelną i artystycznie trafną sprawia mi wielką radość. Mam wrażenie, że to, co się pisze w dziennikach, wychodzi spod pióra świętoszków i jest przeznaczone dla Filistynów. Nie pojmuję jak można uważać „Doriana Greya” za utwór niemoralny. Moja trudność polegała na podporządkowaniu oczywistej idei moralnej efektom artystycznym i dramatycznym i mimo całego mego wysiłku idea moralna zdaje mi się jeszcze zbyt oczywistą”.

Zachęcony przyjęciem powieści „Micah Clarke”, powziąłem zamiar śmielszy i bardziej ambitny. Zawsze mi się zdawało, że czasy Edwarda III stanowiły największą epokę w dziejach Anglii — epokę, w której zarówno król francuski jak i szkocki byli więźniami w Londynie.

Fakt ten był dziełem przede wszystkim tej grupy ludzi, którzy zasłynęli w całej Europie, lecz którym literatura brytyjska nie dała wyrazu artystycznego, gdyż jakkolwiek Walter Scott przedstawił na swój sposób angielskiego łucznicę, ten ostatni figurował w jego dziełach raczej jako opryszek niż jako żołnierz. Miałem także swoje własne pojęcia o wiekach średnich, którym pragnąłem dać wyraz. Znałem dobrze Froissarta i Chaucera i wiedziałem, że rycerze średniowieczni nie koniecznie byli bohaterami atletycznej budowy, jak ich przedstawiał Scott; wyrazem mojej postawy stały się dwie książki, jedna p.t. „Biała Kompania”, napisana w r. 1889, a druga p.t. „Sir Nigel” napisana w czternaście lat później. Osobiście uważam tę drugą za lepszą, lecz nie wahać się twierdzić, że w tych dwóch książkach, wziętych razem, osiągnąłem cel zamierzony, że są one wiernym obrazem tej epoki, i że jako całość tworzą one najpełniejszą, najbardziej zadawalającą i najbardziej ambitną pracę, jakiej się podjąłem. Każda praca wytwarza swój własny poziom; otóż mam przekonanie, że gdybym nie tknął tematu Sherlocka Holmesa,

który z czasem przesłonił moje utwory bardziej ambitne, moje stanowisko w literaturze byłoby obecnie wyższej miary. Praca nad rzeczoną epoką wymagała wielkich studiów i do dziś posiadam szereg notatników, zawierających mnóstwo materiału historycznego. Staram się zawsze o prosty styl i unikam długich słów w miarę możliwości, stąd zdarzyć się mogło, że czytelnik znudzony prostotą i łatwością słowa, nie zdołał zdać sobie sprawy z nakładu badań naukowych w mych powieściach historycznych. To mnie oczywiście nie martwi, gdyż zawsze wierzyłem, że rzetelna praca w końcu musi się spotkać z uznaniem, że prawdziwa wartość danego dzieła nie jest rzeczą straconą na zawsze.

Pamiętam, że, kiedy napisałem ostatnie, końcowe słowa „Biała Kompania”, uczułem przypływ radości i z okrzykiem „Skończone!” rzuciłem pióro z takim rozmachem, że atrament opryskał tapetowaną przeciwległą ścianę. Miałem żywą świadomość, że ta książka żyć będzie i oświecać naszą tradycję narodową. Kiedy patrzę wstecz na jej pięćdziesiąt wydań, mogę oświadczyć z całą skromnością, że świadomość ta była uzasadnioną. Była to ostatnia książka, jaką napisałem w czasie mej praktyki lekarskiej w Southsea; z kolei mogę poświęcić kilka uwag innym stronom życia podczas ostatnich lat mego pobytu w „Bush Villa”. Dodam tu tylko, że powieść „Biała Kompania” drukował miesięcznik „Cornhill” mimo ujemnej opinii Jamesa Payna o powieści historycznej i, że tym sposobem urzeczywistniła się jeszcze jedna ambicja mego życia, drukowania dużej powieści na łamach tego słynnego czasopisma.

IX PODNIESIENIE KOTWICY

**STUDIA PSYCHICZNE. — DOŚWIADCZENIA W DZIEDZINIE TELEPATII. — MOJE
PIERWSZE SEANSE. — DZIWNY DOWÓD. — GENERAL DRAYSON. — POGLĄD NA
TEOZOFIĘ. — A.P. SINNETT. — W.T. STEAD. — PODRÓŻ DO BERLINA. — METODA
KOCHA. — BRUTALNOŚĆ BERGMANA. — MALCON MORRIS. — TOWARZYSTWO
LITERACKIE. — PRACA POLITYCZNA. — ARTHUR BALFOUR. — NASZ WYJAZD Z
PORTSMOUTH.**

W tych pierwszych latach po ożenieniu się, zanim opuściłem Southsea, stawiałem również pierwsze kroki w dziedzinie studiów psychologicznych, które z czasem miały zrewolucjonizować moje poglądy i pochłonąć całą energię mego życia. W owym czasie posiadałem zwyczajną pogardę młodego, wykształconego człowieka dla całej tej dziedziny, która nosi nic nie mówiące miano spirytyzmu. Czytałem o mediach, skazanych za oszustwa, słyszałem o fenomenach, stojących w sprzeczności z każdym znanym prawem, ustalonym przez naukę i ubolewałem nad prostactwem i łatwowiernością poczciwców, którzy mogli dać się nakłonić do wierzenia, że zjawiska tego rodzaju dowodziły istnienia inteligencji poza naszym własnym bytem. Otrzymawszy za młodu wykształcenie w szkole materializmu medyczo — przyrodniczego, przejęty negatywną postawą mych najlepszych nauczycieli, nie mogłem się pogodzić z teoriami, które przekreślały zupełnie każde moje przekonanie, zdobyte z takim trudem. Byłem oczywiście w błędzie i moi nauczyciele byli w błędzie, lecz mimo tej świadomości utrzymuję w dalszym ciągu, że ich wiktoriański agnostycyzm był z pożytkiem dla ludzkości, gdyż podważył nierozsądną ewangelicką podstawę, tak nieporuszoną do ich czasów. Dla dokonania jakiejś przebudowy, trzeba przygotować najpierw parcelę. Dwa były kierunki w epoce wiktoriańskiej, zdążające oddzielnie ku zmianie; jeden usiłował umocnić i ulepszyć starą budowlę, tak aby przedłużyć jej byt — jak tego dowodzi Ruch Oxfordzki i Anglo-Katolicki; drugi chciał zwalić ruiny, by nowy gmach mógł powstać na ich miejscu. Jak już wspominałem, moja postawa była materialistyczna, lecz pełna szacunku i uznania dla wielkiej, centralnej, świadomej przyczyny, bez możliwości jej zdefiniowania i bez odpowiedzi na pytania, dlaczego musi ona używać tak tajemniczych i strasznych środków dla urzeczywistnienia swych planów.

Z mojego punktu widzenia umysł (który dla mnie był równoznaczny z duszą) był emanacją mózgu, zupełnie fizyczną w swej istocie. Jako student medycyny i jako lekarz patrzyłem i widziałem, jak nacisk odłupanej kości lub nowotworu na mózg, powodował zmianę w przejawach duszy. Widziałem, jak alkohol lub trutka wywoływały czasowe skłonności do zbrodni lub cnoty. Te fizyczne dowody były niezaprzeczone. Nie przyszło mi nigdy na myśl, że bieg zjawisk mógł być odwrotny i że wyższe zdolności mogły się przejawiać tylko niedoskonale dzięki niedoskonałości narzędzi. Rozbite skrzypce lecz skrzypek jest tym czym był.

Pierwszą kwestią, która mnie zastanowiła i skłoniła do zbadania na nowo mej postawy, była kwestia telepatii, którą roztrząsał wtedy William Barret i inni, jeszcze przed ukazaniem się monumentalnego dzieła Myersa p.t. „Human Personality”; była to pierwsza książka, która traktowała psychologię poważnie, z nakładem studiów i pracy odpowiednich wadze tematu. Moim zdaniem, książka ta zajmuje tak trwałe stanowisko jak „Novum Organum”, „The Descent of Man”, lub inne dzieło podstawowe, stanowiące epokę w rozwoju myśli ludzkiej. Przeczytawszy kilka sprawozdań, począłem eksperymentować w dziedzinie przenoszenia myśli i

znalazłem towarzysza do tych doświadczeń w osobie pana Ball, znanego architekta w Portsmouth. Wielokrotnie, siedząc za nim, rysowałem diagramy, a on z kolei wykonywał mniej więcej te same figury. Wykazałem ponad wszelką wątpliwość, że mogłem przekazywać swe myśli bez słów.

Jeśli jednak mogłem sprawdzić te rzeczy na odległość sześciu stóp, trudno było wątpić w dowody, że te same wyniki można osiągnąć na wielką odległość. Przy odpowiednim przedmiocie i pewnej nieokreślonej sympatii dwóch jednostek, rzecz była niezależna od przestrzeni. Tak przynajmniej dowody zdały się stwierdzać. Zawsze byłem za wiedzą ścisłą i potrzebą pogoni za prawdą, bez względu na to gdzie się kryła. Teraz zobaczyłem jasno, że postawa moja była zbyt dogmatyczna i sztywna. Porównywałem myśl płynącą z mózgu z wydzielinami wątroby. To oczywiście było niedorzecznością. Jeśli myśl mogła wędrować tysiące mil i wytwarzać jawny skutek, przeto musiała się różnić nie tylko co do stopnia, lecz i co do rodzaju od każdej materii fizycznej. To zdało się rzeczą pewną i musiało pociągnąć za sobą pewną modyfikację mych poglądów.

W tym czasie (1886) rodzina generała, który był moim pacjentem, poczęła się interesować ruchomymi stolikami i zaprosiła mnie dla notowania wyników ich doświadczeń. Członkowie jej usadowili się dookoła stołu w jadalni, który po pewnej chwili, począł się chwiać i ostatecznie wprawił się w ruch, wystarczający do uderzenia jedną nogą o podłogę. Z kolei siedzący, których dłonie spoczywały na stole, poczęli zadawać pytania i otrzymywać odpowiedzi, mniej lub bardziej dorzeczne. Otrzymywano je nudną metodą cytowania alfabetu i notowania liter, wskazanych uderzeniem. Mnie się wydawało, żeśmy zbiorowo popychali stół i że nasza własna wola działała przy wskazywaniu liter. Byłem zainteresowany i sceptyczny zarazem. Niektóre z otrzymanych odpowiedzi nie były ogólnikowymi banalnościami, lecz wiadomościami bardzo określonymi, pochodzącymi rzekomo od zmarłych przyjaciół rodziny, co oczywiście czyniło większe wrażenie na obecnych, niż na mnie. W chwili, gdy piszę te słowa, mam przed sobą zanotowane wówczas odpowiedzi. „Nie mów dziewczętom jak je zobaczysz, bo mnie zaczną obgadywać. Pocałuj ode mnie moje maleństwo. Zawsze nad nią czuwam. Franciszka”. Oto typowa odpowiedź, oczyszczona z różnych ogólnikowych domieszek. Odbyliśmy przeszło dwadzieścia takich posiedzeń, podczas których ja nie otrzymałem oni jednej dorzecznej odpowiedzi, tak, że cały ten proces utrzymał mnie w bardzo krytycznym usposobieniu.

Lecz mimo to czułem, że w tej dziedzinie jest problem do rozwiązania i kontynuowałem studia, celem jego rozwiązania, czytając wszystkie „za” i „przeciw”, prosząc o radę ludzi doświadczonych, zwłaszcza generała Draysona, bardzo wybitnego myśliciela i pioniera wiedzy psychologicznej, który mieszkał wtedy w Southsea. Znałem go najpierw jako astronoma, który pracował nad systemem, mającym zrewolucjonizować nasze obecne, według niego błędne, pojęcia o kole, które zakreśla na niebiosach przedłużenie osi naszej kuli ziemskiej. Koło to jest podobno większe i ma inny środek; to nowe koło wyjaśnia rzekomo szereg zjawisk dotąd niemożliwych do wyjaśnienia i zmienia astronomię na wiedzę bardziej ścisłą, związaną więcej niż się dotąd przypuszcza z geologią i powrotnymi epokami lodowymi, których daty możemy podobno ustalić. Poglądy generała Draysona wywarły wtedy na mnie głębokie wrażenie. Od czasu jego śmierci ukazało się kilka dzieł, potwierdzających jego poglądy, zwłaszcza książka admirała De Horsey p.t. „Draysoniana”. Imię Draysona może się stać jeszcze sławnym, o ile myśli jego okażą się trafnymi. W każdym razie sądu jego nie można było lekceważyć; toteż kiedy opowiedział mi o swoich eksperymentach spirytystycznych, wywarły one na mnie wrażenie, mimo całej solidności mojej ówczesnej filozofii. Na opłacenie medium zawodowego byłem za ubogi, zaś pracować w tej dziedzinie bez medium, to tak, jak odbywać studia astronomiczne bez teleskopu. Raz tylko sprowadziłem do domu starego jegomościa, obdarzonego

rzekomo niezwykłą siłą psychiczną, który podjął się złożyć nam jej dowody za skromnym wynagrodzeniem. Wprowadził się on w trans przy pomocy głośnego oddychania, co zaniepokoiło niektórych z obecnych, po czym począł demonstrować. Zdanie, które skierował do mnie, brzmiało: „Niech pan nie czyta książki Leigh Hunta”. Była to istotnie niezwykła rada, gdyż w owym czasie zastanawiałem się nad tym, czy mam czytać rzecz p.t. „Comic Dramatists of the Restoration” tego autora. Pociągała mnie ona jako temat, lecz sposób jego traktowania mnie odstreczał. O ile chodziło o sprawę telepatii, rzeczona odpowiedź była dla mnie dowodem decydującym, lecz na tym znaczenie jej dla mnie się kończyło. Mimo to, wrażenie moje było tak silne, że posłałem opis tego seansu do tygodnika „Light”, poświęconego sprawom psychologicznym. W ten sposób w 1887 r. wpisałem się publicznie na listę ludzi, studiujących zagadnienia spirytyzmu; że zaś do tej chwili upłynęło lat 37, przeto jestem jednym ze starszych badaczy tej dziedziny. Od tego czasu kontynuowałem moje studia i badania, lecz dopiero w późniejszym okresie mego życia zdałem sobie sprawę z istotnego celu tych wszystkich zachodów.

Przez jakiś rok lub dwa interesowałem się bardzo teozofią; o ile bowiem spirytyzm przedstawiał się wówczas zupełnie chaotycznie, teozofią była ujęta w dobrze obmyślany i rozsądny system, którego części takie jak Karma i reinkarnacja, zdawały się wyjaśniać ostatecznie niektóre z anomalii życia. Poznałem wtedy dzieło Sinnetta „Occult World”, a później czytałem jeszcze z większym podziwem jego świetną ekspozycję teozofii w dziele p.t. „Esoterie Buddhism”. Poznałem nawet samego autora, gdy był on bliskim przyjacielem Draysona; rozmowy z Sinnettem wywarły na mnie wielkie wrażenie. Niestety straciłem do niego częściowo zaufanie po ukazaniu się raportu dra Hodgsona, o śledztwie prowadzonym przez Sinnetta w Adyar w sprawie pani Bławatskiej. Prawda, że pani Besant wydała od tego czasu bardzo przekonywującą obronę, dowodząc, że Hodgson padł ofiarą oszustwa, lecz następna książka p.t. „A Priestess of Isis”, zawierająca wiele z jej listów, daje nieprzyjemne wrażenia, co więcej, wydane po śmierci Sinnetta ostatnie jego dzieło zdaje się wykazywać, że i on stracił zaufanie. Z drugiej strony pułkownik Olcott wykazuje, że kobieta ta posiadała istotnie niezwykle władze psychiczne, pozostawiając na boku kwestię ich pochodzenia. Co do spirytyzmu interesowała się ona tylko jego niższymi przejawami. Dzieła jej wykazują niezwykłą erudycję i ogromną pracowitość, mimo faktu, że zawierają one konkluzję wielu innych badaczy. Trudno też potępiać w czambuł tę starodawną wiedzę dlatego, że wskrzesiła ją osoba tak niezwykłego i wulkanicznego temperamentu. I w naszej gałęzi wiedzy okultystycznej mieliśmy sporo oszukańczych mediów, lecz przy pierwszej sposobności zdzieraliśmy z nich maski. Zdaje mi się, że teozofią też znajdzie się w lepszym położeniu, gdy weźmie zupełny rozbrat z panią Bławatską. W żadnym razie nie mogłaby ta wiedza zaspokoić mnie, gdyż wymagania moje są bardzo surowe, gdybym zaś miał się zgodzić na wiarę, która wyklucza pytanie i badanie, znalazłbym się z powrotem w tej owczarni, z której wyszedłem.

Życie moje płynęło bardzo mile, podzielone między zajęcia literackie, przynoszące coraz większe powodzenie, praktykę lekarską stale rosnącą choć zawsze skromną i gry sportowe. Nagle jednak zaszło zdarzenie, które wytrąciło mnie z tej ustalonej drogi i wywołało zupełną zmianę w życiu i zamierzeniach. Gdyby nie ten epizod, byłbym prawdopodobnie pozostał w Southsea, pędząc pogodny i szczęśliwy żywot z żoną i córeczką Marią. Rzeczony epizod nastąpił w 1890 r. kiedy Koch ogłosił, że odkrył sposób leczenia suchot i że metodę tę będzie demonstrował w oznaczonym terminie w Berlinie.

Nagle przyszła mi nieodparta myśl, że powinienem pojechać i zobaczyć tę demonstrację. Nie mogłem podać żadnej racji tej nagłej myśli, lecz postanowiłem ją wykonać. Gdybym był sławnym lekarzem, lub specjalistą od chorób piersiowych, rzecz byłaby zrozumiała, lecz ja nie

byłem zbyt zainteresowany wcale w rozwoju mego zawodu, przeciwnie, miałem przekonanie, że tzw. postęp był w dużej mierze złudzeniem. Mimo to spakowałem się i w kilka godzin po powzięciu decyzji wyruszyłem sam w drogę. Ponieważ byłem poprzednio w korespondencji ze słynnym dziennikarzem W.T. Steadem, wydawcą „Review of Reviews” odwiedziłem go w Londynie i zapytałem, czy nie mógłby mi dać listu polecającego do Kocha albo dra Bergmanna, który miał zapowiedzianą demonstrację przeprowadzić. Pan Stead okazał się bardzo życzliwym i dał mi polecenie do Sir Edwarda Maleta, ambasadora brytyjskiego w Berlinie, tudzież do p. Love, korespondenta Timesa. Prosił mnie również o napisanie szkicu o osobie Kocha dla jego miesięcznika, dodając, że w najbliższym numerze umieści szkic o hrabim Mattei a w następnym o Kochu. — W takim razie — wtrąciłem żartobliwie — na łamach pańskiego pisma spotka się największy naukowiec z największym znachorem. Stead spojrział na mnie z gniewem, gdyż jak się dowiedziałem metoda Mattei pociągała go wtedy niezmiernie. Rozstaliśmy się jednak w zgodzie, a później utrzymywaliśmy stosunki życzliwej znajomości, jakkolwiek podczas wojny burskiej poróżniliśmy się na dobre. Był to dzielny i uczciwy człowiek przy całej swej nieobliczalnej gwałtowności. W dziedzinie psychologii wyprzedzał on swój czas o całe pokolenie, mimo niejednokrotnej przesady, jaką popełnił w swych przemówieniach.

Tego samego dnia opuściłem Londyn i w wagonie Ekspresu Berlińskiego znalazłem się w towarzystwie bardzo przystojnego i uprzejmego lekarza londyńskiego, który jechał do Berlina w tym samym celu co ja. Spędziliśmy noc na pogawędce, podczas której dowiedziałem się, że się nazywa Malcolm Morris i był lekarzem na prowincji. Przeniósł się do Londynu, gdzie był jednym ze specjalistów chorób skórnych, w słynnej dzielnicy lekarzy przy Harley Street. Zawiązana tym sposobem znajomość zmieniła się później na zażyłą przyjaźń.

Po przybyciu do Berlina znalazłem się wobec trudnego zadania dostania się na pokaz Bergmanna, który odbyć się miał następnego dnia o dwunastej w południe. Udałem się najpierw do naszego ambasadora, od którego po długim czekaniu i chłodnym przyjęciu wyszedłem bez rezultatu. Z kolei próbowałem szczęścia z korespondentem Timesa; lecz i on nie mógł mi pomóc. Oboje z żoną okazali mi jednak wiele uprzejmości i zaprosili mnie tego wieczoru na obiad. Biletów nie można było dostać w żaden sposób. Powziąłem myśl udania się do samego Kocha, który jednak nie przyjmował nikogo. Wyczerpawszy wszystkie drogi, nie wiedziałem co począć.

Następnego dnia udałem się do gmachu, w którym miał się odbyć wykład i pokaz. Przekupiwszy portiera wślizgnąłem się do wielkiej hali; lecz cerber, strzegący wejścia do sali, nie dał się przekupić. Fala ludzka płynęła obok mnie, czekającego na próżno. Nareszcie sala się wypełniła i w hali ukazał się sam Bergmann, ogromny, brodaty, otoczony gromadą lekarzy satelitów. Zagroziłem im drogę. — Może mnie pan wpuści — zawołałem. Bergmann spojrział na mnie wyniośle przez swe szkła. — Odbyłem daleką podróż, by tu na czas być — dodałem. — W takim razie proszę zająć moje miejsce — zaryczał Bergmann brutalnie, — bo tylko to jedno miejsce jest wolne. Proszę, proszę na moim kursie jest dość Anglików! — To ostatnie słowo po prostu wypluł, gdyż jak się później dowiedziałem, świeża polemika z Mordem Mac Kenzie, na temat choroby cesarza Fryderyka, uprzedziła go do Anglików. Muszę przyznać, że się zachowałem spokojnie i odparłem: — Nie myślę się cisnąć, skoro naprawdę nie ma miejsca. Popatrzył na mnie jeszcze wśród uśmiechów otoczenia i ruszył naprzód bez słowa. Lecz jeden z jego towarzyszy, Amerykanin, pozostał nieco w tyle i zwróciwszy się do mnie, rzekł uprzejmie: — Prosty brak wychowania. Niech pan posłucha. Jeśli pan przyjdzie tu o czwartej po południu, pokażę panu tekst całego wykładu; zaś co do pokazu, znam wszystkich pacjentów, którzy mają być jego przedmiotem, więc będziemy mogli oglądać ich jutro razem. Z tymi słowy udał się do sali.

Ostatecznie więc cel swój osiągnąłem, choć taką pośrednią drogą. Przystudiowałem tekst wykładu i obejrzałem odnośnych chorych; co więcej, miałem odwagę własnego zdania, które mnie postawiło w opozycji i doprowadziło do konkluzji, że cała ta sprawa nie wychodziła poza fazę eksperymentalną, że zatem wszelkie wnioski były przedwczesne. Szał jakiś ogarnął ludzi, którzy ze wszystkich stron świata, głównie jednak z Anglii, pędzili do Berlina w nadziei wyzdrowienia; niektórzy byli w tak daleko posuniętym stadium choroby, że nie zdołali dojechać do miejsca przeznaczenia. Czułem się tak pewny swego przekonania, że napisałem do „Daily Telegraph” list z ostrzeżeniem i mam wrażenie, że list ten był pierwszym wyrazem krytycznej postawy. Nie potrzebuję dodawać, że rzeczywistość potwierdziła moje zdanie.

W dwa dni później byłem z powrotem w Southsea, lecz jakże zmieniony. Podróż ta była jak gdyby rozwinięciem skrzydeł i próbą własnych sił. Szczególny wpływ wywarła na mnie długa rozmowa z Malcolmem Morrisem, który starał się mnie przekonać, że nie powinienem marnować swej energii dla prowincjonalnej praktyki. Radził mi porzucić praktykę ogólną i jąć się jakiejś specjalności w Londynie. Odpowiedziałem na to, że nie jestem jeszcze pewien powodzenia w zawodzie literackim, że zatem nie mogę rzucać zawodu medycznego. Zapytał mnie, czy specjalizowałem się w jakiej gałęzi medycyny. Odpowiedziałem, że w ostatnich latach nabrałem zamiłowania do okulistyki i że dobrowolnie pomagałem w Portsmouth w szpitalu oftalmicznym. — Czemuż więc nie poświęcić się okulistyce? — zapytał Morris, dodając, że pół roku studiów we Wiedniu wystarczy na rozpoczęcie praktyki w Londynie. Tym sposobem — zakończył swą radę — zyska pan środki na wygodne życie i czas na zajęcia literackie. — Wróciłem do domu z głową nabitą tą myślą, że zaś żona nie miała nic przeciwko niej a córeczka była dość duża, by ją zostawić pieczy babki, przeto nic nie stało na przeszkodzie. Nie miałem trudności z pacjentami, gdyż nie było ich tak wielu.

Towarzystwo Naukowo — Literackie w Portsmouth wydało na moją cześć bankiet pożegnalny. Przez szereg lat byłem sekretarzem tego Towarzystwa, z którym wiążą mnie miłe a częściowo konieczne wspomnienia. W ciągu zimowych wieczorów odbywaliśmy na zebraniach długie dyskusje, zaś raz na tydzień ktoś wygłaszał odczyt. Na tych zebraniach nauczyłem się sztuki przemawiania publicznego, która przydała mi się bardzo w życiu późniejszym. Z usposobienia byłem nerwowy i niedowierzający sobie do tego stopnia, że jak mnie poinformowano, wszystkim siedzącym w pobliżu udzielała się moja nerwowość, gdy zbliżała się chwila, w której miałem przemawiać. Lecz z czasem nauczyłem się opanowywać swoje wzruszenie i ze spokojem i swobodą myślałem nad doborem właściwych wyrazów. Wygłosiłem w tym Towarzystwie trzy większe odczyty, jeden o Oceanie Podbiegunowym, jeden o Carlyle, a jeden o Gibbonie. Pierwszy wyrobił mi niezasłużoną opinię myśliwego, gdyż podczas odczytu stół był zastawiony wypchanymi okazami fauny podbiegunowej, które w tym celu wypożyczyłem od miejscowego właściciela małego muzeum zoologicznego. Słuchacze nabrali przekonania, że to były moje trofea myśliwskie i patrzyli na mnie z wielkim szacunkiem. Wszystkie te okazy znalazły się drugiego dnia z powrotem w muzeum.

Diskusje obfitowały nieraz w dziwne szczegóły. Pamiętam raz bardzo uczoną rozprawę o przedhistorycznych szczątkach zwierzęcych i wielowiekowości epok geologicznych, którą zakończył jakiś trzęsący się ze starości wojskowy, wyznania ewangelickiego, który oświadczył głuchym głosem, że wszelkie spekulowanie na wspomniany temat było nie tylko puste, lecz po prostu niezrozumiałe, skoro wiadome, że źródła nie podlegające żadnym kwestiom, że świat został stworzony przed tysiącem ośmiuset dziewięćdziesięciu laty. Oświadczenie to zamknęło dyskusję tak skutecznie, że wszyscy rozeszli się co rychlej do domów. Mój udział w życiu politycznym nauczył mnie także przemawiać publicznie. Z przekonania byłem wtedy tak zwanym

liberałem unionistą, to znaczy liberałem, który nie godził się na politykę Gladstonea co do Irlandii. Być może, że byliśmy w błędzie. Lecz takie było wówczas moje przekonanie.

Zabawne było moje pierwsze doświadczenie jako mówcy politycznego, w wielkim miejscowym amfiteatrze, kiedy wskutek spóźnienia się kandydata sir Williama Crossmana musiałem bez przygotowania stanąć na mównicy przed trzytysięczną rzeszą. Sam nie wiedziałem, co mówię, lecz moje pochodzenie irlandzkie przyszło mi widocznie z pomocą i obdarzyło mnie takim potokiem słów i porównań, iż zanim skończyłem całe audytorium porwało się z nóg, przejęte zapalem i entuzjazmem.

Kiedy odczytywałem później tekst mego przemówienia, przekonałem się, że nie było w nim żadnej poważnej myśli politycznej. Lecz pokazało, że audytorium żąda frazeologii, w rodzaju zdania, którym zakończyłem tę mowę, a które brzmiało: „Anglia i Irlandia związane są ślubnym pierścieniem szafirowego morza, zaś co Bóg złączył, tego ludzie rozłączać nie powinni”. Nie było w tym, rzecz prosta, logiki, lecz czy to była wymowa czy gadanina, trudno by mi było nawet dziś rozstrzygnąć.

Za czasów mego sekretarstwa, Arthur Balfour przybył raz dla przemówienia na wielkim zebraniu. Ponieważ sala była pełna, czekałem na gościa na trotuarze, przed głównym wyjściem. Po chwili nadszedł powóz, z którego wysiadł Balfour, wysoki, szczupły, arystokratyczny. Zauważyłem, że w pobliżu stało dwóch znanych agitatorów przeciwnego stronnictwa politycznego, którzy na widok gościa zamierzali wszcząć burdę. Schwyciłem jednego z nich za kark i trzymając drugą dłoń na jego ustach, usiłowałem dać mu nauczkę, kiedy otrzymałem cios w głowę od jego towarzysza. W tej samej chwili jednak nadbiegli moi towarzysze i Balfour znalazł się w sali, nie zauważywszy, co się święci. Spotkałem obecnego lorda Balfoura kilka razy w życiu późniejszym, lecz nigdy mu nie powiedziałem, że raz dostałem po głowie w jego obronie.

Oczywiście, że zarówno w szeregach Towarzystwa jak i klubu politycznego, została po mnie luka w Portsmouth; podobnie odczuto tam brak mej żony, którą powszechnie ceniono i lubiano dla wielkich zalet jej charakteru. Nie było nam też łatwo porzucić nagle tylu wypróbowanych przyjaciół. Lecz pod koniec roku 1890 decyzja zapadła i zamknęliśmy drzwi Willi Bush za sobą po raz ostatni. Doznałem w tym domu w ciągu długich ośmiu lat pobytu chwil ciężkich, lecz na ogół były to lata rosnącego powodzenia. Toteż wyruszyliśmy w drogę na spotkanie nowego okresu naszego życia z uczuciem swobody i radosnej ciekawości nowych przygód.

X

WIELKI PRZEŁOM

**WIENIĘ. — SPECJALISTA PRZY WIMPOLE STREET. — WIELKA DECYZJA. —
NORWOOD. — „THE REFUGEES”. — RZEKOMA ŚMIERĆ HOLMESA. —
TOWWRZYSTWO BADAŃ PSYCHICZNYCH. — LITERACKIE KOŁA LONDYNU. — HENRY
LRVING. — WIELKI CIOS. — „BRIGADIER GERARD”. — DAVOS. — ODCZYTY W
AMERYCE. — WYSLUCHANA MODLITWA.**

Wyruszyliśmy pod sam koniec r. 1890 podczas bardzo ostrej zimy, wśród nieustannej śnieżycy. Przybyliśmy do Wiednia w nocy; mróz był siarczysty, śnieg na kilka stóp i zawierucha w dalszym ciągu. Przyjęcie było niezbyt zachęcające, lecz kiedy znaleźliśmy się pół godziny później w miłym pokoju restauracji hotelowej, zrobiło nam się nieco weselej na duszy.

Znaleźliśmy skromny pensjonat, w którym spędziliśmy miło cztery miesiące; ja chodziłem do szpitala na wykłady okulistyki, lecz przekonałem się wkrótce, że w Londynie mogłem się więcej nauczyć, gdyż moja znajomość niemieckiego nie wystarczała do swobodnego słuchania wykładów naukowych. Oczywiście frazes „po powrocie z zagranicy” stanowi pewną rekomendację dla dalszego specjalisty, lecz uprawnia on do przypuszczenia, że studia „za granicą” były tylko uzupełnieniem specjalizacji, co w moim wypadku nie odpowiadało rzeczywistości. Dlatego mogę śmiało oznajmić, że o ile chodziło o studia okulistyczne, ta zima spędzona we Wiedniu była po prostu stratą czasu; nie przyniosła mi ona też wielkich zdobyczy duchowych lub intelektualnych. Z drugiej strony dała mi sposobność poznania nieco wesołego towarzystwa wiedeńskiego, głównie dzięki uprzejmości miejscowego korespondenta „Times’a” p. Brinsleya Richardsa i jego żony, tudzież używania dobrej ślizgawki. Napisałem także książkę pt. „The Doings of Raffles Haw”, która nie przyniosła mi wielkiego zaszczytu, lecz pozwoliła opędzić bieżące wydatki, bez naruszania skromnego kapitałiku funtów, odłożonych na czarną godzinę.

Z wiosną ukończyłem moje wiedeńskie studia i przez Paryż wróciliśmy do Londynu. W Paryżu zatrzymaliśmy się kilka dni, gdyż chciałem się zaznajomić z Laudoltem, najślynniejszym okulistą paryskim tego czasu. Znalazszy się w Londynie, czuliśmy oboje z żoną, że nadeszła chwila stanowczej walki z losem, która miała zadecydować o całym naszym życiu. Patrząc wstecz na te chwile, zda się, że wynik nie ulegał wątpliwości, lecz wtedy nie miałem tej pewności, gdyż jakkolwiek reputacja moja wzrastała, zarobki były ciągle małe. Ufność moja polegała głównie na moim przekonaniu o trwałej wartości mej powieści „The White Company”, która się ukazywała wtedy regularnie w miesięczniku „Cornhill”. Osobiście też nie byłem zaniepokojony, przeżywszy przed ożenkiem znacznie cięższe czasy, lecz troska o żonę i dziecko zmieniały sytuację. Zamieszkaliśmy przy Montagne Place, skąd było niedaleko do dzielnicy lekarzy–specjalistów. Wiedząc, że wielu słynnych okulistów nie może podołać nawałowi pracy, postanowiłem na razie wynająć i urządzić dwa pokoje, gdzie przyjmowałbym pacjentów przysyłanych przez innych okulistów. Odpowiedni lokal znalazłem tuż przy Harley Street za sto dwadzieścia funtów rocznie. Jeden pokój urządziłem jako pokój przyjęć, a drugi jako poczekalnię. Niestety, wkrótce przekonałem się, że prawdziwą poczekalnią był mój pokój przyjęć. W rezultacie nie żałuję tego. Codziennie rano około 10-tej maszerowałem do swojej siedziby zawodowej, gdzie czekałem cierpliwie na pacjentów do jakiejś 3-ciej lub 4-tej. Dzięki zupełnej ciszy, której nie przerywał ani razu dzwonek pacjenta, mogłem ten czas poświęcać mej

pracy literackiej; toteż jedynym rezultatem, z jakim wracałem do domu, był plik zapisanych kartek. Istotnie trudno było o bardziej idealne warunki do pracy i tak długo, jak długo pacjenci nie pokazywali się, miałem sposobność udoskonalenia mego stylu.

W tym czasie zaczął wychodzić szereg miesięczników, między którymi na pierwszy plan wybijał się „The Strand”, redagowany bardzo zręcznie przez Greenhonga Smitha. Zastanawiając się nad zawartością tych czasopism, zwłaszcza zaś nad ich długimi powieściami, ciągnącymi się czasem lata całe, doszedłem do przekonania, że umieszczanie cyklu krótkich opowiadań, stanowiących całość dla siebie, lecz połączonych postacią głównego bohatera, mogłoby danemu miesięcznikowi przysporzyć dużą liczbę stałych czytelników. Zdaje mi się, że ja pierwszy wpadłem na ten kompromis między powieścią i nowelą, a „The Strand Magazine” był pierwszym miesięcznikiem popularnym, który tę ideę wprowadził w życie.

Rozglądając się za taką „centralną” postacią, czułem, że Sherlock Holmes, który był już bohaterem dwóch małych książek, nadawał się doskonale do cyklu krótkich opowiadań. Ten cykl rozpocząłem pisać podczas długich godzin w mej poczekalni pod numerem 2 przy Devonshire Place. Greenhough Smith zapalił się do mej idei od początku, opowiadania podobały mu się bardzo i zachęcał mnie do napisania ich jak najwięcej. Handlową stronę mej literackiej produkcji oddałem w ręce A. P. Watta, tego króla agentów literackich, który nie tylko zwolnił mnie od wszystkich kłopotów z wydawcami i redaktorami, lecz pilnował mych spraw tak skutecznie, że wszelka troska o byt materialny wkrótce znikła, a fakt, że ani jeden pacjent nie przekroczył progu mej poczekalni, okazał się po prostu błogosławionym.

I tak oto znowu znalazłem się na rozstajnych drogach, z których jak zwykle wyprowadziła mnie Opatrzność, tylko tym razem w sposób dość gwałtowny i niemiły. Jednego poranka wyszedłem jak zwykle z domu w drogę do mej poczekalni, kiedy nagle przyjęły mnie lodowate dreszcze, po których nastąpił atak takiego osłabienia, że gdybym natychmiast nie zawrócił do domu, mogło być źle ze mną. Był to mały atak influencji, która grasowała wtedy, siejąc śmierć dookoła. Trzy lata wcześniej siostra moja Annette, która całe życie spędziła na posadzie guwernantki, umarła na influencję w Lizbonie, właśnie w czasie, kiedy nie dalekim był moment, w którym dzięki memu powodzeniu, mogła była porzucić służbę. Teraz przyszła kolej na mnie i to nie na żarty. Nie pamiętam ani bólu, ani jakiegoś wielkiego cierpienia, ani żadnych przeżyć psychicznych, wiem tylko, że przez tydzień byłem w wielkim niebezpieczeństwie, z którego wynurzyłem się osłabiony jak małe dziecko, lecz z umysłem jasnym jak kryształ. Wtedy to, przechodząc w myśli me życie, uświadomiłem sobie, że utrzymanie „poczekalni” za grosz zapracowany piórem było niedorzecznością; pod wpływem tej świadomości postanowiłem poświęcić się wyłącznie pracy literackiej. Pomnę dziś jeszcze, że postanowienie to przejęło mnie taką radością, iż ująłem chusteczkę, leżącą na kołdrze i począłem się nią bawić jak dziecko, podrzucając ją pod sufit. Nareszcie będę swoim własnym panem; skończyło się przestrzeganie konwenansów zawodu i zadowalanie innych. Będę żył według własnego upodobania i tam, gdzie mi się spodoba. Była to jedna z najradośniejszych chwil mego życia, działa się zaś w sierpniu roku 1891.

Podniósłszy się z łóżka, kręciłem się po mieszkaniu przy pomocy laski, tak pozbawiony sił, że zdawało mi się, że jestem starcem 80-letnim. Lecz siły wróciły wkrótce. Najbliższe tygodnie spędziłem na szukaniu odpowiedniego domu, w jednym z bardziej oddalonych przedmieść Londynu. W końcu znalazłem taki dom pod numerem 12 przy Tenison Road w South Norwood. Przeniósłszy się tam, zacząłem żyć wyłącznie z pracy pióra. Czas rychło pokazał, że zaufanie we własne siły w tej dziedzinie było zupełnie usprawiedliwione, gdyż dochody moje były więcej niż wystarczające. Zdawało mi się, że zaczął się okres życia ostatecznie i trwale ustalonego; nie

przeczuwałem, że nieoczekiwany cios ma mnie ugodzić i że w wyniku tego byłem nie u końca, lecz na początku mych wędrówek.

Tego oczywiście wiedzieć nie mogłem i zabierałem się do pracy literackiej z zamiarem dokonania czegoś wielkiego. Trudność, a raczej kłopot z cyklem Holmesa, polegała na tym, że każdy człon wymagał osobnej intrygi. Oczywiście nie można tych rzeczy robić jak na zamówienie, gdyż zamieniają się one na sztuczne fabrykaty, nikłe i coraz mniej interesujące. Dlatego postanowiłem — zwolniony od trosk materialnych — nie pisać nic bezwartościowego; każda dalsza część cyklu Holmesa miała mieć zajmującą intrygę i zawierać jakiś problem, który mnie samego interesował, to bowiem jest pierwszą rękojmnią zainteresowania drugich. Mogę wyznać z czystym sumieniem, iż pozostałem wierny temu postanowieniu. Dowodem tego jest fakt, że publiczność śledziła cały cykl z takim samym zainteresowaniem, z jakim przyjęła jego pierwsze części. Byli jednak i tacy, którzy sądzili, że poziom się nieco obniżał. Najlepszym wyrazem tego krytycznego poglądu był prosty wioślarz z Kornwalii, który mi oświadczył: „mnie się zdaje, proszę pana, że jak Holmes spadł z tej skały, to się co prawda nie zabił, ale coś tam się w nim musiało popsuć; od tego czasu to już był inny człowiek”. Mnie się jednak zdaje, że gdyby czytelnik czytał cały cykl wstecz, zaczynając od ostatniego epizodu, zgodziłby się ze mną, że choć poziom przeciętny jest niezbyt wysoki, to ostatnie epizody nie ustępują ani co do treści, ani co do formy pierwszym.

Znudziła mi się jednak ta ustawiczna pogoń za intrygą, więc zabrałem się do pracy bardziej ambitnej, choć miałem wątpliwości co do jej intratności. Od dłuższego czasu pociągała mnie epoka Ludwika XIV, a zwłaszcza Hugenoci, którzy we Francji odpowiadali naszym Purytanom. Znałem dobrze historię tych czasów i miałem mnóstwo własnych notatek, więc w stosunkowo krótkim czasie napisałem zamierzoną powieść pt. „The Refugees”. Że powieść się udała, tego dowodzi jej dotychczasowa popularność. Wkrótce po ukazaniu się, przetłumaczono ją na język francuski, tak, że moja matka, która zawsze z zapałem studiowała dzieje Francji, doczekała się radosnej dla siebie chwili podczas zwiedzania Fontainebleau, w której usłyszała z ust oficjalnego przewodnika informującego gromadę turystów, że kto chce poznać dobrze szczegóły dworu wielkiego monarchy, znajdzie je w powieści angielskiej pt. „The Refugees”. Przepuszczam, że przewodnik ów okazałby zdumienie i zdziwienie, gdyby mu się nagle rzuciła na szyję poważna Angielka, uradowana tym faktem. W książce tej korzystałem wiele z dzieła Parkmana, wielkiego i niezasłużenie zaniedbanego historyka, który moim zdaniem należy do najlepszych pisarzy amerykańskich.

W związku z tą powieścią przypominam sobie pewien komiczny epizod. Przełożona jednego z bardzo surowych konwentów w Irlandii, wzięwszy przez pomyłkę moje imię „Conan” za „Canon”, czyli uznawszy mnie za kanonika, poleciła tę powieść do głośnego czytania w klasztorze. Rzecz spotkała się z ogromnym powodzeniem i ku wielkiej radości siostr pomyłkę wykryto dopiero po przeczytaniu jej w całości. Moje pierwsze imię kilkakrotnie wywołało tę samą pomyłkę. Między innymi pamiętam, jak w Chicago przed jakimś wielkim obiadem, proszono mnie o odmówienie modlitwy, jako jedyne duchownego przy stole. Pamiętam, że podczas tego samego obiadu, jeden z gości wyraził w swym przemówieniu zdumienie wobec faktu, że chociaż jestem lekarzem, nikt jeszcze nie widział ani jednego mojego „żywego” pacjenta.

Podczas pobytu w Norwood pracowałem bez wytchnienia, gdyż obok powieści „The Refugees” napisałem inną pt. „The Great Shadow”, którą uważam za jedną z najlepszych moich prac, tudzież dwie inne, mniejsze i mniejszej wartości rzeczy, pod tytułami: „The Parasite” i „Beyond the City”. Ta ostatnia była typową nowelą na tle życia rodzinnego i padła ofiarą jekiegoś korsarskiego wydawcy w Ameryce, tuż przed wprowadzeniem New Copyright Act.

Pamiętam ten fakt, gdyż ów wydawca, sądząc, że portret autora na okładce może być atrakcją dla publiczności, nie mając pojęcia o mojej osobie, umieścił portret jakiejś wystrojonej i bardzo przystojnej młodej niewiasty. Posiadam do dziś na pamiątkę egzemplarz z tym moim portretem. Wszystkie te prace miały dużo powodzenia, choć żadna nie przyniosła mi wielu wawrzynów. Publiczność ciągle domagała się dalszych przygód Sherlocka Holmesa, tak, że musiałem ich od czasu do czasu dostarczać. W końcu, po napisaniu dwóch cykli, doszedłem do przekonania, że grozi mi niebezpieczeństwo nierozzerwalnego związku z dziełem literackim, należącym do niższego gatunku. Dlatego postanowiłem uśmiercić mego bohatera. Przyszło mi to namysł podczas wycieczki do Szwajcarii, kiedy wraz z żoną oglądałem wodospady Reichenbach, budzące swym widokiem grozę. Uznałem, że miejsce to jest godne grobowca Holmesa. Tam więc złożyłem jego szczątki, z mocnym postanowieniem, że tam muszą zostać. Istotnie zostały tam na szereg lat. Postawa publiczności wprawiła mnie w zdumienie. Istnieje zdanie, że człowiek spotyka się z uznaniem dopiero po śmierci; ilość protestów, które mnie doszły przeciw mojej egzekucji Holmesa, dowiodła ilu przyjaciół potrafił on sobie zjednać. „Ty bestio dzika...” rozpoczynał się protest listowny jakiejś damy, przemawiającej niewątpliwie w imieniu wielu innych. Słyszałem, że byli ludzie, którzy płakali. Przyznaję, że mogłem zrobić wrażenie brutala, skoro zdobyłem się na tak okrutny czyn, lecz z drugiej strony byłem rad ze sposobności przeniesienia mej wyobraźni w inny świat, gdyż wysokie, kuszące ceny za dalsze epizody Holmesa, czyniły rozstanie się z nim sprawą coraz trudniejszą.

Że Sherlock Holmes był dla wielu ludzi postacią rzeczywistą, tego dowodem są listy adresowane do niego, przysyłane na moje ręce z prośbą o doręczenie. Watson otrzymał również szereg listów, w których proszono go o adres i autograf Holmesa. Jakaś agencja literacka zapytywała Watsona, czy Holmes nie chciałby korzystać z jej usług. Kiedy Holmes czasowo się wycofał ze służby, wiele pań ofiarowało mu się na gospodynie a jedna wyznała mi, że zna się na hodowli pszczoł i umie „oddzielić królową”. Miał też cały szereg propozycji co do rozwiązania pewnych tajemnic rodzinnych. Jedna z tych propozycji z Polski domagała się także mego przyjazdu, przyrzekając mi honorarium jakiego sam bym zażądał. Oczywiście nie odpowiadałem na tego rodzaju propozycje.

Pytano mnie również często, czy ja sam posiadam zdolności, które opisuję, lub czy też jestem po prostu Watsonem. Rzecz prosta, że zdaję sobie sprawę z różnicy między rozwiązaniem danego zagadnienia w praktyce, a rozwiązaniem tegoż zagadnienia w teorii tzn. w warunkach przez siebie samego stworzonych. Co do tego nie mam żadnych złudzeń. Z drugiej strony jednak, człowiek nie może wyssać z palca, nie może stworzyć żywej postaci, o ile nie posiada w sobie odnośnego materiału — twierdzenie niezbyt zaszczytne w ustach człowieka, który stworzył tylu zbrodniarzy. W każdej indywidualności jednak istnieje pewna złożoność, jak gdyby splot wielu osób. Wśród tych osób danej indywidualności może się znaleźć również zdolny detektyw; lecz w życiu rzeczywistym musiałem zawsze postawić się w jego położenie, gdy usiłowałem rozwiązać metodą Holmesa jakieś zagadnienie, przez władze policyjne zaniechane. Natomiast w życiu codziennym nie posiadam wcale szczególnego zmysłu obserwacyjnego, czyli, że muszę się sztucznie wprawiać w odpowiedni stan umysłu, dla rozwiązania dowodów i uprzedzenia kolejności wypadków.

XI NORWOOD I SZWAJCARIA

**SKŁONNOŚĆ DO STUDIÓW PSYCHOLOGICZNYCH. — MŁODZI PISARZE. — Z DZIEJÓW
BITWY POD WATERLOO. — OKRUTNY CIOS. — ODCZYTY W AMERYCE (1894). —
MAJOR POND. — PIERWSZY ODCZYT. — ANTYBRYTYJSKI NASTRÓJ. —
PRZEPOWIEDNIA.**

Głównym wydarzeniem w naszym życiu w Norwood były narodziny mego syna Kingsleya, który dożył wielkiej wojny, odegrał w niej czynną rolę i umarł wkrótce po jej zakończeniu. Życie moje było tak pełne zajęć, że nie miałem czasu zastanawiać się nad zagadnieniem religii, lecz wyczuwałem w sobie coraz większą skłonność do psychologii i zapisałem się do Towarzystwa Badań Psychologicznych, do którego należą do dziś dnia, jako jeden z jego starszych członków. Odbyłem sam kilka doświadczeń psychologicznych, lecz moja filozofia materialistyczna, której wyrazem jest książka pt. „The Stark Munro Letters”, napisana pod koniec okresu, spędzonego w Norwood, była mocno ugruntowaną. Lecz w miarę jak z roku na rok poznawałem coraz lepiej niezwykle literaturę psychologiczną, poświęconą zarówno wiedzy jak i doświadczeniom, silna postawa spirytyzmu czyniła na mnie coraz większe wrażenie, wzmocnione przede wszystkim lekkomyślnością, lekceważeniem i brakiem wiedzy, charakteryzującym jego przeciwników. Religijna strona tej dziedziny nie uderzała mnie jeszcze wtedy, czułem jednak coraz wyraźniej, że nie znajduję dostatecznej odpowiedzi na autentyczność zjawisk, zaręczaną przez ludzi tej miary co sir William Crookes, *Barrett, Russell Wallace, Victor Hugo i Zöllner*. „Niewiarygodne a przecież prawdziwe”, oświadczył Crookes i ten paradoks zdał się ujmować dokładnie moje budzące się nowe przekonania. Każdy numer tygodnika „Light” stanowił dla mnie nowy bodziec, gdyż czuję się w obowiązku wyznać, że pismo to należało i należy do tych, które dają najwięcej do myślenia.

Wspomnienie tych lat od 1880 do 1893 skupia się dookoła stopniowego zdobywania sobie stanowiska w literackim świecie Londynu. Niezwykłą cechą tych lat było ogólne narzekanie prasy londyńskiej na upadek literatury angielskiej i jej przekonanie, że nie ma młodych autorów, którzy by rokowali nadzieję, że zajmą godne miejsca tych, którzy odeszli. A przecież faktem jest, że istniała wtedy bardzo liczna grupa rówieśników, wybijająca się na czoło, która nie posiadała wprawdzie ani Dickensa ani Thackerya, lecz mogła co do różnorodności i bogactwa typu wytrzymać porównanie z grupą każdego innego okresu naszej literatury. Właśnie w tych czasach, między 1888 i 1893 zdobywali sławę pisarze tacy jak Rudyard Kipling, James Stephen Phillips, Watson, Grant Allen, Wells, Barrie, Show H. A. Jones, Pinero, Corelli, Weyman, Hope, Hali Caine i wielu, wielu innych. Znaczną ich część poznałem w okresie ich bujnej młodości, w pełni ich sił twórczych. O niektórych będę musiał powiedzieć więcej w dalszym ciągu. Co do starej szkoły, była ona niewątpliwie w pewnym upadku, tak że młodzi nie napotykali wielkich trudności w znajdowaniu posłuchu. Wilkie Collins, Trollope, George Eliot i Charles Reade byli w grobie. Dla tego ostatniego miałem zawsze wielki podziw, gdyż był istotnie wielkim nowatorem, który powieści swe opierał na dokładnych studiach dokumentów historycznych. On był ojcem literackim Zoli. George Eliot nie należał do mych ulubionych autorów, lecz Trollope’a uważałem zawsze za pisarza bardzo oryginalnego, jakkolwiek sędzę, że jego ród literacki wywodzi się od Jane Austen. Trudno dziś o pisarza absolutnie oryginalnego. Zawsze jest ten punkt styczny, w którym nawet największa gałąź łączy się ze swym pniem.

Z literatów, z którymi się wtedy zaznajomiłem, najlepiej przypominam sobie grupę zebraną wokół nowego miesięcznika pt. „The Idler”, założonego przez Yerome K. Yerome, słynnego autora powieści „Trzech panów w łódce”. Powieść ta przesycona jest bujnością i radością życia, z którymi młodość wkracza w świat, w takiej mierze, że dziś jeszcze, gdy mnie czasem smutek opanuje, nie mogę powstrzymać śmiechu po otworzeniu tej książki. Yerome jest jednym z tych prawdziwych humorystów, którzy na życie patrzą bardzo serio; był on jednak skłonny do gwałtownych wybuchów i nietolerancji w dziedzinie politycznej co odstręczało od niego wielu przyjaciół. Współwydawcą rzeczzonego pisma był niejaki Robert Barr, Amerykanin pochodzenia szkockiego, człowiek wulkanicznego temperamentu przy najlepszym sercu. Był to jeden z najlepszych gawędziarzy, jakich znałem. Co do jego twórczości literackiej mam wrażenie, że nie spotkała się ona z należyтым uznaniem. Redaktorem był George Burgin, postać z kart Dickensa, zaś głównymi współpracownikami byli Barrie, Zangwill i sporo innych, torujących sobie drogę do sławy i uznania. Z tymi wszystkimi spotykałem się od czasu do czasu na wspólnym obiedzie, gdyż jakkolwiek pozostawałem wierny miesięcznikowi „Strand”, rzeczy nie odpowiadające jego wymaganiom drukowałem w piśmie „The Idler”.

Dwa fakty z tego okresu wysuwają się na czoło w mej pamięci. Jednym był spodziewany wybuch wojny z Francją. Pod wpływem powszechnej wiary w tę wojnę, począłem robić starania o stanowisko korespondenta wojennego na Morzu Śródziemnym, będąc pewny, że tam skupi się cała akcja i zainteresowanie. Posadę otrzymałem i poczyniłem przygotowania do wyjazdu, lecz na szczęście przesilenie zostało zażegnane. Drugim była moja pierwsza próba w zakresie literatury scenicznej. Napisałem nowelkę pt. „A Straggler of ‘15” („Maruder z r. 1815”), która zawierała wzruszający obraz starego wiarusa. Mnie samemu łyzy stawały przy pisaniu jej, jest to najpewniejsza droga do wzruszenia innych. Przerobiłem ją na jednoaktówkę i zebrawszy się na odwagę posłałem H. Irvingowi, którego ubóstwiałem od czasu, gdy w Edynburgu biegałem na galerię, by go zobaczyć w „Hamlecie”. Jakaż była moja radość, kiedy otrzymałem uprzejmy list od jego sekretarza, ofiarujący mi sto funtów za prawa autorskie. Opłaciła mu się ta sumka, gdyż rola Kaprała Grzegorza Brewster stała się jedną z głównych ról jego repertuaru i miała tę zaletę, że im bardziej się starał, tym naturalniej ją grał, a teatr śmiał się i płakał na przemian, tak jak ja przy pisaniu. Kilku krytyków objaśniało powodzenie wyłącznie genialną interpretacją Irvinga, twierdząc, że bez tego sztuka była mniej niż przeciętną. Na to mogę odpowiedzieć, że ostatnie jej przedstawienie jakie widziałem, odbyło się w małej wiosce i że rolę główną grał prawdziwy kapral z pobliskiego obozu. Mimo to wrażenie było takie samo jak to, które wielki Irving wywołał w Lyceum. Musiało więc być coś w sztuce samej, tym bardziej, że rękopis zawierał wszystkie wskazówki sceniczne. Dodam tu, że Irving przysyłał mi za każde przedstawienie gwineję (21 szylingów), mimo, że nabył prawa na własność. Henryk Irving, junior, grał tę rolę po śmierci ojca, moim zdaniem lepiej. Pamiętam dobrze jak się zarumienił i jak uściśnął dłoń, usłyszawszy to słowo „lepiej”. Nie wątpię, że musiało go boleć to wieczne mierzenie go miarą wielkiego ojca, do którego był tak uderzająco podobny. Jego przedwczesna śmierć była wielką stratą dla sceny, podobnie jak śmierć jego brata Wawrzyńca, który wraz ze swą żoną utonął w rzece św. Wawrzyńca w Kanadzie.

Z kolei muszę poświęcić kilka słów wielkiemu nieszczęściu, które zamroczyło nasze życie na długie lata. Jak już wspominałem, zrobiłem z żoną wycieczkę do Szwajcarii. Czy żona nadwreżyła swe płuca podczas niej, czy też zaraziła się w którymś z hoteli, trudno rozstrzygnąć; dość na tym, że w kilka tygodni po powrocie zaczęła kaszleć i skarżyć się na ból w boku. Nie przewidując nic poważnego, zawezwałem jednego z najlepszych lekarzy z sąsiedztwa. Jakież było moje przerażenie, gdy mi oświadczył, że płuca są bardzo poważnie zajęte, że ma wszelkie podstawy do orzeczenia, że to suchoty i że nie ma wielkiej nadziei zupełnego wyleczenia z uwagi

na fakt, że w rodzinie żony choroba ta często się powtarzała. Położenie moje stało się ciężkie; diagnozę lekarza potwierdził Sir Douglas Powell, którego umyślnie sprowadziłem. Lecz to zdwoiło moją energię; zwinąłem dom, sprzedałem niedawno kupione meble i z całą rodziną przenieśliśmy się do Davos, które dawało największą rękojmię zabicia tych mikrobów, niszczących życie mojej żony.

Zdaje mi się, że mam prawo twierdzić, iż cel został osiągnięty; jeśli zważymy, że były to tak zwane suchoty „galopujące” i że doktorzy nie dawali więcej niż kilka miesięcy życia, przedłużenie go od r. 1893 do 1906, tj. o lat trzynaście, dowodziło skuteczności stosowanych środków. Życie żony w otoczeniu cudownej przyrody nie było nieszczęśliwe; rzadko kiedy odczuwała ból i żyła z tym optymizmem, który jest tak właściwy chorobie i który odpowiadał jej spokojnej, pogodnej naturze.

Ponieważ Davos nie obfituje w rozrywki towarzyskie, mogłem oddać się nie tylko mej pracy literackiej, lecz także sportom zimowym, z których miejscowość ta słynie. Tam też rozpocząłem serię opowiadań pod zbiorowym tytułem „Brygadier Gerard”, opartą przeważnie na studiach, zawartych w znanym dziele „The Memoirs of General Marbot”. Praca ta wymagała sporo bardzo szczegółowych studiów epoki napoleońskiej; mam jednak przekonanie, że militarna strona mej pracy odznaczała się ścisłością, zwłaszcza, że otrzymałem list z gorącym uznaniem od słynnego korespondenta wojennego Archibalda Forbesa, który jest znawcą wojen napoleońskich. Przed końcem zimy lekarze zapewnili nas, że postęp choroby został wstrzymany. Obawiając się wracać do Anglii, gdzie stan zdrowia mógłby się znowu pogorszyć przenieśliśmy się na lato do uzdrowiska Maloja, w samym końcu doliny Engadinu, gdzie stan zdrowia mej żony utrzymywał się na jednym poziomie.

W tym czasie zamieszkała przy nas siostra moja Lottie, która nareszcie mogła zarzucić wycieranie cudzych kątów. Młodsza siostra przybyła do nas z Portugalii już w Norwood, gdzie poznała powieściopisarza E. W. Hornunga, za którego wyszła później za mąż. Obecnie polepszenie się znacznie zdrowia mej żony i pobyt siostry Lottie przywróciły mi nieco swobody ruchów, tak, że otrzymawszy propozycję wygłoszenia szeregu odczytów o literaturze w Ameryce, postanowiłem ją przyjąć i udać się w tę podróż jesienią r. 1894.

Chciałem mieć jakiegoś towarzysza w tej wyprawie, zaprosiłem więc brata Innesa, który ukończył właśnie Akademię Wojskową w Woolwich w stopniu oficera. Przebyliśmy ocean na niefortunnym liniowcu niemieckim Elbę, który niedługo potem zatonął, zderzywszy się na Morzu Północnym ze statkiem węglowym. Miałem znowu sposobność zaobserwowania tej irracjonalnej nienawiści wszystkiego co brytyjskie, która w dwadzieścia lat później miała przywieść do upadku imperium niemieckie. Pamiętam, że jednego dnia przy okazji jakiejś uroczystości, salon okrętu udekorowano obficie flagami niemieckimi i amerykańskimi, nie wywieszając wcale brytyjskiej, mimo znacznej ilości Anglików na liście podróżnych. Wtedy to obaj z bratem narysowaliśmy flagę brytyjską i przymocowaliśmy ją w miejscu widocznym, gdzie się nieco zanadto rzucała w oczy.

Przygotowaniem moich odczytów zajmował się Amerykanin, niejaki major Pond. Był to typowy Jankes, wysoki, olbrzymich członków, z krótką bródką i nosowym głosem. Brał on udział w wojnie secesyjnej i w każdym ważniejszym wydarzeniu swych czasów.

Był to człowiek miły, zacny i uczynny, tak, że zawarliśmy wielką przyjaźń. Spotkał nas w dokach i zaprowadził do małego hotelu, położonego w pobliżu klubu literackiego „Aldine”, gdzie stołowaliśmy się.

Zaraz po przybyciu czekała mnie ciężka praca, która nie dawała wiele czasu na robienie spostrzeżeń. Lista odczytów ułożona przez Ponda była długa, lecz tak rozłożona, że na Boże Narodzenie miałem stanąć z powrotem w Davos. Pierwszy mój odczyt odbył się w modnym

kościół Baptystów, w którym każdy nowy prelegent Ponda rozpoczynał swą serię. Z poczekalni wchodziliśmy na estradę, kiedy nagle poczułem, że coś dotyka mego ucha. Przekonałem się, że był to koniec odpiętego kołnierzyka, że mój krawat obsunął się a spinka wypadła i znikła bez śladu. Stałem na brzegu estrady. A Pond wręczył mi swoją spinę i mogłem wszystko doprowadzić do ładu, podczas gdy mój impresario wyszedł uzupełnić swą garderobę. Dziwne, jak mała rzecz może zapobiec w ostatniej chwili bezwiednemu ośmieszeniu się wobec publiczności.

Odczyt spotkał się z dużym aplauzem. Mój sposób czytania polega na jak największej naturalności, bez afektacji i bez aktorstwa. Wyczerpuje to mniej i prelegenta i słuchaczy. Podczas odczytu cytowałem nowszych autorów brytyjskich, włączając również wyciągi z moich własnych utworów, że zaś mieszałem rzeczy poważne z wesołymi, więc nie znużyłem publiczności. Prawda, że niektóre pisma oświadczyły, że nie umiem wcale czytać, chcąc przez to powiedzieć, że nie recytowałem jak aktor, lecz inne godziły się na moją metodę. W każdym razie przyjęcie przez publiczność było pełne entuzjazmu, tak, że Pond oświadczył mi na drugi dzień, iż spał z uśmiechem na ustach. Nie miał on żadnej trudności z zamówieniami na odczyty, które wygłaszałem w każdym mieście między Bostonem na północy a Waszyngtonem na południu, podczas gdy na zachodzie granicą były Chicago i Milwaukee. Czasem postępowały one tak szybko jeden po drugim, że na nic innego nie było czasu. Tak na przykład raz wygłaszałem odczyt w Daly's Theatre w Nowym Yorku popołudniu a wieczorem tego samego dnia w Princetown College, odległym o jakieś sto mil, a drugiego dnia popołudniu w Filadelfii. Nic też dziwnego, że wkrótce poczułem się bardzo zmęczonym, zwłaszcza, że sama gościnność amerykańska tych czasów, kiedy o prohibicji nie myślano, pochłaniała niemal całą energię przyjmowanego gościa. Oczywiście trudno było odpowiadać na życzliwość odmową, lecz obowiązki prelegenta narażone były na niebezpieczeństwo. Jedyną przerwą i to bardzo miłą była wizyta, jaką złożyłem Kiplingowi. Wyłączając tych kilka dni, cały czas upłynął jak w kołowrocie, tak więc drogę powrotną spędziłem w kajucie, śpiąc i wypoczywając.

Dlatego też moje wspomnienia są mętne i niejasne, Dobrze jednak pamiętam tę chwilę, kiedy wchodząc na scenę Daly's Theatre, potknąłem się o drewniany próg i w zabawnych podskokach posunąłem się za daleko ku widowni, gubiąc trzymane pod pachą książki i papiery, wśród wesołego śmiechu publiczności i wołania „Bis! Bis!”.

Tę naszą wycieczkę zepsuł nam w pewnej mierze nastrój antybrytyjski, który od czasu do czasu ogarnia Stany Zjednoczone. Źródłem jego jest zawsze wspomnienie jakiejś chwili wczesnych dziejów Ameryki Północnej, wydobyte i rozdmuchane do ogromnych rozmiarów przez wrogięgo dziennikarza, lub polityka irlandzkiego. Dla podróżującego obywatela brytyjskiego wydaje się to niedorzeczne i godne zlekceważenia, gdyż wie on jak jednostronnym jest taki pogląd i jak pożądaną jest flaga amerykańska na każdej uroczystości brytyjskiej. O tym oczywiście przeciętny Amerykanin, który w Europie nie był, nie ma pojęcia. Pamiętam, że w pewnym klubie w Detroit wydano bankiet na nasze przyjęcie, podczas którego wino lało się obficie. Pod koniec jeden z naszych gospodarzy wygłosił mowę, w której ostro zaatakował Imperium Brytyjskie. Ja i mój brat, pospołu z dwoma Kanadyjczykami czuliśmy się wysoce dotknięci, usprawiedliwiając ten występ ilością wypitego wina. Mimo to poprosiłem o pozwolenie dania odpowiedzi, w której między innymi powiedziałem: „Wy, Amerykanie, żyliście dotąd w obrębie waszych własnych granic, tak, że nie wiecie nic o świecie poza tym obrębem. Obecnie jednak, gdy łąd wasz zapełnia się ludem, zmuszeni będziecie zetknąć się z innymi narodami. Skoro to uczynicie, przekonacie się rychło, że jest tylko jeden naród zdolny zrozumieć wasze zwyczaje i wasze aspiracje, który okaże wam sympatię. To jest wasz pierwotny kraj ojczysty, który teraz tak lubicie znieważać. Kraj ten to Imperium, lecz wkrótce i wy staniecie

się imperium i pojmiecie wtedy, że macie tylko jednego przyjaciela na świecie”. W jakieś dwa czy trzy lata później wybuchła wojna kubańska i zdarzył się ten znany epizod w zatoce Manilli, gdzie komendant brytyjski połączył się z Amerykanami przeciw Niemcom; zaszły też i inne wypadki, które potwierdziły prawdę moich słów.

Pisarz średnio zarabiający traci materialnie, wygłaszając serię odczytów w Ameryce, o ile seria nie jest bardzo duża. Przez stratę nie mam oczywiście na myśli straty pieniężnej, to znaczy deficytu aktualnego; sądzą jednak, że to co w odnośnym czasie zarobiłby piórem, byłoby intratniejszym. W moim wypadku, po opłaceniu wszystkich wydatków zostało do dyspozycji mniej więcej tysiąc funtów. Rozporządzenie tą sumą stworzyło dziwny przykład wysłuchanej modlitwy. Opowiedział to zdarzenie S. S. Mc Clure, właściciel znanego miesięcznika amerykańskiego. Mówi, że w pewnym momencie pozostał jako właściciel nowo założonego pisma bez grosza na dalsze jego prowadzenie. Wtedy upadł na kolana w swoim biurze i począł się modlić, prosząc Boga o pomoc. Tego samego dnia Anglik, z którym nie znał się specjalnie dobrze wszedł do jego biura i położył na stole tysiąc funtów ze słowami: „Mc Clure wierzę w pana i w przyszłość pańskiego czasopisma.”. Ktoś usposobiony krytycznie mógłby zauważyć, że sprzedanie w takich warunkach tysiąca akcji po ich cenie nominalnej było nabraniem ufego kupującego. Istotnie przez długi czas nie było dla mnie jasne, czy Opatrzność, która widocznie czuwała wtedy nad Mc Clurem, nie straciła mnie z oczu, lecz muszę przyznać, że ostatecznie obie strony wyszły z korzyścią na tej transakcji, gdyż po dwudziestu latach sprzedałem te akcje z dużą nadwyżką. Bezpośredni rezultat był jednak taki, że wróciłem do Davos z mym zarobionym zagwoźdżonym kapitałem więc bez widocznych korzyści.

Kiedy wróciłem, sezon w Davos był w całej pełni, żona moja miała się niezgorzej. W tym to czasie przyczyniłem się do rozwoju narciarstwa w Szwajcarii. Bawiliśmy się w Davos tak długo, że wytknąłem linie do gry w golf, co się nie na wiele zdało wobec nieprzewidzianej psoty ze strony krów, które miały zwyczaj żucia czerwonych chorągiewek. Z Davos przenieśliśmy się do Caux nad jeziorem genewskim, gdzie przez kilka miesięcy pracowałem spokojnie i bez przerwy. W jesieni odwiedziłem Anglię zostawiwszy moje panie w Caux, i wtedy to zaszły zdarzenia, które zmieniły drogę naszego życia.

XII EGIPT W 1896 R

ŻYCIE W EGIPCIE. — PRZYPADK. — TWÓRCY EGIPU. — W GÓRĘ NILU. — SŁONE JEZIORA. PRZYGODA W PUSTYNI. — PUSTELNIA KOPTÓW. — PUŁKOWNIK LEWIS. — NIESPODZIANKA.

Ten przeklęty mikrob, który tak doszczętnie zdeorganizował system naszego życia i sprawił tyle cierpienia, nie dawał znaku życia tak długo, że zdaniem lekarzy, spędzenie jednej zimy w Egipcie powinno było przywrócić zupełne zdrowie. Podczas mej krótkiej wycieczki do Anglii, dokąd od czasu do czasu musiałem się udać dla przypilnowania moich spraw, spotkałem się z Grant Allenem, który mi oznajmił, że on także cierpiał na suchoty, ocalenie swe zawdzięcza powietrzu południowej Anglii, w miejscowości Hindhead, w Surrey. Świadomość, że żona moja mogłaby jednak żyć w Anglii, bez narażenia się na powrót choroby, dodała mi energii i udałem się bez zwłoki do Hindhead, zakupiłem piękny kawałek gruntu pod budowę, powierzyłem sprawę wybudowania odpowiedniej willi memu przyjacielowi z Southsea, architektowi Bali, i jesienią 189S opuściłem Anglię z nadzieją, że jeśli pobyt w Egipcie okaże się skuteczny, wrócimy następnego lata pod własny dach. Ta nadzieja zdała się dla mej żony najlepszym lekarstwem.

Po przybyciu do Caux wybraliśmy się natychmiast wygodną drogą przez Włochy (zatrzymując się na kilka dni w Rzymie) do Brindisi, skąd statek zabrał nas do Egiptu. Przybywszy do Kairu stanęliśmy w hotelu Mena, prawie w cieniu Piramid, z postanowieniem spędzenia tam całej zimy. Moja praca literacka skupiona była jeszcze ciągle na serii Brygadiera Gerarda, do której nagromadzone materiały historyczne przywiozłem ze sobą, że mi nie brakło niczego prócz energii, która mnie jakoś opuściła w tym wyczerpującym siły klimacie.

Na ogół spędziliśmy zimę bardzo przyjemnie; ja nawet wdrapałem się raz na Wielką Piramidę, po czym postanowiłem nie czynić tego więcej, zadowolając się obserwowaniem nieskończonego łańcucha turystów, którzy wysilali się dla dokonania tego zupełnie bezcelowego czynu. Poza tym uprawiałem grę w golf i jazdę konną. W dziedzinie tego sportu byłem jeszcze wielkim nowicjuszem, wierząc zaś w praktykę, dosiadałem co dnia jednego z półdzikich rumaków, utrzymywanych dla wygody gości w sąsiednich stajniach. Jeden z nich dał mi się dobrze we znaki. Fakt, że górna powieka mojego prawego oka jest nieco obwisła, nie jest rezultatem mych filozoficznych medytacji, lecz dziełem niekarnego wierzchowca, który ruszył z kopyta, jak szalony, zanim zdołałem przerzuconą przez grzbiet nogę osadzić w strzemieniu. Jak długo pędziliśmy przez pustynię miałem nadzieję, że wszystko skończy się dobrze z chwilą, gdy dzika bestia poczuje zmęczenie, gdyż mimo, to że tylko jedną nogę miałem w strzemieniu, trzymałem się jako tako. Na nieszczęście dotarliśmy do jakiegoś uprawnego pola, gdzie mu się rychło nogi splątały, upadł, zaś ja przeleciałem ponad jego głową, nie puściwszy lejc z rąk. Zanim zdołałem powstać otrzymałem cios kopytem ponad okiem. Przyprowadziłem konia z powrotem, ale musiałem wyglądać jak krwawe widmo, gdyż zadana w formie gwiazdy rana krwawiła obficie. Pięciu ściegów trzeba było dla jej zaszycia, byłem jednak rad, że oko nie ucierpiało.

Żona moja czuła się obecnie o tyle zdrową, że mogła brać udział w życiu towarzyskim. Poznaliśmy zatem Kair, chociaż odległość naszego hotelu, stojącego jakieś siedem mil poza miastem, nie zachęcała do zbyt częstych wycieczek. Sam udawałem się tam częściej, głównie w celu poznania niektórych wielkich ludzi, którzy odegrali wybitną rolę w kształtowaniu losów i

dziejów nowoczesnych Egiptu. Tym nowym znajomościom poświęciłem wówczas kilka szkiców, z których przytoczę tu dwa krótkie ustępy.

„W hali Klubu sportowego znajduje się szeroka i wygodna kanapa; usiadłszy na niej w południe, można się napatrzeć do syta dość licznej grupie tych Anglo–Egipcjan, którzy kierowali lub kierują jeszcze losami tego kraju w naszych czasach. Z pomienionego miejsca ma się otwarty widok na ulicę, którą nagle przejeżdża powóz, z angielskim stangretem na koźle. W powozie siedzi człowiek o twarzy rumianej z siwym, krótko po żołniersku przyciętym wąsem, z wyrazem nie pozbawionym dobrego humoru, lecz nie określonym. To lord Cromer, który dzięki swej pracy w Egipcie, ze skromnego majora artylerii został parem Anglii i dzięki któremu Egipt z prowincji Wschodniej został prowincją Zachodu. Wystarczy spojrzeć na tego człowieka, by poznać tajemnicę jego powodzenia dyplomatycznego. Nawet jedno przelotne spojrzenie pozwala dojrzeć, że jest to człowiek umysłu jasnego, wielkiej odwagi, fizycznie zdrowy i żelaznych nerwów. Charakterystyczną jest też jego niedbała poza w chwili, w której dźwiga na swych barkach odpowiedzialność bodaj największą obecnie w świecie aktualnej polityki. Jest to poza, która nie dziwi u człowieka, przerywającego nagle dyplomatyczne posłuchania w chwili największego przesilenia politycznego oświadczeniem, że musi iść na partię tenisa. Nic dziwnego, że zyskał on zaufanie całego narodu i że wywarł głębokie wrażenie na umysłowość krajowców, którzy z trudnością zdają sobie sprawę z siły jednostki indywidualnej przy obecnym systemie naszego protektoratu.

Wszystko to jednak dygresja, odrywająca nas od wygodnej sofy Klubu Sportowego, pełnego tych Anglików, których dziełem jest obecnie odrodzenie Egiptu. Ze wszystkich wrażeń, jakie się otrzymuje w tym kraju, widok grupy energicznych i praktycznych Anglików jest niewątpliwie najsilniejszym. To oto siedzą panowie Garstin i Wilcocks, którzy ujarzmili oba brzegi Nilu tak, że zda się już przyszłość niedaleka, kiedy wody tej rzeki nie będą wcale dopływać do Morza Śródziemnego. Tam oto Kitchener, wysoki, prosty jak trzcina, milczący żołnierz, ze śladem kuli derwisza na twarzy. A dalej Rógers, który wytepił cholere, Scott, który zreformował prawodawstwo, Palmer, który obniżył podatki płacone przez fellahów, Hooker, który wytepił szarańczę, Wingate, który zda się znać uczucia każdego krajowca w Sudanie, zaś tuż obok niego siedzi mały człowieczek z rumianą i roześmianą twarzą i jasnożółtym wąsem; to Slatin, ten sam, który przez szereg lat był w służbie kalifa, a teraz chciałby go mieć przed sobą na odległość szabli”.

Niedługo po nowym roku (1896) zrobiliśmy wycieczkę na statku Gooka w górę Nilu, aż do ostatnich placówek cywilizacji w Wady Halfa. Brzegi górnego Nilu nie były bezpieczne, gdyż można było widzieć bandy Arabów na wielbłędach, gotowe do napaści, statek dawał jednak dostateczne bezpieczeństwo. Mimo to miałem przekonanie, że kierownicy tych wycieczek biorą na siebie zbyt wielką odpowiedzialność. Przekonanie to zamieniło się w pewność, gdy raz znalazłem się na skale Abousir z gromadą turystów obojga płci, w miejscu, gdzie nas nic nie oddzielało od koczujących krajowców i gdzie między nami a najbliższym posterunkiem wojskowym płynęła rzeka. Dodani dla bezpieczeństwa naszego czterej żołnierze murzyńscy nie wskóraliby nic, gdyby się nagle ukazała gromada tych dzikich jeźdźców na wielbłędach. Odniesione wrażenie, dało mi do opracowania takiej sytuacji. W ten sposób powstał utwór „The Tragedy of Korosko”, wydany w Ameryce p.t. „A Desert Drama”, którego przeróbka sceniczna nosiła później tytuł „The Fires of Fate”. Prawda, że nas wtedy nic nie spotkało, lecz oficerowie brytyjscy zgadzali się ze mną, że ryzyko było zbyt wielkie. Ponieważ wszystkie siły pograniczne miały ochotę posuwać się naprzód pod jakimkolwiek pretekstem, nie miałyby one nic przeciw temu, gdyby Derwisze dali się znieść na zastawioną co tydzień pułapkę, w formie grupy wycieczkowiczów.

Trudno byłoby mi wymienić liczbę świątyń, zwiedzonych przez nas podczas tej wycieczki, było ich mnóstwo. Niektóre z nich pochodziły z czasów zamierzchłej przeszłości, inne były tak świeżej daty, jak czasy Kleopatry i Rzymian. Najbardziej znamiennym rysem Egiptu jest majestatyczna ciągłość jego historii. Gdy się bada grobowce Pierwotnej Dynastii w Abydos, widzi się rzeźbione głęboko w kamieniu wyobrażenia świętego jastrzębia, gęsi i siewki, znaki Horusa i Ozyrysa, Górnego i Dolnego Egiptu. Rzeźby te powstały przed budową piramid, tak że muszą mieć około czterech tysięcy lat przed Chrystusem. Z kolei ogląda się świątynię zbudowaną przez Ptolomeuszów, już po Aleksandrze Wielkim, i widzi się znowu te same symbole, wykute w ten sam sposób. Nie ma drugiego takiego wypadku w dziejach świata. Cesarstwo Rzymskie i Imperium Brytyjskie nie mogą nawet się porównywać. Mierzone miarą ciągłości dziejowej Egiptu, czasy Alfreda Wielkiego byłyby po prostu naszym wczoraj, mało co różnym od naszego dzisiaj. Zda się że tamta rasa uległa jakiemuś skamienieniu, trudno jednak zrozumieć, że nie uległa naporowi jakiejś młodszej, silniejszej nacji.

Sztuka ich stała niewątpliwie wysoko, ale ich władze umysłowe nie budzą podziwu. Świeże odkrycie grobowca królewskiego w pobliżu Teb — piszę te słowa w r. 1924 — wykazuje jak wspaniałymi były ich dekoracje i przybory użytkowe. Lecz sam grobowiec dowodzi niskiej inteligencji. Myśl, że ciało zużyty zewłok, osłaniający za życia duszę, powinien być przechowany za wszelką cenę, jest szczytem materializmu. A te setki kosztów, pełnych wiktuałów dla zaopatrzenia duszy! Mam mocne przekonanie, że ludzie z podobnymi pojęciami, musieli być bardzo słabo rozwinięci umysłowo. To los każdego społeczeństwa, które się poddaje władzy duchowieństwa.

Ktoś z naszych nowych znajomych poddał myśl, że powinienem zrobić wycieczkę do Słonych Jezior leżących jakieś pięćdziesiąt mil od Kairu i zwiedzić tam starą pustelnię koptyjską. Te pustelnie, siedziby świętych i maniaków na przemian, budziły we mnie wielkie zainteresowanie, gdyż pochodziły one z czasów wczesnego chrześcijaństwa. Wprawdzie data ich powstania jest często niepewna, lecz wszystkie szczegóły wskazują na starożytność, nie ulega zaś wątpliwości, że były one wytworem pustelników, którzy zaludnili tę pustynię w trzecim i czwartym wieku po Chrystusie.

Zostawiwszy żonę w hotelu, wybrałem się z pułkownikiem Lewisem, z armii egipskiej, świetnym towarzyszem i doskonałym przewodnikiem. Przybywszy do małej stacji zastaliśmy tam dziwaczny pojazd, oczekujący naszego przybycia. Przypominał on powozy, używane w cyrku. Okazało się, że był to powóz dworski, przygotowany ongiś dla Napoleona III, który miał przybyć w celu otwarcia Kanału Sueskiego. Musiała to być niezła robota, skoro, był jeszcze zupełnie dobry do użycia. Jedynie jego złoceń i koronkowe firanki raziły na tle majestatycznej prostoty Pustyni Libijskiej.

Wsiadłszy do tego powozu ruszyliśmy naprzód, mając za przewodnika jedynie ślady kół w piasku, które w miejscach bardziej ubitych były prawie niedostrzegalne. Dokoła nas rozpościerała się nieprzemierzona żółta pustynia piasku, zaś w dali za nami widać się wstęgę drzew zielonych, znacząca bieg Nilu. Raz ujrzelśmy przed sobą jakiś czarny punkt, który w miarę zbliżania się, przybrał postać krajowca. Doszedłszy do nas, utworzył on czarne, spieczone usta i zawołał: „Moya! Moya!”, co znaczyło: „Wody! Wody”. Nie mając ze sobą nic do picia, nie mogliśmy ugasić jego pragnienia, lecz wskazaliśmy na widniejącą za nami zieloną wstęgę, ku której nieszczęsny wędrowiec ruszył, zataczając się.

Niedługo spotkała nas dziwna i niezwykła przygoda; oto nagle niebo zachmurzyło się i zaczął padać deszcz, w tych stronach zjawisko prawie nie znane. Mimo ulewy posuwaliśmy się z wolna naprzód, zaś pułkownik Lewis wyzyskiwał każdą sposobność dla wykonania jakiegoś ćwiczenia fizycznego, biegł obok powozu, z trudnością ciągnionego w grząskim piasku przez parę koni.

Pamiętam, że powiedziałem mu iż nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będę jechał przez Pustynię Libijską w powozie imperatora z pułkownikiem, biegnącym obok jak niewolnik. Nagle, w gasnącym świetle dnia, nubijskiego woźnica zsiadł z kozła i począł badać grunt, po czym dał znać gestami rąk, że zgubił ślad i że nie wie, gdzie się znajdujemy. Trudność polegała na wskazaniu południa i północy. Położenie było niemiłe, gdyż nie mieliśmy ze sobą ani wody, ani żywności. Noc zapadła szybko, rzuciwszy okiem w górę na przelatującą nad nami mgłę, dojrzałem nagle między chmurami znaną mi konstelację, która wskazywała kierunek północy. Istotnie, udawszy się w tym kierunku, badając grunt co kilkadziesiąt sążni, natrafiliśmy wreszcie na zgubiony ślad.

Przygody nasze nie zakończyły się jednak; przeciwnie, cała ta podróż była na kształt dziwnego snu. Wymagało wielkiej czujności z naszej strony, by nie zatracić koleiny, więc szliśmy naprzód z latarkami w rękę, za nami zaś posuwał się powóz, trzeszcząc i grzęznąc. W pewnej chwili ujrzelśmy w oddali światelko; przyśpieszyliśmy kroku i wkrótce znaleźliśmy się koło jakiegoś rudego brodacza, który siedział obok namiotu przy stoliku, na którym rysował w świetle lampki. Deszcz przestał padać, lecz niebo było jeszcze zachmurzone. W odpowiedzi na nasze pozdrowienia, człowiek ten odparł mruklawie, że jest Niemcem, czyniącym pomiary w pustyni. Kiedy oznajmiliśmy mu o celu naszej podróży, wskazał ręką kierunek, którego mieliśmy się trzymać i oświadczył, że jesteśmy niedaleko miejsca naszego przeznaczenia. Opuściwszy namiot brodacza, udaliśmy się we wskazanym kierunku, lecz po pewnym czasie straciliśmy znów ślad i posuwaliśmy się na dół na oślep. Nareszcie po jakichś dwóch godzinach ujrzelśmy w oddali migocące światelko; niestety, zbliżywszy się, przekonaliśmy się, że był to namiot tego samego brodacza, krążyliśmy więc w kółko. Otrzymaawszy nowe wskazówki ruszyliśmy w drogę i tym razem dotarliśmy w określonym czasie szczęśliwie do drewnianej budy, która znaczyła połowę naszej drogi. Posiliwszy się nieco rzuciliśmy się na leżaki i wyczerpani szybko zasnęliśmy.

Ranek wynagrodził wszystkie niepowodzenia poprzedniego dnia. Powietrze było chłodne, rześkie i jasne, napełniające otuchą i poczuciem zdrowia; nawet jednostajny obraz żółtego z czerwonymi skałami, z błękitną kopułą nad nimi, usposabiał rozweselające. Po kilku godzinach drogi dotarliśmy szczęśliwie do Natron Lake, wielkiego słonego jeziora, nad którym w jednym miejscu stało kilka rozrzuconych tu i tam domów, w których robotnicy wysuszali sól. O jakieś dwie mile od jeziora stał klasztor, lub raczej pustelnia, cel naszej podróży. Dziś, gdy liczba domków robotniczych nad jeziorem wzrasta, nie jest ten klasztor tak osamotniony, lecz przed — powstaniem tej kolonii robotniczej, było to jedno z najmniej dostępnych miejsc. Klasztor otoczony był wysokim wałem zewnętrznym z trwałej gliny. Nie było tam ani drzwi ani okien, lecz jeden mały otwór, zza którego można się było łatwo bronić. Kiedy znaleźliśmy się wewnątrz, wyczułem, że wizyta nasza nie sprawia gospodarzom tej siedziby wielkiej przyjemności, lecz wojskowa ranga mego towarzysza budziła widoczny szacunek. Oprowadzono nas dookoła dziedzińca wewnętrznego, gdzie był ogród i drzewa palmowe; z kolei pokazano nam wewnątrz domków pustelniczych, zbudowanych wewnątrz wspaniałego wału. W pobliżu tych domków stała beczka pełna jakiejś substancji, która z wyglądu i kształtu przypominała zaokrąglone kamyki rzeczne. Zapytałem, czy służyły one do odpierania atakujących Arabów, lecz powiedziano mi, że to zapas placuszków, zastępujących chleb. Poczęstowano nas słodkim winem, w rodzaju tego, które do dziś jeszcze jest używane przy komunii. Przeor tej pustelni wydał mi się bardzo przyzwoitym człowiekiem. Ponieważ się uskarżał na dolegliwości fizyczne, zbadałem go bardzo sumiennie i przyrzekłem mu posłać pewne lekarstwo z Kairu. Dotrzymałem później tej obietnicy, czy jednak przesłane lekarstwa doszły do jego rąk, nie wiem. Niektórzy z braciszków wyglądali jak ludzie przeżyci; na ogół panowała tam atmosfera niedołęstwa i

lenistwa; czy to moje wrażenie było słuszne, trudno mi zaręczyć. Kiedy z wysokości zewnętrznego muru zobaczyłem pustynię piaskową, jak okiem sięgnąć, odniosłem dziwne wrażenie na myśl, że to jest wszystko na co oczy tych ludzi patrzą. Cóż za kontrast z moimi mnogimi i różnorodnymi wrażeniami i zajęciami! Była tam wprawdzie biblioteka, lecz książki przeważnie stare, zawierające prawdopodobnie cenne rzadkości, wały się po ziemi. Od odkrycia „Codex Sinaiticua” wszystkie te koptyjskie biblioteki zostały zapewne zbadane przez specjalistów, lecz w owych czasach można tam było na pewno znaleźć niejedną cenną rzecz.

Następnego wieczoru byliśmy obaj z powrotem w Kairze. Po drodze nie słyszeliśmy żadnych nowin i najspokojniej w świecie byliśmy zajęci myciem rąk przed obiadem w Klubie Sportowym, kiedy ktoś ze znajomych wszedłszy do umywalni, zawołał:

— Jak to? Pan tutaj, panie pułkowniku? A gdzie pańska brygada?

— Moja brygada? — zapytał Lewis, nie rozumiejąc o co chodzi.

— Czy pan był może gdzieś poza miastem?

— Tak, nad jeziorem Natron.

— Na Boga! To pan nic nie wie?

— Nie! Co takiego?

— Ależ człowieku, wojna wypowiedziana! Idziemy na Dongolę! Armia koncentruje się wzdłuż granicy, a pan dowodzi brygadą czołową!

— Tam do diabła! — Mydło wypadło z rąk Lewisa. Zdawało się, że i on padnie, jak piorunem rażony. Tak dowiedzieliśmy się o nowej przygodzie, która otwierała się przed nami i przed Imperium Brytyjskim.

XIII

POD BOKIEM BURZY

**ŚRODEK BURZY. — NA FRONT. — ASUAN. — PODNIECENIE OFICERÓW. — WŚRÓD
DZIENNIKARZY. — DŁUGA JAZDA NA WIELBŁADZIE. — POCHODY NOCNE. — HALFA.
— GWYNNE Z „MORNING POST” — ANLEY. — NAGŁA PODRÓŻ. — MORELE I
RUSSEAU.**

Jest rzeczą niemożliwą znaleźć się w pobliżu sceny wypadków historycznych bez ochoty wzięcia w nich udziału, lub bodaj przypatrywania się im z bliska. Egipt stał się nagle ośrodkiem burzy światowej a przypadek sprawił, że się tam znalazłem. Oczywiście czułem od pierwszej chwili, że nie zostanę w Kairze, że muszę się dostać na front. Był to marzec i niedługo miały nastąpić za wielkie dla mojej żony upały, która jednak oświadczyła gotowość pozostania do kwietnia, pod warunkiem, że postaram się na ten czas wrócić. Sądzono wówczas powszechnie, że lada dzień nastąpi jakiś wielki wypadek; patrząc wstecz trudno dojrzeć na czym się to przekonanie opierało. Bądź co bądź ja czułem nieprzepartą chęć udania się na południe jak najszybciej. Jedna tylko droga stała dla mnie otworem. Wszystkie wielkie, poranne dzienniki londyńskie miały swych przedstawicieli na miejscu. Lecz dzienniki wieczorne musiały dopiero się starać o korespondentów. Zatelegrafowałem do „Westminster Gazette” ofiarując tymczasowo bezpłatnie usługi korespondenta. Przesłano mi pomyślną odpowiedź telegraficznie. Uzbrojony tą depeszą udałem się do odpowiednich władz i w ciągu dwóch dni załatwiłem wszystkie formalności.

Drogę na front miałem odbyć sam; trzeba się też było napędce wyekwipować. Kupiłem jakiś olbrzymi rewolwer wyrobu włoskiego i setkę naboji, tudzież drewnianą flaszkę na wodę, która każdy płyn wlany do wnętrza zaprawiała smakiem terpentyny, tak, że woda w niej zamieniała się w rodzaj politory. Zanim wróciłem z mej wyprawy, nauczyłem się pić każdy płyn, który mógł zwilżyć spragnione i spalone usta.

Zaopatrzony w lekki płaszcz koloru „khaki”, ubrany w rajtuzy i obwieszony zwyczajnym ładunkiem, z małą walizką w ręku, udałem się z Kairu pociągiem do Asjut gdzie czekał mały statek rzeczny, — pełen oficerów, zdążających na front; w ich towarzystwie spędziłem kilka miłych dni w drodze do Asuan. Było między nimi kilku młodszych oficerów, którzy od tego czasu doczekali się sławy i wysokich godności; był więc Maxwell, obecnie generał Sir John Maxwell i Hickman, tudzież młody porucznik kawalerii niejaki Smythe, który zdał mi się zbyt delikatnym do wojennego rzemiosła, który jednak niedługo potem został oznaczony Krzyżem Wiktorii. Nic nie zwoździ bardziej w zawodzie wojskowym, jak wygląd zewnętrzny. Przekonali się o tym Niemcy, którzy uważali brytyjskich wyspiarzy za „naród wojenny”.

Wielkim pytaniem na początku kampanii była kwestia wartości bojowej oddziałów krajowców, fellahów. Pięć batalionów murzyńskich, wypróbowanych już dawniej, nie budziło wątpliwości, lecz osiem czy dziewięć egipskich nie dawało tej pewności. Arabowie Sudańscy to fanatycy, którzy rzucają się na wroga z podniesioną włócznią, nie bacząc na kule. Czy Egipcjanie zdołają wytrzymać te szalone ataki? Nie mając co do tego pewności, postanowiono umieścić między nimi bataliony brytyjskie. Oddziały krajowców miały jedną wielką zaletę, mianowicie tę, że oficerami byli ci najlepsi, doborowi żołnierze brytyjscy. Kitchener nie przyjmował do tej służby żonatyh, gdyż musiała to być służba całą duszą, niemal desperacka, życie było zajmujące i pełne przygód, zaś płaca bardzo wysoka, więc miał on sam kwiat nowoczesnego żołnierza.

Dziwny przedstawiali oni widok, ze swymi twarzami jasnymi, Inianym wąsem i czerwonymi turbanami na głowach.

Stosunek tych oficerów do podwładnych im żołnierzy był ojcowski. Ile razy oficer wojsk krajowych udał się do Kairu, wracał z kuferkiem pełnym słodczy i bakalii dla swych ludzi, zwłaszcza o ile ci byli murzynami. Egipcjanie budzili mniej zaufania i sympatii, lecz ich oficerowie byli także wobec nich bardzo lojalni i z niechęcią przyjmowali ogólne niedowierzanie, okazywane przez resztę armii. Kiedy w czasie jednej z pierwszych walk, jakiś oficer brytyjski pochwyił chorągiew nieprzyjacielską, zawołał on: „Nie wpadnie już ona w ręce Anglików!” Ten duch dumy i współzawodnictwa nadaje wartość brytyjskiemu oficerowi wojsk krajowych czy to w Egipcie czy w Indiach. Nawet podczas wielkiego buntu w Indiach, nie pozwalali oni czynić zarzutów swym żołnierzom, którzy ich jednak wymordowali.

W Asuan trzymano nas cały tydzień; nikomu nie było wolno posuwać się dalej. I tak byliśmy już w obrębie najazdów arabskich, które przed rokiem zdarzały się nawet dalej na północy. Pustynia pod tym względem jest jak morze; kto bowiem ma wielbłądy — te statki pustyni — ten może zadać cios, gdzie mu się podoba, gdyż wróg spostrzega najeżdżęc dopiero w ostatniej chwili.

Ta możliwość nie niepokoiła zupełnie tego tłumu oficerów, którzy zdali się tak mało myśleć o grożących niebezpieczeństwach, jak gromada turystów w czasie pokoju. A jednak każdy z nich wiedział dobrze, że z ostatniej armii Hicksa Paszy, która się udała na południe, mało kto powrócił. Raz tylko widziałem ich w podnieceniu. Wróciwszy raz do hotelu, który służył za główną kwaterę, zobaczyłem całą gromadę oficerów, cisnących się koło tablicy, na której wywieszono ogłoszenia i dyskutujących z wielkim ożywieniem nad wywieszonym tam świeżo telegramem. „Ha! pomyślałem sobie — nareszcie coś zdołało przebić i poruszyć te natury, tak obojętne i nieporuszone. Nic innego tylko Kalif nadciąga z całą swą armią i lada dzień nastąpi bitwa”. Zbliżywszy się do tablicy, przekonałem się, że odnośny telegram donosił o wyniku wiosennych regat między Oxford i Cambridge.

Mimo to uderzał mnie ich zapał i gorliwość, połączona z dyscypliną. Taki Hickman przez cały czas podróży na statku nie mówił o niczym innym tylko o planie kampanii. Kiedyśmy przybyli do Asuanu czekał nań rozkaz udania się do Kenet dla zakupu wielbłądów. Musiał to być cios dla człowieka, który się rwał na pole walki. — Nic nie szkodzi, — rzekł spokojnie, gdy wyraziłem mu współczucie, — oczywiście musimy mieć wielbłądy, a nikt sprawy tej nie załatwi lepiej niż ja. Ostatecznie wszyscy pracujemy dla jednego. Tego rodzaju samozaparcie jest rzeczą powszechną. Najlepszy typ oficera brytyjskiego jest naprawdę świetnym okazem ludzkim, jest powiększonym wydaniem wychowanka szkoły publicznej, który wszelkie poważne przedsięwzięcie pokrywa żartobliwą, lekką gwarą i woli raczej zginąć, niż przyznać się do tego. Opowiadano mi o trójce tych młodych oficerów, wykonujących ważną pracę na samym końcu drogi żelaznej, w stanie febry, która nie tylko mogła lecz powinna ich być zwolnić od wszelkiej pracy. Każdego wieczoru wrzucał każdy z nich dolara do kapelusza, po czym mierzyli temperaturę a ten, który miał najwyższą, zabierał trzy dolary.

Asuan leży u stóp Katarakty, która się ciągnie na jakieś trzysta mil, tak, że wszystko musi być wyładowane ze statku, przewiezione na małej, wąskotorowej kolejce i władowane na inne statki parowe w Shellal. Było to olbrzymie zadanie i pamiętam jak współczułem kapitanowi Morganowi, który kierował tą ekspedycją. Morgan sprzedał mi przedtem konia i trochę się tego potem wstydził. Rychło jednak przekonał się, że nie mam do niego najmniejszej pretensji. Niech się kupujący pilnuje, gdy kupuje! Już wtedy spostrzegłem w kapitanie Morganie te zdolności organizacyjne, które pozwoliły mu odegrać rolę ważnego czynnika, nie tylko podczas wojny z

Burami, lecz i w wielkiej wojnie. Umarł on niedawno (1923) w randze generała, syty chwały i odznaczeń.

Pewnego dnia przybyli nareszcie korespondenci wielkich pism. Po kilku dniach pokumaliśmy się tak, że mnie przyjęli do swego grona i mieliśmy ruszyć razem w dalszą drogę. Było nas razem pięciu, pod wodzą Knighta, przedstawiciela „Timesa”; był to olbrzym, wysoki i muskularny, którego ulubionym sportem była żegluga na jachcie. Słynął on także jako podróżnik, poszukiwacz skarbów, żołnierz i uczonec. Drugim był Sendamore z „Daily News”, mały, zwinnie, pełen celtyckiego temperamentu i humoru. Słynął jako kupiec wielbłądów, które kupował za pieniądze pisma, tak, że kiedy wydawca „Daily News” dowiedział się o wybuchu wojny z Burami, zauważył przede wszystkim: „Całe szczęście, że w Południowej Afryce nie ma wielbłądów”. Obserwować tego człowieka targującego się o cenę wielbłąda, równało się dobremu studium psychologii Wschodu. On mnie nauczył jak kupować wielbłąda. Odbywa się to mniej więcej tak: Arab przyprowadza stworzenie, które wygląda jak wcielenie niedorzeczności. By wyrazić oczyma odpowiednio to mieszane uczucie rozbawienia i pożałowanie jakie wywołuje swą postacią, trzeba by pożyczyć spojrzenia oczu tej żalostnej kreatury. Kupujący zapytuje o cenę; właściciel żąda szesnaście funtów. Niedoszły kupiec wydaje okrzyk pogardliwego oburzenia, macha ręką jakby odpędzał i wielbłąda i właściciela, odwraca się i bez słowa zmierza w innym kierunku. Jak daleko należy odejść, to zależy od żądanej ceny. Jeśli cena jest naprawdę wysoka, można wcale nie wracać. Normalnie jednak kupujący i sprzedający wykonują półkole i spotykają się znowu ze zdziwieniem, przy czym właściciel zapytuje, ile ma otrzymać. Odpowiedź brzmi osiem funtów. Z kolei on się oburza i poprzedni proceder powtarza się znowu z tą różnicą, że teraz on pierwszy się oddala. Po powtórzeniu tej sceny kilkakrotnie, ubija się cenę kupna na dwanaście funtów.

Lecz prawdziwy kłopot zaczyna się dopiero po kupieniu wielbłąda, który jest najdziwniejszym i najbardziej fałszywym stworzeniem na ziemi. Zachowuje on zawsze ten sam wyraz spokoju i godności, tak, że trudno nawet na chwilę przypuścić ile niecnego postępu czai się pod tą maską. Zbliża się to do człowieka z wyrazem lekkiego zainteresowania i wyższości, jak nauczycielka z niedzielnej szkółki. Zda się, że tylko brak mu okularów. Z kolei wysuwa łagodnie wargi z niewidzącym spojrzeniem daleko zapatrzonych oczu, wywołując w umyśle człowieka niewypowiedziane słowa: „Pocziwina — chce mnie pocałować”, gdy nagle, ledwie ta myśl zdała się przemknąć, przed oczyma przerażonego widza błyskają dwa rzędy groźnie zielonych zębów, które zwierają się z suchym trzaskiem automatu, zmusiwszy jednak przedtem widza do wykonania możliwie największego uskoku w tył. Od tej chwili trudno sobie wyobrazić coś bardziej demonicznego, jak pysk wielbłąda; ani łagodność, ani jak najdłuższe obcowanie, nie zdobędzie jego przyjaźni. Mimo to człowiek ceni to stworzenie, które może zrobić dwadzieścia mil dziennie, objuczone ciężarem sześciuset funtów, żądając po takim dniu tylko lekkiego posiłku bez napoju!

Lecz to tylko dygresja. Pozostali dziennikarze to byli Beaman z pisma „Standart”, który przybył prosto z Konstantynopola, wreszcie Julian Corbett, korespondent dziennika „Pali Mali”, bardzo miły człowiek, który z czasem miał się stać historykiem morskich walk i bitew w czasie Wielkiej Wojny. Podobnie jak ja, był on wtedy amatorem w zawodzie korespondenta wojennego i miał w oznaczonym czasie wrócić do Kairu.

Ponieważ było rzeczą jasną, że nic ważnego nie może zająć nagle, postanowiliśmy odbyć część naszej dalszej podróży łądem. Oddział kawalerii wyruszył właśnie w drogę na front, więc polecono nam udać się pod jego osłoną. My jednak mieliśmy przekonanie, że nam nie potrzeba takiej eskorty i ruszyliśmy sami. Wprawdzie podróż nasza wzdłuż prawego brzegu rzeki, bez żadnej obrony z lewej strony, przedstawiała pewne niebezpieczeństwo, woleliśmy jednak to

ryzyko, od ustawicznych tumanów kurzawy, wzbijanej przez cwałujący oddział kawalerii. Opuściliśmy Asuan wieczorem, na wielbłądach; za nami szły wielbłądy juczne i spory orszak służby. W cztery lub pięć dni później dotarliśmy do Korosko, gdzie wsiedliśmy na statek, który nas zawiózł na front do miejscowości Wadi Halfa. Wielbłądy, juki i służba szły lądem.

Nigdy nie zapomnę tych dni, a raczej nocy, gdyż wstawaliśmy o godzinie drugiej rano i najbliższy marsz odbywaliśmy do czasu pełnego świtu. Dziś jeszcze żyje we mnie pamięć fioletowego nieba, olbrzymich i niezliczonych gwiazd, półksiężyc, który z wolna płynął ponad nami, podczas gdy nasze wielbłądy, posuwające się bez szelestu, zdały się nieść nas bez wysiłku poprzez ten zaczarowany świat snu. Sendamore miał piękny barytonowy głos, który słyszę dziś jeszcze, jak się wznosi i opada w cichym powietrzu pustyni. Było w tym wszystkim coś z wizji, jakieś cudowne intermezzo życia rzeczywistego, przerwane jedynie niezwykłym czynem z mej strony, mianowicie upadkiem z wielbłąda na ziemię. Zdarzyło mi się nieraz spaść z konia, ale w tym wypadku doświadczyłem czegoś zupełnie nowego. Nie siedzi się na prawdziwym siodle, lecz na kawałku wklęsłej skóry, toteż kiedy mój wierzchowiec runął nagle na przednie kolana — bestia zobaczyła coś zielonego na ścieżce — ja machnąłem kozła przez jego łeb i znalazłem się na ziemi, co prawda bez szwanku, lecz nie bez zdziwienia.

Tkwi mi w pamięci kilka innych szczegółów, więc np. obraz jakiegoś jaszczura wodnego, nie krokodyla, leżącego na ławicy piaskowej. Łupnąłem doń z mego włoskiego rewolweru, który mógł prędzej zranić mnie niż jaszczura i widziałem, jak się płaz zwinął i zniknął w wodzie. Innym razem, gdy ścieliłem na noc moje posłanie, dojrzałem jakiegoś czarnego płaza z różkami, który węzowym ruchem zniknął mi z oczu. Był to najjadowitszy rodzaj żmii, długiej na jakieś osiemnaście cali. Innego wieczoru weszliśmy do jakiejś zrujnowanej chaty, aby sprawdzić, czy nadała by się na nocleg. W mdłym świetle świecy ujrzeliśmy jakieś stworzonko, które ja wziąłem za mysz, biegające w kółko po ziemi. Nagle, ku mojemu zdziwieniu, wybiegło ono w górę po ścianie, po czym znów zbiegło na ziemię i zatrzymało kręcąc groźnie w powietrzu przednimi nóżkami w naszą stronę. Ku mojemu przerażeniu Sendamore podskoczył w powietrze i z całej siły zdeptał to stworzenie, zamieniając je na kupę brudnej mazi. Była to prawdziwa tarantula, bardzo jadowita i w tych stronach bardzo pospolita.

Jeszcze inny obraz nasuwa mi się na pamięć bardzo wyraźnie. Z jakiejś przyczyny nie ruszyliśmy w drogę jednej nocy, także wczesny blask zastał nas spoczywających w naszym małym namiocie, wśród kępy drzew palmowych, w pobliżu ścieżki, która się wiała wzdłuż brzegu Nilu. Zbudzony ze snu, leżałem spowity kocem, patrząc przed siebie, gdy nagle ze zdumieniem dojrzałem jeźdźca, posuwającego się tą ścieżką. Był to Murzyn nubijski, olbrzymi, dziki, z zapadłymi policzkami, obwieszony mnóstwem srebrnych ozdób. Przez plecy miał przewieszoną długą strzelbę a z boku zwisał miecz. Trudno było sobie wyobrazić postać bardziej barbarzyńską; był to właśnie typ jednego z tych „Mahdi”, przed którymi nas ostrzegano. Nie lubię czynić alarmu, zwłaszcza, gdy jestem wśród ludzi, oswojonych z niebezpieczeństwem, udało mi się jednak zbudzić jednego z mych towarzyszy, który zmierzył okiem jeźdźca, mruczając pod nosem „tam do diabła”. Ów jeździec minął nas, nie patrząc nawet w stronę mego legowiska. Mam przekonanie, że był to jeden z krajowców, należących do naszego orszaku, gdyby bowiem było inaczej, los nasz byłby przypieczętowany. Napisałem później nowelę pt. „The Three Correspondentes” („Trzej Korespondenci”), której pomysł miał swe źródło w tym zdarzeniu.

W Korosko musieliśmy iść na posłuchanie do miejscowego komendanta, Turka z drewnianą twarzą, Jussufa Beya, który służył w armii egipskiej. Uraczył on nas malinowym sokiem i odprowadził na statek, który w dwa dni później wysadził nas w Wadi Halfa, gdzie panował nastrój podobny do tego, jaki zostawiliśmy w Asuanie.

Halfa leży także u stóp Katarakty, tak, że wszystko musiało znów być przewożone wąską drożyną do Sarras, odległego o jakieś trzydzieści mil. Pierwszego zaraz dnia udałem się na przechadzkę w kierunku najbliższej stacji, skąd się zaczynał tor do Sarras. Tam zobaczyłem wysokiego żołnierza, w białej bluzie, który w towarzystwie zwyczajnego ordynansa dozorował ładowania zapasów w wagony. Kiedy zwrócił się twarzą ku mnie, spostrzegłem, że był to sam Kitchener, głównodowodzący całej armii. Było to charakterystycznym, że nie zostawiał on rzeczy tak żywej jak transport zapasów nikomu z podwładnych, lecz o ile było to możliwe, sam jej doglądał, aby wiedzieć czym rozporządza i na co może liczyć. Dowiedziawszy się kim jestem — spotkaliśmy się poprzednio raz tylko na torze wyścigowym w Kairze — zaprosił mnie do swego namiotu na obiad, podczas którego opowiadał o nadchodzącej kampanii z wielką szczerością. Pamiętam, że obok mnie siedział szef jego sztabu, Drage, który był tak znużony, że zasypiał między jednym daniem i drugim; pamiętam również, że Kitchener spoglądał nań z uśmiechem rozbawienia. Warto było się męczyć, służąc pod takim przełożonym.

Moją nową znajomością w tych czasach był Herbert Gwynne, który, o ile się nie mylę, był korespondentem dziennika „Chronicle”. Zauważyłem od razu, że to człowiek dużej przyszłości. Kiedy o nim słyszałem następnym razem, był już korespondentem biura Reutera, zaś wkrótce po wojnie z Burami został redaktorem „Morning Post”, którym jest po dziś dzień. Zawarta w owych dniach przyjaźń przetrwała lat trzydzieści, choć okoliczności sprawiały, że widujemy się rzadko. Mam nadzieję, że sobie to wynagrodzimy w życiu przyszłym.

Zaprzyjaźniłem się również z oficerem bardzo drobnej postaci, lecz wielkiego męstwa, nazwiskiem Anley, który wstąpił w szeregi armii egipskiej. Był to początek jego kariery, nie wątpię, że go czeka w przyszłości wysoka ranga, lecz byłbym zdziwiony, gdyby mi ktoś powiedział w jakich warunkach odbędzie się nasze następne spotkanie. Stałem raz jako prosty ochotnik — szeregowiec na zboczu drogi, kiedy obok naszych szeregów przeszedł jakiś sztabowy oficer, jak się okazało brygadier. Kiedy rzucił okiem na nas, stojących na baczność, poznałem, że to był Anley. On też mnie rozpoznał, gdyż się uśmiechnął i skinął głową. Nie mając możliwości odpowiedzenia na to pozdrowienie, przymknąłem tylko na moment lewe oko.

Z Halfa udaliśmy się dalej do Sarras, gdzie dane nam było ujrzeć najdalej wysuniętą placówkę cywilizacji, w postaci worów z piaskiem i zasieków pokrytych kolczastym drutem. Lecz widok dalej na południe był bardzo piękny, zwłaszcza oddalone szczyty Dongoli. Niestety dzikość i żądza mordu czaiły się na całej przestrzeni, oddzielającej nas od tej miejscowości. W maleńkiej twierdzy Sarras panowała prawdziwa atmosfera wojny, wroga nie było jeszcze widać.

Co więcej, zapewnił mnie sam Kitchener, że nie mam na co czekać, gdyż dopóki armia nie będzie zaopatrzoną w dziesiątki tysięcy wielbłądów, nie można myśleć o posuwaniu się naprzód. Wobec tego odstąpiłem mego własnego wielbłąda armii i wraz z Corebettem zamyślałem o powrocie do Kairu. Ostrzeżono nas, że powinniśmy sami schwytać pierwszą nadarzącą się sposobność, której mógł dostarczyć tylko pusty statek, wracający w dół rzeki po nowy transport. Sposobność taka zdarzyła się jednego poranku. Znalazłszy się na pokładzie, dowiedzieliśmy się, że nie ma żywności i że nie zatrzyma się on, aż po kilku dniach. Nie mając czasu do stracenia, udałem się na brzeg do jedyne go greckiego sklepiku, gdzie jednak zdołałem dostać tylko kilka puszek konserw morelowych. Po powrocie na statek, który już ruszał, zdołaliśmy nabyć od załogi nieco chleba, który wraz z morelami stanowił całe nasze pożywienie przez szereg dni. Objadłem się tych moreli tak, że od tego czasu patrzeć na nie nie mogę. Ich nudna słodycz jest w moim umyśle połączona na zawsze z „Wyznaniami” Rousseau, których francuskie wydanie dostało mi się w ręce, stanowiąc jedyną lekturę w drodze powrotnej do Asuanu. Wspomnienie tego autora przywołuje mi zawsze na myśl owe morelowe powidła.

Tak się zakończyła nasza wyprawa na front. Byliśmy na progu wojny, lecz progu tego nie dane nam było przekroczyć, ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu i niezadowoleniu. Mimo to, był już koniec kwietnia, kiedy dotarłem do Kairu i upały zaczęły się tak wielkie, że mogły zaszkodzić mej żonie.

W tydzień później byliśmy w Londynie i pamiętam jak dziś, że kiedy w dniu pierwszego maja zasiadłem jako gość na bankiecie „Royal Academy”, zauważyłem na przegubach obu mych rąk małe czerwone wyrzuty, pod którymi gnieździły się i mnożyły drobniutkie owady, które wżarły się w moją skórę, podczas spoczynku na piaskowych ławicach Nilu.

XIV PRZEGRANA POKOJU

**HINDHEAD. — „RODNEY STONE”. — A DUET. — DOM ZACZAROWANY. — DZIWNE
TOWARZYSTWO. — SIŁY NADNATURALNE. — MAŁY DOKTOR. — CIEŃ AFRYKI.**

Po powrocie do Anglii dowiedzieliśmy się, że dom, w którym żona miała nadzieję dokończyć kuracji, nie jest jeszcze gotowy. Istotnie był to raczej pałacyk, zamierzony na dużą skalę, więc nic dziwnego, że budowa wymagała czasu. Na razie musieliśmy wynająć dom umeblowany w Saslemere, gdzie mieszkaliśmy do wiosny 1897, poczym przenieśliśmy się do pensjonatu w Hindhead, położonego tuż koło naszego budującego się domu, który został wykończony w ciągu lata. Podczas tych kilku miesięcy zażywałem dużo konnej jazdy, gdyż ta zdrowa, lesista okolica zachęca do przejażdżek. W czerwcu przenieśliśmy się do naszego domu, któremu dałem nazwę „Undershaw”, gdyż stał w cieniu kępy wielkich, starych drzew.

Nie mówiłem wiele o moich zajęciach literackich w ciągu tych kilku lat, podczas których główną kwestią było zdrowie mej żony. Największą książką, którą napisałem od czasu powieści „The Refugees” (Zbiegowie”), było studium z czasów Regencji, obfitujących w walki i zapasy. Zapaśnictwo i rycerstwo było zawsze przedmiotem mego zamiłowania, któremu dałem wyraz w rzeczonyj książce. W owych czasach boksowanie nie było jeszcze tak popularną formą zapasów jak dziś, — co jak mi powiedziano, jest w dużej mierze zasługą mojej książki, — i pamiętam zdziwienie z jakim Sir George Newnes zawołał, dowiedziawszy się o temacie nowej powieści: „Ale dlaczego właśnie ten przedmiot?” Mimo to czytelnicy „Strandu” byli bardzo zadowoleni z mego wyboru a książka cieszy się do dziś powodzeniem, jako obraz owych dawnych czasów. W tych latach napisałem także sporą ilość nowel, a w 1898 r. pierwsze studium na tle życia rodzinnego p.t. „A Duet” (Duet), które było w literaturze próbą tego rodzaju, jak tzw. „martwa natura” w malarstwie. W połowie był to wytwór wyobraźni, zaś w połowie opierał się na wspomnieniach młodości, tak mojej jak i moich przyjaciół. Ukazanie się tej książki było początkiem publicznej polemiki z człowiekiem, który zasłynął jako dobry krytyk literacki; był nim dr Robertson Nicoll, który wystąpił — zupełnie słusznie — przeciw jednemu ustępowi. Co mi się nie podobało, to fakt, że pisywał on wtedy do jakichś sześciu czy siedmiu pism pod różnymi pseudonimami, skutkiem czego publiczność mogła sądzić, że niemal wszyscy krytycy potępili mój utwór, podczas gdy był to tylko głos jednego. Przekonany o swej krzywdzie, odpowiedziałem z taką gwałtownością, że Nicoll oświadczył, iż nie wie czy ma z kolei odpowiedzieć na łamach pisma czy wezwaniem do sądu. Sprawa ucichła sama a później zawarliśmy wielką przyjaźń. Inną książką z tych czasów była „Uncle Bernac” („Wujaszek Bernac”), z której nigdy nie byłem zadowolony, chociaż mam rzetelne przekonanie, że jej dwa rozdziały dają obraz Napoleona, ukazują żywszy jego portret, niż niejedno wielkie studium. Jest to rzecz naturalna, gdyż zawierają one samą kwintesencję jakichś dwudziestu książek.

Tyle o mojej pracy literackiej. Gdyby nie choroba mojej żony, mógłbym powiedzieć, że miałem w tych latach wszystko, czego człowiek może zapragnąć. A jednak odczuwałem często niepokój duszy. Czulem, że jest jakiś cel, dla którego przyszedłem na świat, lecz nie mogłem odkryć co mogło nim być. Umysł mój zwracał się ustawicznie ku rozmaitym religiom świata. Lecz każda z tych dawnych religii była dla mnie jak strój z czasów chłopięcych. Rozumowałem jeszcze ciągle w myśl zasad materialistycznych. Zapisałem się na członka Stowarzyszenia Racjonalistów, studiowałem sumiennie ich literaturę, lecz była ona zupełnie destruktywną, a

człowiek nie może żyć samą destrukcją. Poza tym miałem w każdym razie dość wiary w zjawiska psychiczne, by mieć świadomość, że istnieje skala doświadczeń wykraczających poza granicę racjonalnych wyjaśnień, że system ignorujący całą sumę faktów, system wykluczający ich istnienie, składał tym samym dowód swej niedoskonałości. Z drugiej strony, mając to przekonanie o istnieniu tych nienormalnych zjawisk, mając świadomość, że jakaś inteligencja — wysoka czy niska — kryła się poza nimi, nie mogłem zrozumieć ich celu i znaczenia. W świadomości mej mieszało się jeszcze stukanie do drzwi z postacią przyjaciela za zewnątrz, dzwonek telefonu z treścią otrzymanej za jego pośrednictwem wiadomości. Czasem był we mnie spokój rozpaczy, kiedy czułem, że wszystkie konkluzje, do jakich dojść można, muszą być negatywne. Wkrótce potem jakiś świeży impuls duszy pobudzał mnie do dalszego szukania. Wyciągałem ręce w każdym kierunku, lecz zawsze bez zadowolenia. Mogłem się łatwo uwolnić od tych wszystkich duchowych niepokojów przez przyłączenie się całym sercem do któregoś z wyznań prawowiernych; lecz na tej drodze natrafiałem zawsze na opór ze strony prostego rozsądku.

Podczas tych ciągłych wędrówek po obczyźnie, zajmowałem się poważnie kwestiami psychicznymi, czytając wszystko co mogłem otrzymać i organizując od czasu do czasu seanse, które dawały wyniki niezupełnie wprawdzie negatywne, lecz obojętne, zwłaszcza, że nie mieliśmy do pomocy medium. Filozofia przedmiotu poczęła się jednak zwolna odsłaniać, stawała się stopniowo przekonaniem, że życie nie tylko trwa po śmierci, w jakiejś bardziej wiotkiej powłoce, lecz że warunki z jakimi się ono spotyka w zaświatach są podobne do znanych nam na ziemi. Choć jednak doszedłem do tych przekonań, daleko mi jeszcze było do zdania sobie sprawy z ich żywotności i wagi.

Od czasu do czasu zdarzały się na mej drodze doświadczenia psychologiczne, wyłamujące się spod ogólnej reguły zdarzeń. Pamiętam jedno z nich z czasów, gdy mieszkalem w Norwood w 1893 r. „Towarzystwo Badań Psychiczych” zaprosiło mnie jako członka małego komitetu dla zbadania sprawy domu we wsi Charmouth koło Dorchester, w którym straszło. Udałem się tam w towarzystwie dra Scotta i pana Podmore, który często brał udział w podobnych wypadkach. Dostarczony materiał, przedstawiający niedorzeczne hałasy, które uniemożliwiały życie mieszkańcom domu, był tak obfity, że przeczytanie go zajęło nam całą drogę z Londynu do Dorchester. Spędziliśmy w tym domu dwie noce. Pierwsza minęła zupełnie spokojnie. Następnego dnia dr Scott odjechał, tak, że drugą noc spędziłem z panem Podmore. Przedsiębraliśmy oczywiście wszelkie możliwe środki dla wykrycia ewentualnego oszukańczego podstępu.

Mniej więcej o północy rozległ się przerażający łomot i hałas. Miało się wrażenie, że ktoś wali z całej siły metalową kulą w stół. Nie był to przypadkowy trzask rozsychniętego się drzewa, lecz ogłuszający łomot, wywołany szeregiem uderzeń. Wszystkie drzwi stały otworem, więc udaliśmy się szybko do kuchni, skąd hałas rozlegał się. Nie zobaczyliśmy tam nic — drzwi były pozamykane, okna pozasłaniane, przeciągnięte przez nas uprzednio nici nieprzerwane i nienaruszone. Podmore zabrał świecę i udał się z młodym gospodarzem do pokoju, z którego przyszlismy podczas gdy ja zostałem w ciemności, czekając czy rzeczony hałas się powtórzy. Lecz się nie powtórzył. Co było jego powodem, tego się nigdy nie dowiedzieliśmy. Charakter tego hałasu był podobny do wielu opisywanych przez mieszkańców „zaklętych” domów. Lecz opowiedziany wypadek miał niezwykle zakończenie. W kilka lat później pożar zniszczył ten dom a w ogrodzie wykopano szkielet chłopca, mogącego mieć dziesięć lat. Podaję ten szczegół z upoważnienia krewnego rodziny, która zajmowała dom przed pożarem. Przypuszczano, że dziecko to zostało w tym domu zamordowane i że zjawisko które sprawdzaliśmy, musiało być następstwem tej tragedii. Istnieje np. teoria, która głosi, że młode życie przecięte nagle w sposób

nienaturalny, pozostawia po sobie zapas nieużytej energii, która się stopniowo zużywa w dziwny sposób. Ze wszystkich stron otacza nas nieznaną cudowność, w nieokreślonych i zmiennych kształtach, ostrzegając nas w granicach tego, co nazywamy materią, tudzież w potrzebie duchowości, jeśli chcemy utrzymać kontakt z prawdziwymi wewnętrznymi faktami życia.

Nie proszono mnie o sprawozdanie z tego zdarzenia; złożył je Podmore, który uczynił młodego gospodarza odpowiedzialnym za ów hałas, jakkolwiek towarzyszył on nam przez cały czas naszego czuwania. Oczywiście mógł mieć współnika, lecz udowodnienie tego było zupełnie niemożliwe. Wypadek ten pouczył mnie jeszcze raz, że jakkolwiek wszystkie zapewnienia w dziedzinie tych zjawisk należy przyjmować krytycznie, niemniej krytycznie należy się zachowywać wobec zaprzeczeń a zwłaszcza wobec tak zwanych wykrytych oszustw. Poddawałem często sumiennym badaniom te rzekome oszustwa i stwierdziłem, że ich wykrycie było po prostu albo osobistym uprzedzeniem, albo niedostateczną znajomością praw psychicznych.

Przypomina mi to inne zdarzenie, które zaszło około 1898 r. Niedaleko ode mnie mieszkał lekarz z bardzo małą praktyką, który z powodu drobnej postaci miał przydomek małego doktora. Będę go tu nazywał Brown. Był on badaczem okultyzmu i jak się dowiedziałem, posiadał w swym domu pokój przeznaczony dla celów mistycznych i filozoficznych, do którego prócz niego nikt nie miał dostępu. Usłyszawszy, że się interesuję tymi sprawami, dr Brown zaproponował mi pewnego dnia przystąpienie do tajnego towarzystwa studentów ezoterycznych. Zaproszenie to poprzedziła rozmowa, która toczyła się mniej więcej w ten sposób:

— Co mi z tego przyjdzie?

— Z czasem może pan uzyskać pewne władze.

— Jakie władze?

— Władze w rodzaju tych, które ludzie nazywają nadnaturalnymi. Oczywiście są one zupełnie naturalne, lecz można je uzyskać tylko przez poznanie głębszych sił przyrody.

— Jeśli władze te są pożyteczne, dlaczego nie dać ich poznać każdemu?

— W nieodpowiednich rękach mogłyby się stać narzędziem wielkich nadużyć.

— Czyż można temu zapobiec, by się nie dostały w ręce nieodpowiednie?

— Tak, przez dokładne zbadanie naszych kandydatów.

— Czy i ja byłbym poddany badaniu?

— Oczywiście.

— Przez kogo?

— Przez pewnych ludzi w Londynie.

— Musiałbym się tam stawić?

— Nie, nie, badanie odbyłoby się bez pańskiej obecności.

— A potem?

— Zacząłby pan studia.

— Czego?

— Musiałby pan nauczyć się na pamięć wielkiej części materiału. To byłoby pierwsze zadanie.

— Jeśli materiał ten jest ogłoszony drukiem, dlaczego nie uczynić go własnością publiczną?

— On nie jest ogłoszony drukiem, jest w rękopisie. Każdy rękopis jest numerowany i powierzony przyjętemu nowicjuszowi, który ręczy zań honorem. Nie mieliśmy jeszcze wypadku sprzeniewierzenia się.

— Ha, — zakończyłem — wszystko to jest bardzo interesujące; niech pan robi w dalszym ciągu to, co pan uważa za swój obowiązek.

W jakiś czas później — może w tydzień — zbudziłem się wczesnym rankiem z bardzo niezwykłym uczuciem. Nie była to ani zmora, ani żadne senne przywidzenie. Było to coś całkiem odmiennego, gdyż trwało to po moim przebudzeniu. Wrażenie to mogę opisać tylko słowami, iż czułem, jakby coś szumiało w całym moim ciele. Nie było to bolesne, lecz przejmujące i niemiłe, coś w rodzaju lekkiego wstrząsu prądem elektrycznym. Dziwna rzecz, że mi zaraz przyszedł na myśl mały doktor.

W kilka dni potem odwiedził mnie „Został pan zbadany z dodatnim wynikiem” oznajmił mi z uśmiechem. „Teraz musi pan oznajmić stanowczo, czy pan chce do nas się przyłączyć czy nie. Ostrzegam, że nie można tej rzeczy rozpocząć a potem rzucić. Jest to sprawa poważna i albo trzeba się trzymać od niej z dala, albo oddać całkowicie”.

Przyznawałem mu rację, że sprawa istotnie jest poważna, że przy nawale moich zajęć, trudno byłoby mi znaleźć dla niej czas. Powiedziałem, co myślę; gość przyjął mą odpowiedź jako rzecz naturalną. Doskonale, — oświadczył — nie będziemy o tym więcej mówić, chyba, żeby pan zmienił swą postawę”.

Lecz na tym nie koniec tej historii. W jakiś miesiąc później, podczas ulewnego deszczu odwiedził mnie doktor Brown, przyprowadzając ze sobą innego lekarza, którego nazwisko znałem, gdyż był znanym badaczem strefy tropikalnej. Siedzieli przy kominku w mej pracowni i rozmawiali. Zauważyłem, że znany podróżnik odnosił się z wielkim szacunkiem do tego małego wiejskiego lekarza, mimo, że ten ostatni był znacznie młodszy.

— To jeden z moich nowicjuszów, — rzekł Brown, jakby tłumacząc mi zauważony fakt, po czym zwracając się do swego nowicjusza, oświadczył: „Wie pan, że Doyle omal się do nas nie przyłączył”. Zagadnięty spojrział na mnie z zainteresowaniem po czym obaj rozpoczęli rozmowę, która dla mnie brzmiała jak rozmowa dwóch wariatów. Jeden zwłaszcza frazes utkwił mi w pamięci.

„Kiedy pan mnie zabrał pierwszy raz w górę”, mówił nowicjusz, „i kiedy unosiliśmy się nad miastem Środkowej Afryki, w którym jakiś czas żyłem, po raz pierwszy zobaczyłem wyspy na jeziorze. Zawsze wiedziałem, że one tam są, lecz były za daleko, by je dojrzeć od brzegu. Czyż to nie nadzwyczajne, że zobaczyłem je po raz pierwszy, żyjąc w Anglii?”

„Tak”, rzekł Brown, paląc fajkę i patrząc w ogień, „nieźle się bawiliśmy w owych czasach. Pamięta pan, jak się pan śmiał, gdy zrobiliśmy małą łódź parową, w której płynęliśmy wzdłuż górnych krawędzi chmur?”

Inna uwaga brzmiała jeszcze niezwyklej. „Spisek dla wywarcia wrażenia na prostaku” pomyśli sceptyk. Może być, lecz mnie się zdaje, że otarłem się w tym wypadku o coś tajemniczego, o jedną z tych tajemnic, których lepiej unikać. To nie był ani spirytyzm, ani teozofia, lecz wiedza nabywania władz uspionych i utajonych w człowieku, nabywania tych władz rzekomym sposobem starych gnostyków lub nowożytnych fakirów indyjskich, których tak trudno odróżnić od szarlatanów. Jednej rzeczy jestem zupełnie pewny, mianowicie, że moralność i etyka winny iść krok w krok z wiedzą, inaczej jest wszystko stracone. Ludożercy Maorysów posiadali władze psychiczne, które im nie przeszkadzały być ludożercami. Etyka chrześcijańska nigdy nie straci swego miejsca, nawet, przy największej ekspansji naszych władz psychicznych. Lecz teologia chrześcijańska może je stracić i na pewno straci.

Wracając do małego doktora, muszę tu dodać, że spotkałem go powtórnie w Portland, w stanie Oregon, 1923 r. zajętego jak poprzednio wiedzą ezoteryczną. Z tego, co słyszałem, wnoszę, że władza towarzystwa, do którego należał, polegała między innymi na rozluźnieniu tzw. ciała eterycznego, na wzywaniu eterycznych ciał innych osobników, na wytwarzaniu obrazów myśli (łódź parowa), które podobno jest możliwe przy odpowiednim napięciu siły woli. Lecz ta

dziedzina filozofii a i rozwoju nie pociąga mnie zupełnie. Mnie się zdaje, że należał on do jednej z sekt Różokrzyżowców.

Na ogół życie moje płynęło wówczas spokojnie. Żona trzymała się dzielnie tak zimą jak i latem. Dzieci, Mary i Kingsley, przechodził najmiłsze okresy rozwoju i były źródłem wielkiej naszej radości. Dokoło nas roztaczał się piękny krajobraz. Życie moje upływało na pracy przeplatanej sportem. Podobnie było z życiem całego społeczeństwa. Były to lata zamożności i powodzenia. Lecz Afryka Południowa rzucał; już swój cień na Anglię; zanim ten cień zniknął zaćmił on życie tysięcy jednostek, między którymi i ja się znalazłem. Miałem dla Burów wysokiszacunek; obawą przejmowała mnie ich wojowniczość, niedostępność ich siedzib i ich teutońska wytrzymałość. Przewidywałem, że będzie to wróg niebezpieczny i ze zgrozą śledziłem bieg wypadków, który od ataku Jamesona zmierzał otwarcie do wojny. Kiedy nareszcie wojna wybuchła, kiedy ogrom zadania stał się jasny, czułem rodzaj ulgi. A jednak niewielu ludzi zdawało sobie wtedy sprawę, jak ciężkie czekało nas zadanie.

W przededniu wojny, przewodniczyłem na bankiecie, wydanym na cześć Lorda Wolseleya przez Klub Autorów. W przemówieniu swym wyraził się, że możemy wysłać do Afryki dwie dywizje. Na drugi dzień pisma zastanawiały się, czy uda nam się zebrać taką siłę i czy jest ona naprawdę konieczna. Cóżby one powiedziały, gdyby ktoś oświadczył, że trzeba będzie dla odniesienia zwycięstwa wystawić ćwierćmilionową armię, złożoną przeważnie z kawalerii? Ktokolwiek miał jakie takie pojęcie o południowej Afryce, tego początkowe zwycięstwa Burów nie dziwiły; ci ludzie stopniowo obudzili w Anglii świadomość powszechną, że jeśli Imperium ma wrócić do zdrowia, to należy chwycić za szablę, nie, zaś za szklanę.

XV WYJAZD DO AFRYKI POŁUDNIOWEJ

**TYDZIEŃ KLĘSKI. — WSTĘPUJĘ DO ARMII. — SZPITAL LANGMANA. — PODRÓŻ. —
BLOEM FONTEIN. — SIR CLAUDE DE CRESPIGNY. — EPIDEMIA. — MARSZ KU
WODOCIĄGOM.**

Tydzień między 10 i 17 grudnia 1899 był tygodniem klęski dla Anglii. W ciągu tego tygodnia Generał Gatacre przegrał bitwę pod Stormberg, Lord Methuen został pokonany pod Magersfontein a Generał Buller poniósł klęskę pod Colenso. Te wszystkie trzy bitwy razem stanowiły tylko małą potyczkę w ostatniej wojnie europejskiej, lecz w owych czasach każda z nich była istotnie złowróżbną klęską. Pod ich wpływem poczęły się na kontynencie groźne ruchy; obiegały pogłoski o koalicji. Szczęściem dla nas nie było jeszcze floty niemieckiej, tak, że nasza mogła się poruszać swobodnie. Gdyby nie to, mielibyśmy na pewno jakiegoś Lafayette'a w Afryce Południowej, który by sprawił nowe Yorktown. I tak było niedobrze; to też naród szybko stanął w pogotowiu, każdy chciał spełnić swoją powinność. Nic też dziwnego, że pewnego dnia znalazłem się na przedmieściu Londynu Honuslow, celem zapisania się do pułku Obrony Krajowej w Middlesex. W pułku tym miałem kilku przyjaciół, stąd mój wybór.

Pułkownik osiwiaty żołnierz siedział za prostym stołem w pokoju dyżurnym i szybko załatwiał ochotników, których długi szereg czekał na dworze. Nie wiedział kim jestem, lecz zobaczywszy przed sobą człowieka 40-letniego, zaznaczył, że nie zamierzam zapewne być zwyczajnym szeregowcem. Odpowiedziałem, że mogę przyjąć stopień oficerski. Zapytał czy potrafię jeździć konno i strzelać. Odparłem, że tak choć nie celuję w żadnej z tych sztuk. Z kolei zapytał mnie, czy służyłem w armii. Odpowiedziałem, że odbyłem kilka wypraw awanturniczych i widziałem trochę przygotowań do kampanii w Sudanie. Było to jedno z tych kłamstw, które są dopuszczalne w kodeksie honorowym dżentelmen mianowicie, gdy chodzi o cześć kobiety, lub o wzięcie udziału w walce o słuszną sprawę.

Mimo to pułkownik umieścił tylko moje nazwisko na liście bez żadnej decyzji; wróciłem do domu nieco przygnębiony i niepewny tego co mam dalej czynić. Niedługo otrzymałem propozycję, która dawała mi sposobność udania się na plac boju w charakterze zapewne mniej interesującym, lecz bardziej odpowiednim dla mego wieku i kwalifikacji. Zrobił ją John Langman, którego syna Archibalda znałem dobrze podczas pobytu w Davos. Langman wyprawiał na własny koszt szpital na pięćdziesiąt łóżek; zgodził już kilku chirurgów. Administrację szpitala miał w swych rękach Archibald. Langman zwrócił się do mnie z prośbą, abym się zajął doborem reszty personelu i wykonywał ogólną kontrolę nad całym przedsięwzięciem, lecz nie oficjalnie. Przyjąłem tę propozycję i spędziłem cały tydzień w jego domu przy Stanhope Terrace, dobierając odpowiednich członków personelu spośród mnóstwa zgłaszających się kandydatów. Dobór mój okazał się na ogół trafny. Pozostało oczywiście wiele do zrobienia: w ciągu tych przygotowań otrzymałem wezwanie do pułku Obrony Krajowej, lecz nie skorzystałem z niego, gdyż już byłem całkowicie pochłonięty sprawą szpitala Langmana.

Dopełniwszy kompletu, uznałem, że szpital nasz stanowi wcale pokaźną całość, której jedynym słabym punktem było kierownictwo, spoczywające w rękach dra O'Callaghana, przyjaciela osobistego Langmana, który był świetnym ginekologiem, a więc specjalistą, którego usługi były mniej pożądane na polu bitwy. Był przy tym człowiekiem nawykłym do wygod, spokojnego życia domowego, tak, że trudno mu się było dostosować, przy całym wysiłku woli,

do warunków życia obozowego. Przyznał to sam po krótkim pobycie w Afryce i wrócił do Anglii. Z obowiązku musieliśmy mieć także dyrektora wojskowego, który byłby rodzajem pośrednika między kierownictwem szpitala i Ministerstwem Wojny. Był nim niejaki major Drury, zabawny Irlandczyk, który jakby zstąpił prosto z kart powieści Levera. Wystąpić ze służby i „ożenić się z bogatą wdową z suchotami” było szczytem jego ambicji. W życiu towarzyskim był on niesłychanie miłym towarzyszem, lecz w wypełnianiu obowiązków wymagających zarówno taktu jak rutyny, był zbyt celtyckich narowów, co doprowadzało czasem do scysji i zatargów, w których musiałem popierać punkt widzenia Langmana. Nie wątpię, że uważał mnie za nieużytego uparciucha, a ja jego na odwrót — lecz „de mortuis nihil — nisi bene”, — więc przechowuję jego pamięć jako zabawnego towarzysza.

Podwładnymi O’Callaghana i Druryego byli dwaj doskonali chirurdzy, Charles Gibbs i Sharlieb, którego matka była słynną lekarką dyplomowaną. Obok nich byli dozorczy, kucharze, zawiadowcy, szafarze wreszcie jakichś piętnastu lub dwudziestu dyżurnej służby. Razem liczyliśmy pięćdziesiąt osób, wyekwipowanych doskonale dzięki szczodrobliwości Langmana.

Upłynęło jakieś dwa miesiące, zanim mogliśmy wyruszyć w drogę; z tego czasu pamiętam dobrze następujące zabawne zajście. Poświęciłem sporo czasu na teoretyczne rozwiązanie pytania, jak najskuteczniej atakować ludzi, leżących za sztuczną zasłoną. Doszedłem do wniosku, że strzelanie do nich wprost było bezcelowe, gdyż o ile zasłona była dostateczna, kule nie mogły ich dosięgnąć. Gdyby jednak było możliwe zamienić strzelbę na ręczną armatkę i wysłać z niej kule jak z armaty, z tą samą mniej więcej dokładnością w granicach danej przestrzeni, wtedy przestrzeń ta nie zapewniałaby bezpieczeństwa. Gdyby np. dana pozycja wynosiła 20.000 sążni kwadratowych a 20.000 takich strzelb wysyłało na nią kule, każdy sążeń kwadratowy prędzej czy później otrzymałby swoją kulę, mówiąc inaczej swego trupa lub rannego. Bezwiednie myślałem właściwie o karabinie maszynowym, w formie, w jakiej poczęto go używać w wielkiej wojnie. Zasada moja była zupełnie słuszna, mimo, iż dotąd nie zastosowano. Napisałem specjalny artykuł na ten temat, który „Times” drukował, lecz o ile mi wiadomo, nie wydał rezultatów.

Na razie głowiłem się nad pytaniem, jak zamienić strzelbę na małą haubicę. Po licznych próbach i doświadczeniach, przekonałem się, że lekka kula wzbijała się tak wysoko, iż wymykała się spod wszelkiej kontroli. Na dalsze doświadczenia brakło mi czasu, mam jednak przekonanie, że bardziej szczegółowe opracowanie mego pomysłu, mogłoby osiągnąć strzał konwergujący, który by oczyścił Afrykę Południową z włóczy wroga.

Mając wrażenie, że pomysł mój jest praktyczny i że odpowiada wielkiej potrzebie, posłałem jego szczegóły do Ministerstwa Wojny, które mi w odpowiedzi przysłało list następujący:

Ministerstwo Wojny
16 lutego, 1900

Szanowny Panie

W odpowiedzi na list pański, w sprawie pańskiego pomysłu, Minister Wojny polecił mi oświadczyć, że dalszą korespondencję na te temat uważa za zbyteczną.

Z poważaniem
(Podpis nieczytelny)
Dyrektor Generalny

List ten wykluczał oczywiście wszelką sposobność objaśnienia i sprawdzenia mego pomysłu, który mógł być równie dobrze nedorzecznym jak epokowym. W związku z tym zauważyłem w „Timesie”: „Nic dziwnego, że wszystkie ostatnie wynalazki są własnością naszych wrogów, skoro ci, którzy starają się udoskonalić naszą broń, nie spotykają się wcale z zachętą”.

Podczas Wielkiej Wojny postępowano zgodnie z tą tradycją, gdyż Pomeroy, wynalazca kul zapalnych, które niszczyły Zeppeliny, chciał z rozpaczy wracać do Nowej Zelandii i dopiero, gdy pierwsze kule sporządzone za pieniądze prywatne, okazały się skuteczne, wykazując olbrzymią wartość wynalazku, Ministerstwo Wojny zgodziło się go przyjąć.

Wreszcie nadszedł czas naszego wyjazdu. Żonę wyprawilem do Neapolu w nadziei, że łagodny klimat tamtejszy dokończy dzieła kuracji. Wszystkie swoje sprawy załatwiłem tutaj ustalając warunki mej wyprawy. Za usługi te nie żądałem żadnej zapłaty, co więcej, oddałem do posług ogólnych mego lokaja, człowieka wielkiej inteligencji, którego w dalszym ciągu sam opłacałem. W ten sposób zachowywałem swą niezależność i mogłem wrócić według potrzeby i uznania własnego, co — jak się pokazało — miało mieć dla mnie wielką wartość.

Stary książę Cambridge zlustrował nas w jakiejś londyńskiej hali, przy tej sposobności padłem znowu ofiarą jednego z tych dziwnych zdarzeń, które powtarzały się w mym życiu częściej, niż w życiu innych. Staliśmy na baczność w naszych nowych mundurach, barwy „khaki” tropikalnych hełmach, kiedy zbliżała się chwila inspekcji przez członka rodziny królewskiej. Gdyby nam kazano ustawić się w czwórki, nastąpiłoby zapewne ogólne pomieszenie; na szczęście pozwolono nam zostać w dwóch liniach. Ja stałem na linii frontowej, u jej prawego końca. Z oczyma sztywnie utkwionymi przed siebie, zdałem sobie jednak rychło sprawę, że inspekcja ma się zacząć od tego końca. Nagle książę zatrzymał się naprzeciw mnie, otoczony świtą i stał bez ruchu. Pozostałem w postawie wyprostowanej z oczyma utkwionymi w przestrzeń obok jego postaci, która stała również nieporuszona, tak blisko mnie, że czułem na twarzy oddech. — Co takiego, u diabła? — pomyślałem, nie drgnąwszy jednak wcale. — Co to jest? — zapytał nagle książę, po czym głośniejszym głosem — Co to jest? — wreszcie z rodzajem zdumienia — Cóż to jest? — Nie poruszyłem się wcale, lecz jeden z dziennikarzy, których grupa stała po mojej prawej stronie, wybuchnął nagle stłumionym śmiechem. W otoczeniu księcia poczęły się jakiś szepty i wyjaśnienia, po czym zabawny staruszek podreptał dalej. Czyż jednak można sobie wyobrazić bardziej komiczny moment jak ta scena, w której z jednej strony bohaterem jest ochotnik, mający po raz pierwszy mundur wojskowy na sobie, a z drugiej były naczelnny wódz armii brytyjskiej i bliski krewny królowej?

Pokazało się, że przyczyną zaniepokojenia starego księcia, który miał wtedy blisko 80 lat, był brak jakichkolwiek inicjałów na guzikach bluzki, rzecz w armii niebywała. Bodaj jakiś emblemat w rodzaju gwiazdy lub korony, byłby staruszką zaspokoił, lecz nie mógł on znieść widoku guzików bez jakiegoś znaczka. Podobnym pedantem w dziedzinie stroju żołnierskiego był król Edward. Opowiadał mi jeden z moich przyjaciół, że na balu w Indiach, na którym obecny był król Edward, adiutant tego ostatniego, zbliżył się doń w stanie wielkiego podniecenia ze słowami: — Jego Królewska Wysokość polecił mi zwrócić uwagę... po czym wymienił jakąś wadę w stroju dworskim mego przyjaciela, który odparł: — Nie zaniedbam zwrócić uwagę memu krawcowi. — Moim zdaniem był to bardzo taktowny sposób sprowadzenia kwestii do jej właściwej miary.

Wróćmy jednak do inspekcji. Po pewnym czasie kazano nam wszystkim, którzy mieliśmy stopnie oficerskie, wystąpić z szeregu i ustawić się na froncie dla osobistej prezentacji, podczas której książę wynagrodził mi poprzednią scenę wyrazami pochwały dla mej żołnierskiej postawy, nie zepsuły jej nawet naganne guziki. Cały ten dzień staruszek był w ciągłym podnieceniu, podczas śniadania w hotelu Claridge'a zapaliły się firanki, wywołując wielkie zamieszanie, zaś później wygłosił on mowę, pełną niedyskrecji, w której między innymi powiedział: — Usunięto mnie rzekomo dlatego, że jestem za stary, lecz mimo mojego wieku nie jestem takim durniem, jak mój następca który... Tu począł wymieniać szereg rzekomych błędów lorda Wolseleya.

Litując się nad wiekiem zasłużonego staruszka, prasa mowy tej nie podała do publicznej wiadomości.

Opuściliśmy brzegi Anglii 28 lutego 1900, w Tilbury, na wynajętym statku przewozowym „Oriental”, który wiozł także szereg zaciągów a w Queenstown wziął na pokład Królewską Milicję Szkocką, przy czym jakaś hałaśliwa Irlandka rzuciła biały ręcznik na pokład wołając: — Może wam się na coś przyda! Ci Szkoci, którymi dowodziło kilku obszarników dziedzicznych, jak lord Henry Scott, lord Tewkesbury, lord Newport i lord Brackley, okazali się materiałem bardzo trudnym do utrzymania w ryzach. Ogólną komendę nad nami wszystkimi miał pułkownik Garstin, z pułku Middlesex. Monotonie trzytygodniowej podróży, przerwały tylko takie chwile, jak postój w Cape de Verdes, gdzie odbyły się pewne popisy sportowe, jak mój odczyt o wojnie, wygłoszony na pokładzie do całej załogi, w świetle księżyca tropikalnego, jak wreszcie dobrowolne szczepienie, które moim zdaniem powinno być obowiązkowe, gdyż ocaliło ono niejedno życie a może i moje między innymi. Wielka Wojna wykazała ostatecznie skuteczność tego zabiegu. W południowej Afryce zginęło więcej ludzi od chorób niż od kul i smutno się robi, myśląc, ile życia można było oszczędzić przez szybsze zastosowanie odkrycia Almrotha Wrighta. Brat jego, pamiętam, był na pokładzie w oddziale saperów i rozchorował się bardzo ciężko. Wszyscy byliśmy mniej lub więcej chorzy, gdyż właściwa doza szczepionki nie była jeszcze ustalona.

Wieczorem 21 marca przybyliśmy do Capetown; zatoka była pełna okrętów. Stało tam na kotwicy około pięćdziesięciu parowców, niemal wszystkie puste. Niektórzy z nas udali się na brzeg, mieliśmy jednak kłopoty z powrotem na okręt, gdyż nadeszła ogromna fala przypyływu. Następny dzień spędziłem na lądzie, rozłożywszy się kwaterą w hotelu Mount Nelson. Hotel ten był pełen przeróżnej mieszaniny ludzkiej, rannych oficerów, awanturnic i kosmopolitycznych osobników. Kitchener przybył tam wkrótce i oczyścił gospodę z niepożądanych żywiołów, szczególnie te syreny wprowadzały demoralizację do szeregów armii.

Ogólne wiadomości z pola wojny były dobre. Toczyła się walka o Paardeburg, Lord Roberts przedarł się do Bloemfontein a Kimberley otrzymało odsiecz ze strony generała Frencha, którego natychmiastowy powrót dla odcięcia Cronje, był jednym z najświetniejszych epizodów całej wojny. Pocięchą było stwierdzenie faktu, że wielkie oddziały Burów wpadały w nasze ręce, gdyż ich długie powodzenie podczas pierwszego okresu wojny, kiedy znajdowali się w bardzo sprzyjających warunkach, oddziaływało ujemnie na nastrój w Anglii i wytwarzało pewną legendarną, zgoła fałszywą atmosferę.

Ponieważ w Londynie powierzył mi ktoś pewną sumę pieniędzy na cele dobroczynne, udałem się do obozu jeńców, z myślą udzielenia im jakiejś pomocy. Obóz był na torze wyścigowym, opasany drutem kolczastym; jeńcy przedstawiali obdartą i brudną ciżbę, lecz jednocześnie umieli zachować godność i postawę ludzi wolnych. Było tam kilka twarzy dzikich i okrutnych, zwłaszcza wśród mieszkańców rasy białej i czarnej, lecz na ogół były to typy męskie w całym tego słowa znaczeniu. Było między nimi wielu, których włosy przypominały lwie grzywy. Z kolei udałem się do namiotu chorych. Kilku siedziało po kątach w ponurym milczeniu, jeden miotał się w jakimś delirium, plotąc przy tym bez sensu, co wywoływało na usta innych wymuszony, nieszczerzy śmiech. W jednym rogu siedział człowiek ciemnej cery i bardzo dumnego wejrzenia, który złożył poważnie uprzejmy ukłon, dziękując za wręczone papierosy. Jeśli się nie mylę, musiał to być jakiś potomek Hugenotów. Mniej więcej w tydzień później, 26 marca, przyszedł rozkaz opuszczenia Capetown. Dwa dni potem dotarliśmy do East London, gdzie wysiedliśmy na ląd; tam ku memu wielkiemu zdziwieniu spotkałem Leona Trevora, słynnego aktora — amatora, który pełnił służbę oficera i pilnującego transportu. Mimo jego wysiłków, nasz materiał szpitalny został podzielony na dwie części, z których każdą włączono

na inny pociąg, tak, że gdy dotarliśmy do Bloemfontein po kilku dniach podróży, nie mogliśmy się doszukać jednej części, która po prostu utonęła w stosach transportu. Nigdy nie zapomnę niektórych nocy tej podróży, kiedy olbrzymi pociąg gnał z hukiem wśród ciemności, rozświetlonej tylko ogniami, płonącymi wzdłuż toru kolejowego. Na tle tych ognisk majaczyły sylwetki czarnych postaci, wołających — Kto jedzie?! Na co z wagonów odpowiadano gromko „Kameruńczycy”, gdyż jechaliśmy w towarzystwie tego słynnego pułku. Cudowna jest atmosfera wojny. Kiedy nastanie wieczny pokój, świat zyska wiele, lecz straci źródło jedynych w swoim rodzaju wrażeń.

Płaskowyż Afryki południowej, zwany „veldt”, przedstawia dziwny i niezwykle widok; przeważnie ścielą się olbrzymie równiny z pagórkami o płaskich szczytach, które są pozostałością jakiegoś nieznanego momentu geologicznego. Równiny te są tak jałowe jak pastwiska, że nie mogą być gęsto zaludnione. Małe, białe farmy, każda ze swym gajem eukaliptusowym i swoją groblą, są rozrzucone tu i ówdzie. Kiedy przekroczyliśmy granicę Wolnego Państwa (Free State) przez most tymczasowy, naprędce sklecony obok ruin dawnego, zauważyliśmy, że z wielu tych małych domów powiewały białe chorągiewki. Wszyscy byli w dobrym usposobieniu, mieszczanie i żołnierze, dopiero później walka podjazdowa zmieniła to wszystko.

Drugiego kwietnia, o jakiejś piątej popołudniu, przybyliśmy nareszcie do stolicy Wolnego Państwa. Wyznaczono nam miejsce poza miastem, na ogromnym błoniu, pokrytym wszelkiego rodzaju namiotami i zagrodami dla zwierząt. Mówiono, że w pobliżu czai się znaczna siła Burów, którzy przed kilku dniami odcieśli pod Sanna Post jedną naszą kolumnę. Jakiś oddział wychodził właśnie z miasta, więc postanowiłem wybrać się pod jego osłonę, pospołu z Gwynnem którego poznałem w Egipcie i słynnym podróżnikiem Oaude de Crespigny. Konia użyczył mi jakiś artylerzysta i ruszyliśmy w nadziei, że coś zobaczymy. Niestety zawiodła nas nadzieja, gdyż Burowie umieją się chować, gdy się ich szuka i pokazywać, gdy się ich nie szuka. Tak więc, prócz dobrej kompanii, trzeba było wracać z niczym. Lecz dobra kompania to wielka pociecha na terenie wojny. Na jej brak nie mogłem narzekać, gdyż spotkałem wielu starych i dobrych znajomych, dziennikarzy, lekarzy i wojskowych. Biedak Knight, zraniony w jednej z pierwszych bitew, leczył się jeszcze w szpitalu. Miłą i dzielną grupę stanowili Julian Ralph, stary korespondent amerykański, Bennett Burleigh, który pamiętał nie jedną kampanię, mały Melton Prior, który wyglądał jak typowy dyrektor szkolny, czarnooki Donohne z pisma „Chronicle”, Paterson z Australii i wielu innych. Lecz niewiele miałem czasu na korzystanie z ich towarzystwa, gdyż zaraz po przybyciu, odnalazłem ku mej radości zaginioną część naszych przyborów i materiałów, więc zwołałem ludzi i pracowaliśmy cały dzień, tak że pod wieczór nasz szpital był gotowy na przyjęcie chorych i rannych, którzy poczęli napływać w dwa dni później.

Zaczęła się ciężka praca.

Obozowisko rozbiliśmy na błoniu, w którego środku był piękny pawilon, przeznaczony dla najcięższej rannych. Wokół tego pawilonu wznieśliśmy wkrótce szereg namiotów, gdyż mieliśmy pod dostatkiem materiału tak, że zbudowaliśmy nawet rodzaj kantyny dla naszego użytku. Byliśmy przygotowani na wszelkie ewentualności, lecz praca, którą przyszło nam wykonywać podczas następnego miesiąca, okazała się niemal ponad nasze siły. Pierwsza zapowiedź zbliżającego się okresu nieszczęść i trudów, uświadomiła mi się w sposób równie prosty, jak dramatyczny. W pawilonie mieliśmy łazienkę. Jednego poranka udałem się tam po wodę, lecz gdy odkręciłem kurek, okazało się, że wody nie ma choć poprzedniego wieczoru płynęła normalnie. Odkrycie to znaczyło, że Burowie odcieśli wodociągi, które zasilają miasto w wodę. W rezultacie trzeba było używać wody studziennej, co wywołało epidemię, której ofiarą padło pięć tysięcy naszych żołnierzy. Jedynym błędem, który popełnił Lord Roberts, był — moim zdaniem

— fakt, iż nie zebrał natychmiast możliwie największej siły i nie udał się na odbicie zbiorników wodnych, które były o jakieś dwadzieścia mil od miasta. Zamiast tego czekał aż armia wypocznie i doczekał się wybuchu epidemii. Oczywiście wiem, jak łatwo jest być mądrym po szkodzie.

Wybuch zarazy był okropny. W wiadomościach, podawanych do pism, zamieszczano rzecz prosta jej rozmiary, lecz mogę obecnie powiedzieć, że żyliśmy otoczeni wprost trupami i ludźmi, ginącymi jak muchy. Nasz szpital miał pięćdziesiąt łóżek, lecz musieliśmy stale pomieścić stu dwudziestu i więcej chorych, nie licząc coraz to nowych trupów, którymi podłoga była wprost zasłana. Można sobie wyobrazić położenie, zważywszy, że zarówno pościel, jak i naczynia obliczone był na pięćdziesięciu chorych. Jak musiał wyglądać nasz pawilon setkach chorych na najgroźniejszą febrę, dyzenterię, krwawą biegunkę, itp., trudno opisać. Obraz nie był wolny od rysu mimowolnej i tragicznej ironii. Jeden koniec pawilonu zajęty był przez scenę, na której ustawiono już dekoracje do operetki. Kiedy wybuchła epidemia musieliśmy tam urządzić latryny dla tych, którym siły pozwalały tam się dowlec. Słabszych trzeba było obsługiwać tam, gdzie ich choroba zwała, wskutek czego powietrze było przesycone okropnym zaduchem i wyziewami. W tych warunkach był nasz pawilon, kiedy nam przysłano do pomocy dwie pielęgniarki. Nigdy nie zapomnę tych jasnych, anielskiej dobroci postaci, które pielęgnowały nieszczęsnych chorych, traktując ich jak słabe niemowlęta, po prostu ze szczytowym samozaparciem. Dzięki Bogu obie wyszły cało z tej próby.

Miesiąc spędzony w wygodach może się wydać krótkim, lecz cztery tygodnie w tych warunkach, wśród strasznego powietrza, przesyconego chorobą, wśród tumanu much, okrywających wszystko, pakujących się wprost do ust jedzącego, wydawały się wiekiem. Było jeszcze pół biedy, kiedy cały nasz personel mógł pracować. Lecz wkrótce ludzie nasi poczuli słabnąć z nadmiernego wysiłku. Niemal wszyscy byli ochotnikami z Lancashire, z zawodu robotnicy tkaccy, drobni, źle odżywieni, lecz pełni zapału i energii. Niestety z piętnastu, dwunastu uległo wkrótce chorobie, zmniejszając tym sposobem poważnie ilość rąk do pracy, zwiększając równocześnie jej zasób. Trzech z nich umarło. Na szczęście my starsi, trzymaliśmy się jako tako i zyskaliśmy wkrótce potem osobą dra Schwartza z Capetown. Mozół był ogromny, lecz czerpaliśmy siły z myśli, że obecność nasza nie jest bezcelową. Największą pomocą był dla nas duch, który ożywiał pacjentów. Cierpliwość z jaką znosili oni swe cierpienia były istotnie budująca. Żołnierz brytyjski narzeka w czasie pokoju, lecz nigdy się nie skarży w obliczu śmierci.

Nasz szpital nie przedstawiał się gorzej od innych, że zaś było ich sporo, stąd łatwo sobie wyobrazić warunki, w jakich się znaleźli mieszkańcy miasta. O sporządzaniu trumien nie było mowy, więc grzebano zmarłych — przeciętnie sześćdziesięciu dziennie — spowitych w szare koce, w płytkich grobach. Nad miastem unosiła się woń przyprawiająca o mdłości. Raz, gdy wyjechałem na godzinę poza miasto, by odetchnąć świeżym powietrzem, w odległości jakichś sześciu mil zmienił się kierunek wiatru i nagle otoczyła mnie ta sama woń. Mam wrażenie, że gdybym ją poczuł na chwilę teraz, uczułbym ten sam nastrój, w jakim się wówczas znajdowałem.

Nareszcie skończył się ten okres. Armia ruszyła z miejsca, tak że część nowych chorych znalazła się w innych, dalej położonych szpitalach. Wodociągi odebrano niemal bez oporu. Udałem się z tą częścią armii, która wyruszyła na ich odbicie; pamiętam, że spałem tę noc, spowity w płaszcz pod jakimś wagonem, zmarzłem tak, że zdało mi się iż nawet wnętrzności w człowieku przemarzły. Następnego ranka spodziewano się bitwy, nas ostrzeliwano poprzedniego wieczora, więc Jan Hamilton, który dowodził, posuwał się naprzód bardzo ostrożnie. Na szczęście obawy okazały się płonne i prócz kilku postaci, obserwujących nas z sąsiednich pagórków, nie zobaczyliśmy wroga, który się oddalił w nocy.

W czasie tego pochodu przeszliśmy obok Sanna Post, gdzie kilka tygodni przedtem wciągnięto naszych w zasadzkę. Biedne konie artyleryjskie leżały jeszcze niepogrzebane, tak jak padły od kul i całe pobojowisko zasłane było wszelkiego rodzaju szczątkami, od obuwia i pasów antycholerycznych do hełmów i torb skórzanych. Leżało tam mnóstwo wystrzelonych nabojów, z napisem na każdym: „Kule cięte. Sporządzone dla użytku Rządu Brytyjskiego. Londyn”. Co to miało znaczyć, nie wiem, gdyż żołnierze nasi używali kul normalnych z fabryki Lee–Metford, co sprawdziłem sam wielokrotnie. Musiał to być jakiś podstęp dla późniejszego usprawiedliwienia okrucieństw, chociaż na ogół Burowie walczyli bez podstępów, uciekając się do nich dopiero pod sam koniec wojny.

Pochód Hamiltona był początkiem wielkiego posuwania się naprzód. Odzyskawszy wodociągi, zwrócił się on na północ, stając się tym samym prawym skrzydłem armii. Po lewej jego stronie była siódma dywizja Tuckera, dalej szósta dywizja Kelly Kennyego i pierwsza dywizja Pole–Carewa wraz z Gwardią, wreszcie wielka masa piechoty,

wsadzonej na konie, oddziały Obrony Krajowej, wojska kolonialne i korpus wojsk nieregularnych. Taki był skład wielkiej armii, która wcześniej w maju ruszyła z Bloemfontein ku Pretorii. Praca w szpitalu stała się lżejsza, tak że ja i Archibald Langman znaleźliśmy sposobność zwolnienia się na jakiś czas i udania się wraz z armią, z którą spędziliśmy pierwszy okres tej wielkiej wyprawy. Przeżycia moje z tego czasu spisałem, gdy były jeszcze świeże w pamięci, więc przytoczę tu niektóre ustępy tych notatek, które na pewno są żywsze niż ten zatarty obraz, jaki się jeszcze rysuje w moim umyśle po dwudziestu latach.

XVI POBYT W ARMII

**POLE — CAREW. — TUCKER. — STRZAŁY Z UKRYCIA. — ZRABOWANA FARMA. —
ZDOBYCIE BRANDFORT. — WALKA ARTYLERII. — ATAK GWARDII. — RANIONY
SKAUT. — ZMARŁY AUSTRALIJCZYK. — POWRÓT.**

Stojąc w wąwozie Karee i patrząc z jego przełęczy na północ, ujrzelśmy przed sobą wielką, zieloną równinę z rozrzuconymi tu i ówdzie białymi plamami zagród. Równinę przecina jedna linia — obronna, tzw. donga. Ze wszech stron opasują ją odległe wzgórza, u stóp których ujrzelśmy mającą niewyraźnie linię domów, z wieżą wzbityą wysoko ponad nią. To Brandfort, oddalone od nas o dziesięć mil, które mamy zdobywać.

Wojsko sunie naprzód, szereg za szeregiem, czerwone twarze i „khaki” mundurów; głucho turkocą wozy armat. Na wzniesieniu obok nas, zatrzymują swe konie dwaj wojskowi, którzy przez polowe lunety obserwują odległą miejscinę. Dzielne i męskie ich postacie. Jeden wytworny i ubrany bardzo starannie, z łobuzowatym uśmiechem w oczach i na pięknej twarzy, gotów do psoty, jak ulubiony żak szkolny. Drugi surowy i ponury, cały w brwiach i potężnym nosie, ze skórą łuszczącą się na spalonej twarzy, barwy ceglastej. Pierwszy, to generał dywizji Pole-Carew; drugi — brygadier Stephenson. Obydwaj należą do „nowo odkrytych” ludzi.

Niedaleko zatrzymuje się inny, godny uwagi. Barczysty, szerokich ramion, z czarną, równo uciętą, czarną brodą, spływającą na piersi, z ręką na temblaku, postać średniowiecznego rycerza. To Crabbe z Gwardii Grenadierów. Zatrzymał konia na chwilę; gwardziści defilują przed nim długim szeregiem.

— Mam dość na dziś — cztery kule. Mam nadzieję, że piąta mnie ominie.

— Pan powinien być teraz w szpitalu.

— Mam co do tego swoje własne zdanie. Wspina konia ostrogą i odjeżdża za swymi ludźmi.

Radość patrzeć na tych młodych oficerów Gwardii. Nie znać po nich, że to dandysi salonów z Mayfair, arystokratycznej dzielnicy Londynu. Sześć miesięcy spędzili w granicach afrykańskiego weldtu, walcząc od Belmont do Bloemfontein. Ruchy ich wytworne, strój czysty, nieskazitelny. Ta sama dbałość o wygląd zewnętrzny.

Patrzymy przez lunetę. Na lewo, na samym końcu horyzontu coś się porusza. To jadąca na koniach piechota Huttona; jest ich kilka tysięcy; oskrzydłają pozycję od lewej strony, gotowi złamać jego zapędy w tamtą stronę. Dalej, poza nimi oddziały „Konnej Piechoty” Jana Hamiltona i kawaleria Froncha. Cały front ciągnie się na jakieś trzydzieści mil; obejmuje jakieś trzydzieści pięć tysięcy ludzi.

Zaczyna się pochód przez wielką równinę; na czele rozciągnięta linia piechoty na koniach; jedna kompania zajmuje jakieś pół mili (angielskiej; równa się przeszło jednemu kilometrówi). Poprzedzają ją harcerze. Pół roku temu pochód taki był niemożliwy. Inaczej dziś wyglądamy zaopatrzeni w nowy materiał wojenny. „Donga” oddalona od nas tylko o jakieś 2 tysiące sążni; zatrzymujemy się, by się jej baczniej przypatrzeć. Działa się szykują, lepiej być w pogotowiu. Pole-Carew pędzi na koniu z miną ucniaka na wakacjach.

— Widział kto starego Tuckera — woła, przykładając lunetę do oczu? Pytanie dotyczy osoby adiutanta, wysłanego z poleceniem do harcerzy. „Patrzcież na tego wariata! Zamiast do harcerzy, galopuje wzdłuż „dongi”, by wypatrzeć Burów! Kto mu kazał!? Jak go zapytam o to, to odpowie na pewno, że myślał, iż mnie tam znajdzie”. Nareszcie! Czemu pan zaraz nie wrócił?

- Nie zatrzymałem się nigdzie.
- Ale pojechał pan wzdłuż „dongi”!
- Myślałem, że znajdę tam waszą wysokość.
- Niech pan nie łże.

Adiutant cofa się z wesołym uśmiechem. Strzelano do mnie, ale wolałem o tym nie mówić. Wyznaje kolegom.

Trrra... trrra... trrra... Strzały na froncie. Każdy wyciąga szyję. Czy to strzały z ukrycia, czy rozpoczęcie bitwy na dobre? Strzały padły z dalekiej zagrody. Bateria polowa numer 83, zaczyna się krzątać koło swych dział. Oficer dowodzący przechadza się tu i tam i spogląda w kierunku owej zagrody. Z obu stron ludzie wyciągają się w dwie Unie, wydając długie, monotonne wykrzyki. Wyszukują ką, pod jakim pocisk ma wypaść; artylerzysta siedzi na dziale, pochłonięty lekturą kilkugroszowego pisma.

- Harcerze minęli już zagrodę, — mówi oficer.
- Doskonale, — odpowiada major.

Bateria zczepiona znowu i cały oddział rusza w kierunku zagrody. Przystanek na południowy posiłek. A oto dalszy rozwój wypadków.

Jakiś żołnierz wyprowadza z dziedzińca wózek z parą koni, dla użytku armii. Cała zagroda jest łupem wojennym, za te strzały dane z ukrycia. Może surowy przykład pouczy innych. Trudno się bawić w ceremonie na wojnie.

Przestraszona dziewczyna wybiega z chaty. „Czy to wolno żołnierzom, zabijać drób?!” Cóż pomoże dyskusja, gdy kury zabite. Dumna i oburzona dziewczyna zapędza do izby trzy indyki. Żołnierze patrzą na nią łakomie, lecz zostawiają w spokoju.

Lecz na tym nie koniec. Tuczny, biały wieprzek, cały zakrwawiony pędzi ku nam z kwikiem, za nim żołnierz z bagnetem. Jeden cios, drugi, wieprz czyni wrzask coraz przeraźliwszy. Człowiek padający od kuli — to widok mniej działający na nerwy. Z okienka pod dachem wyrzucają wiązki siana; inni kopiają jarzyny w ogródku. Tu żołnierz pije mleko z jakiegoś dziwnego naczynia, rozśmieszając innych. Cała scena jak średniowieczna groteska.

Nadjeżdża generał, lecz i on nie ma słowa pociechy dla narzekających kobiet. „Samiście sobie winni. Nie trzeba było strzelać”. Z tymi słowy odjeżdża dalej.

Z kolei zjawia się kapelan. „Spalić tę szopę” — mówi — „z dymem puścić! Dać nauczkę!”.

Mały chłopak holenderski patrzy nań szeroko rozwartymi, szarymi oczyma. Nie zapomni on opowiedzieć o tym swoim prawnukom.

„Wojna, to okropna rzecz”, mówi matka, po holendersku, Żołnierze płaczą się koło drzwi i okien, ciekawie oglądając mieszkańców. Lecz ma objawów brutalności.

Jakiś Kafir wchodzi do izby. „Kafir!!!” krzyczy dziewczyna z płomieniami w oczach. „Ano Kafir”, mówi ten spokojnie i oddala się. „Nie spalicie nam domostwa?” Woła matka.

— Nie, nie, odpowiadamy, — nie bójcie się.

Po posiłku i odpoczynku posuwamy się dalej w stronę miasteczka.

„Bumm! Bumm! Bumm!” To armaty nareszcie. Lecz gdzieś daleko, na skrzydle Tuckera. Na oddalonych pagórkach zielonych wykwitają białe smugi dymu. To pękające pociski. Patrząc przez lunetę, można dostrzec w odległości ośmiu mil baterię brytyjską przy robocie. Czasem unosi się nad nią chmura kurzawy. To pocisk wroga, którego dojrzeć nie można.

„Bumm! Bumm! Bumm!” Zaczyna to brzmieć monotennie. „Stary Tucker nie żartuje!” „Lepiej niech ustanie i da nam sposobność ataku na Brandfort!”.

Strzały zamierają w oddali. Ruszamy znowu. Zestrzelono nam tam jedno działo z łożyska i zraniono dwunastu ludzi. Lecz Hutton zatoczył już swoje skrzydło. Zbliżyliśmy się do miasta. Konna artyleria atakuje. Nad pasmem pagórków wzbijają się szrapnele. Czołowa piechota

pochyla się naprzód i przyspiesza. Galopujemy w stronę frontu, lecz opór już złamany. Jazda pędzi naprzód. Armaty milczą. Przed nami spokojnie, słońcem zalane wzgórza. Jadę znów wzdłuż szeregów piechoty. „Ten podły wrzód na wielkim palcu u nogi pękł nareszcie”. „Przeklęta butelka, pusta!” Co drugi ssie fajkę.

Miasto leży na prawo. Oddzielają nas jeszcze jakieś dwie mile. Na równinie jeździec zagania kłacze i źrebaki. Poznaje go, to znany dobrze w towarzystwie londyńskim Burdett–Coutts. Pan Maxwell z „Morning Post” radzi jechać do miasta, dla rozejrzenia się w nim. „Nasi ludzie” pewnie tam już są. Nie widać ich wprawdzie na równinie, spróbujmy. Wjeżdżamy do miasta. Istotnie, oto grupa naszych skautów. Młody Bur, właśnie schwytany, stoi wśród garstki jeźdźców. Twarz surowa; ubrany bardzo starannie; w Anglii mógłby ująć za syna właściciela ziemskiego.

— Panna ci w głowie, cierp teraz, — mówi sierżant, Australijczyk.

— Chciałem ją wywieźć za miasto, — mówi jeńiec.

Prowadzą innego. — Za kilka minut nie złapalibyście mnie tutaj, — mówi.

— Nie złapalibyśmy cię i wcześniej, żebyś wiedział, jak uciekać, — odpowiada doświadczony widocznie zwycięzca.

W tej chwili nadjeżdża sztab. Miasto wzięte. Przyprawdzają innego jeńca; Amerykański Irlandczyk, rudowłosy. — Co was to obchodzi? — odpowiada na każde pytanie. Odprowadzają go do więzienia.

Właścicielka naszego hotelu zalewa się łzami, męża jej uwięziono, bo znaleziono strzelbę w hotelu. Staramy się o jego uwolnienie z powodzeniem. Każe nam płacić 4 szylingi za pół butelki piwa, tak, że zamierzamy zagrozić znowu jego uwięzieniem.

— To nie mój dom. Każą mi brać takie ceny, — woła ze łzami w oczach. Ściany gospody ozdobione są obrazkami pornograficznymi dla bawienia prostaczych farmerów. Nie pierwszy to raz miałem sposobność stwierdzić, że życie wiejskie i purytańskie wyznanie nie koniecznie oznaczają surową moralność.

Siedzimy na werandzie i palimy fajki przy blasku księżyca. Jakiś pijany mieszkaniec idzie ulicą, zataczając się. Przed gospodą pełni wartę żołnierz brytyjski.

— Stój! Kto idzie?

— Swoj!

— Hasło?

— Jam wolny Anglik!

— Hasło?

— Jam wolny...

Słychać trzask strzelby, widać błysk bagnetu. „Hej! stój!” Woła najstarszy korespondent. „Obywatelu! Czeka cię kula, uważaj! Nie strzelać!” Wartownik dźwignął strzelbę na ramię i podszedł do przechodnia. „Co mam z nim zrobić?” zapytał korespondenta. „Zrób, co ci się podoba”. Wytrzeźwiony obywatel zemknął co do ducha.

Prowadzę rozmowy polityczne z obywatelami Wolnego Państwa. Najlepiej rozpocząć taką rozmowę od pytania: „Po co wydaliście nam tę wojnę?” Wytworzyli oni w swej świadomości poczucie takiej niewinności, że przypomnienie, iż to oni byli stroną zaczepną, czyni na nich ogromne wrażenie. Ta sokratyczna metoda prowadzi do dość ciekawych wyników. Okazuje się, że wszyscy oni wierzyli w łatwe zwycięstwo i że obecnie są rozgoryczeni na Transwaal. Mają dość już wojny, podobnie jak przeważna część oficerów brytyjskich. Zdawało mi się czasem, że byłoby pożądane, aby ci ostatni mieli mniej swobody w wypowiedaniu swych zdań osobistych, gdyż to może fatalnie oddziaływać na karność żołnierzy. Z drugiej strony było rzeczą jasną, że gdyby przyjęto warunki inne, niż całkowite poddanie się, nastąpiłby bunt w armii, podobnie

jestem przekonany, że gdyby pozostawiono do woli oficerów opuszczenie pola wojny, niewielu skorzystałoby z tej swobody, mimo krytyki i narzekań.

Nasi inżynierzy kolejowi dokazują cudów. Mimo zniszczonych mostów i szeregu innych przeszkód technicznych, pociąg nasz był następnego dnia w Brandfort, tak, że mogliśmy się udać w dalszą drogę ku Pretorii. Celem naszym teraz była rzeka Vet. Ruszyliśmy wczesnym rankiem.

I znowu przed oczyma wielka równina, z białymi zagrodami i ruchomą wstęgą koloru khaki. Dzień był upalny, tak, że dziesięć mil jazdy było dość dla gwardzistów. Tu i ówdzie na trawie można było dostrzec leżących maruderów, lecz armia posuwała się pracowicie naprzód. Dziesięć mil zda się nie wiele, lecz zrobić je w kolumnie jazdy, w kurzawie piachu, w upał, z ładunkiem na plecach i strzelbą przez ramię, z zasobem amunicji, kocem, blaszankami, pustą butlą na wodę i ze spragnionym językiem — to nie łatwa sprawa.

Siwobrody kapelan kulał, dotrzymując kroku swej kompanii. Kiedy ofiarowałem mu swego konia, nie przyjął. — Nie, nie, po co mam psuć mój rekord?

W marszu ludzie idą w milczeniu; ani śpiewu, ani muzyki, Zarówno oficerowie, jak i żołnierze są w złych humorach.

— Czemuż ty... — ryczy jakiś podoficer.

— Bo nie słyszę ani słowa, — odpowiada kapral.

Na południowy wypoczynek zatrzymują się; kiedy się przechadzam wśród nich, mam wrażenie, że oficerowie gderają za wiele. Przejeliśmy zbyt dużo z niemieckich metod militarnych. Naszym wzorem powinna być raczej metoda amerykańska, gdyż jest ona wytworem rasy anglo-celtyckiej w największym doświadczeniu wojennym, przez jakie rasa ta przeszła.

Posuwamy się dalej przez równinę. Ciekawość nas przejmuje, czy nad rzeką, która się wije w dali czeka nas jakaś niespodzianka. Burowie obsadzają każdą rzekę i bronią każdej. Bronili rzeki Modder i Tugela, czy będą bronić rzeki Vet? Lecz co to? Galopem przypada człowiek z gołą głową na spienionym koniu. Usiłuje mówić, gestykuluje żywo. „Pięćdziesięciu... zasadzka... zgubiłem hełm...” Chwytny te urywane słowa. Nagle spostrzegamy, że koń, który począł spokojnie skubać trawę, ma z boku wielką, otwartą ranę, z której sączy się krew. Tak, konia postrzelili.

Jedziemy naprzód i przejeżdżamy przez rozdzielone szeregi harcerzy gwardii. Za nami suną żywo dwa działa okrętowe, ciągnięte przez piętnaście par wołów. Na froncie przed nami ustawiła się już bateria. Zajeżdżamy ku niej z boku. W dali przed nami widnieje mała zagroda; dachy jej zabudowań kryte czerwoną dachówką. Piechota skupiła się w jedną gromadę i zbliża się ku nam. „Ot, cyrk gotowy; zaraz się zacznie zabawa”. Taki frazes powstał podczas wojny secesyjnej w Ameryce. Nasz cyrk był gotów, a zabawa miała się zacząć niedługo. Rozpoczęła ją 84-a bateria.

Bumm! Po chwili zobaczyłem wybuch pocisku na oddalonym wzgórzu. „3.500” ktoś woła. Bumm! „3.250”, powtarza ten sam głos. Bumm! „3.300”. Tym razem smuga dymu wykwitła nad dachem, jak gdyby dom był w ogniu. „Doskonale”.

Właśnie, gdy myśleliśmy, że się skończy na tej jednostronnej grze, rozległ się nagły świst: „Whiiiiii...” zakończony głuchym „Uuuuff!” Jakieś pół saga ziemi wylatuje w powietrze na sto sążni w górę, tuż przed naszą baterią. Artylerzyści tyle sobie robią z tego, co z padającego ziemniaka.

„Whiiiiii-uuuff!” pięćdziesiąt sążni przed baterią.

„Bumm! Bumm!” odpowiadają działa angielskie.

„Whiiiiii-uuuff!” — tym razem pięćdziesiąt sążni poza baterią. Następny pocisk na pewno trafi w baterię. Puszkarze robią swoje, jakby ich to nic nie obchodziło. „Whiii-uuuff!” Prosto między działa tym razem! Kurzawa skryła obydwie działa. Ilu naszych padło!! Kurzawa rzędzie — wszyscy, co do jednego, zajęci dalszą pukaniną, jakby nigdy nie!

Strzał za strzałem, pocisk za pociskiem, i poczynają latać różne. Jedne pękają w powietrzu, wydając najpierw świst a potem przeraźliwy dźwięk metaliczny, coś w rodzaju „Whiiii–tang”, po czym olbrzymią przestrzeń gruntu zakrywa kurzawa od padających kawałków szrapneli. Ale puszkarze nie zwracają na to uwagi. Ich nic nie wzruszy, chyba rozbicie działa, przy którym wtedy padają. Lecz pociski stają się coraz j celniejsze i tylko cud jakiś chroni naszych. Raz tylko zauważyłem, jak jeden z nich odrzucił w tył głowę, gdy pocisk padł przed nim. Inni stali się po prostu automatami. Wreszcie jednak dowodzący oficer kazał przesunąć działa. Przeciagnęli je jakieś pół mili na prawo i zabrali się do dalszej pukaniny.

Na największy podziw zasługuje przy tym ktoś, kto jest sam. Być dzielnym w kupie to nie sztuka. Człowiek z jakim takim zmysłem miary właściwej czuje, że w tym procesie tworzenia się historii jest jako jednostka czymś tak małym i znikomym, iż przestaje myśleć o sobie. Jednostka ginie w masie. Lecz w tej chwili znajdujemy się na równinie sami, gdyż bateria jest o jakieś pół mili na prawo od nas. Nerwy nowicjusza są naprężone pod wpływem tej muzyki pocisków, chociaż jest w tym uczuciu jakaś nuta beztrioskiej wesołości.

O jakieś dwieście sążni od nas ciągnie się płot; prowadzimy ku niemu nasze zestrachane konie, po czym kręcimy się w koło z lunetą przy oku, dla wysledzenia skąd mogą przylecieć pociski Burów. Pewne miejsca dostrzeżone, budzą w nas podejrzenia, lecz pewności nie mamy. Nasi puszkarze może wiedzą, ale i co do tego mamy wątpliwości. Jest rzeczą pewną, że jedna dobrze skryta armata warta jest sześciu odkrytych. Ci farmerzy, którzy dali już niejedną naukę naszym strzelcom, mogą zmienić system walki artylerii na całym świecie. Walka z nimi, to tak, jak walka ślepego z widzącym. Przyłącza się do nas oficer artylerii. Rozmawiamy. Ponieważ nie ma w tej chwili zajęcia, więc rad przypatrzeć się pracy kolegów. Pocisk pada nieopodal nas.

— Następny — mówi pułkownik — przeleci nad naszymi głowami. Przejdźmy tam. Idę za nim, lecz bez pośpiechu. „Whiiiiii!

— O! Jest! — woła pułkownik. „A mnie nie ma” myślę sobie. Pocisk padł na naszej linii o jakieś czterdzieści sążni na prawo. Podnoszę kawałek i zachowuję na pamiątkę.

— Czy zaczekamy na następny? Zaczynam żałować spotkania z pułkownikiem.

Lecz oto nowa sensacja! Rzuciwszy okiem w tył, spostrzegliśmy, że dwa olbrzymie działa okrętowe szykują się do akcji o jakieś 50 sążni od naszych biednych koni, które znajdują się tym sposobem na linii pewnej śmierci. Ledwośmy zdołali je sprowadzić z tej linii, gdy się rozległo przerażające, najgłośniejsze ze wszystkich dotychczasowych „Bumm!”, po czym zaraz na odległym pagórku wykwitła biała smuga dymu z czarną plamą w jej środku. Przez to wzgórze przebiegają jacyś jeźdźcy. To Burowie się cofają. Nasi puszkarze wyjmują z działa mosiężną obsadę wystrzelonego ładunku.

— Czy mogę to zabrać na pamiątkę?

— Z przyjemnością, — mówi porucznik.

Przywiązuję zdobycz do siodła, z przykrością myśląc o moim biednym koniu. Działo ryczy raz po raz, zaś najdalsze wzgórze zakwita coraz to nowym pióropuszem dymu.

Oddział piechoty przechodzi obok wielkich dział, posuwam się nieco za nim. To Gwardia Szkotów. Pierwszy szereg idzie naprzód, drugi się zatrzymuje i kładzie na ziemi.

„Oczywiście! Głowy na pokaz!” rozlegają się krzyki z drugiego szeregu. O co im właściwie chodziło, nie wiem, ale oficer ich rozgniewał się nie na żarty. „Milczeć!” woła odwracając w tył swą czerwoną twarz. „Za wiele rozkazów! Rozkaz przy mnie.” Ludzie jego układają się na ziemi. Słońce zapada nisko. Widoczne jest, że zamierzony atak piechoty nie dojdzie do skutku. Jeden z wielkich pocisków przelatuje nad naszymi głowami, hucząc, jak oddalony pociąg w tunelu.

Obok przejeżdża człowiek z noszami przerzuconymi przez ramię. Koń, kasztan, sady w susach obok dział i dociera do brzegu pola kukurydzy. Ścigam go oczyma i mam przekonanie, że

lada chwila koń wraz z jeźdźcem padnie. Nagle jeździec zeskoczył z konia. Po chwili ukazuje się dwóch ludzi, niosących nosze, jeździec obok nich na koniu. Ponieważ miałem bandaż w kieszeni, posunąłem się ku nim.

— Czy doktor widział już rannego?

„Nie”. Złożyli nosze na ziemi. Twarz rannego zakryta chustką.

— Gdzie rana?

— W ramieniu.

Odkryłem koszulę i tuż pod skórą zobaczyłem kulę z Mauzera, która zamiast przebić, spelzła po kości. Nic łatwiejszego, jak wydobyć ją, lecz należy to zrobić w szpitalu. Nic groźnego.

— Nic panu nie będzie. Jak nazwisko?

— Smith. Z Nowej Zelandii.

Wymieniam moje nazwisko i podaję adres szpitala Langmanaf w Bloemfontein.

— Czytałem pańskie książki, — mówi ranny, po czym orszak się oddala.

W strzelaniu nastąpiła przerwa. Słońce zachodzi. Wreszcie po dobrej chwili ostatni pocisk wroga nadlatuje. Wygląda to po prostu na obrazę, na drwiny, jakieś brutalne „dobranoc!” Obydwa nasze działa dźwignęły swe karki i huknęły razem w odpowiedzi. Było to, ostatnie słowo Imperium — potężny, gniewny głos, idący poprzez „veldt”. Zapadł czerwony krąg słońca; rozpostarły się barwy fioleto i szkarłatu, zaś nad ich pasmem wznosił się wysoko biały księżyc. Co się stało? Kto zwyciężył? Czy inne oddziały brały udział w spotkaniu? Nikt nie umiał dać odpowiedzi na te pytania i nikt się o nie nie troszczył. Lecz późną nocą leżąc na wznak i patrząc na gwiazdy, dostrzegłem po lewej stronie horyzontu jakieś świetlne sygnały i domyśliłem się, że to Hutton dawał znać o sobie.

Domysł mój był trafny, gdyż o świcie cały obóz już wiedział, że nieprzyjaciel uszedł. Wojsko wstało bardzo wcześnie. Jakiś czas przed świtem rozległy się stłumione, głuche głosy bębnow i trzask płonących trzasek pod wielkimi kotłami, w których warzyło się śniadanie. Gdy się rozwidniło, dziwny widok uderzył nasze oczy. Olbrzymi balon wznosił się zwolna w górę. To była nasza odpowiedź na ukrywanie baterii przez nieprzyjaciół. Należało je wysledzić z góry. Była to nowa, konieczna nauczka, którą otrzymaliśmy w tej wojnie. Armia ruszyła z miejsca, idąc w kierunku w jakim balon się posuwał. Zajęliśmy wkrótce wczorajsze pozycje nieprzyjacielskie, gdzie znaleźliśmy tylko puste skrzynie i trochę zielonych, jeszcze nie wystrzelonych ładunków. Mówiono, że są one zatrute, lecz ja miałem wrażenie, że posypane one były jakimś antyseptycznym środkiem. Ostatecznie Burowie nie są dzikimi barbarzyńcami. Walczą dzielnie i bardzo przemyślnie, lecz fałszu nie ma w ich metodach.

Zegnamy się z armią, gdyż nasze obowiązki odwołują nas w tył, podczas gdy armia dąży naprzód. Ona idzie na kule, my wracamy do mikrobów. Jedno i drugie walka o cześć i sławę sztandaru, pod którym walczymy. Obok nas suną nieprzeliczone wozy, wagony, powozy i pojazdy wszelkiego rodzaju, długi i olbrzymi, nieco bezładny tabor armii. Nareszcie mijamy wszystko i zdążamy przez opustoszałą równinę z powrotem do Brandfort, odległego o jakieś dwadzieścia mil, w nadziei, że nam nie zastąpią drogi jacyś jeźdźcy nieprzyjacielscy, idący na przespiewki za armią. Przechodzimy obok wczorajszych pozycji naszych baterii i oglądamy wyrwy, poczynione przez pociski działowe. Spostrzegamy, że choć trzy pociski padły w odległości dziesięciu sążni od siebie, to jednak wysokie mrowiska, znajdujące się na tej przestrzeni, zostały nienaruszone. To dowodzi, jak stosunkowo mało niebezpieczny jest ogień działowy dla leżącej na ziemi piechoty. Sądząc ze śladów na glinie, pociski musiały być czterdziestofuntowe. Nieopodal leżał cały rysz tunek jakiegoś gwardzisty, który widocznie zdjął z siebie wszystko, co mu przeszkadzało w akcji i zapomniał, lub nie zdążył zabrać. Na pewno dziś tego żałuje.

Jakiś Kafir na koniu przypada do nas w galopie, wskazując dłonią ku wschodowi.

— Anglik, tam... na równinie... zraniony... Holender... strzelił...

— Żyje?

Kafir potakuje skinieniem głowy.

— Kiedyś go widział?

Kafir wskazuje na słońce i na najniższy punkt horyzontu. Wnioskujemy, że o świcie, więc jakieś dwie godziny temu.

— Możesz nas zawieźć ku niemu? „Podejmuje się za dwa szylingi. Galopujemy razem. Jedziemy najpierw przez pole kukurydzy, po czym wjeżdżamy na „veldt”. Co to może być? Na małym karczowisku widać czarną, nieruchomą figurę. Podjeżdżamy i zeskakujemy z koni. Przed nami leży człowiek, krępy, niski, smagłej cery, usta pokryte skrzepłą krwią, twarz zastygła; widać, że człowiek był przystojny; włos kruczy i czarny wąs. Na ramieniu oznaka mosiężna z napisem: Nr.410. Piechota Nowej Południowej Walii. Widocznie padł od kuli i zapomniano o nim lub przeoczono. Kiedy go Kafir dostrzegł, musiał już nie żyć. Ani strzelby przy nim, ani konia. Zegarek leży obok, wskazując godzinę pierwszą, widocznie liczył mijające godziny, póki wzrok mu służył. Oglądamy rany; okropna rana w brzuchu i ramię przestrzelone; śmierć nastąpiła wskutek upływu krwi. Obok zegarka butla na wodę, nie wypróżniona. Lecz co to? Na tej butelce stoi czerwony pionek szachów. Czyżby zmarły bawił się nim w ostatniej chwili? Reszta szachów w torbie, której nie mógł dostać ręką. Ciekawy taki szeregowiec z szachami na placu boju. A może je zrabował w jakiejś zagrodzie? Któż to wie?

Zbieramy kilka przedmiotów, stanowiących własność Nr. 410, skórzany pas na amunicję, pióro, jedwabną chusteczkę, scyzoryk, zegarek, 2 i pół szylinga w sakiewce. Następnie dźwigamy go i układamy na mego konia, którego w tej samej chwili obsiadają roje much, na krew łakome. Prowadzimy konia za uzdę i dochodzimy wreszcie do drogi, przy której składamy zmarłego pod słupem telegraficznym. Niedługo powinien przechodzić tędy konwój, który mu sprawi przyzwoity pogrzeb. Nr. 410 trzyma jedną dłoń, zwiniętą w pięść, sztywnie wyciągniętą. Staramy się ją zgiąć, lecz za każdym razem wraca do swej pierwotnej pozycji, groźna, agresywna. Zarzucam na zmarłego płaszcz, lecz nawet spod niego sterczy ta dłoń. Widocznie jeszcze w ostatniej chwili chciała bronić życia. Piękna śmierć — pod niebem, w obronie wielkiej sprawy. Trudno o piękniejszą.

Nieskończenie długa jazda, przez niekończącą się równinę. Tu i ówdzie grupa Kafirów na koniach, w poszukiwaniu łupu zapewne. Mam wrażenie, że oddział konnej policji przydałby się na tyłach armii. Jak można wiedzieć do czego są zdolni ci Kafirowie, w zagrodach zostawionych na opiece kobiet i nieletnich dzieci.

Zrobiliśmy dziesięć mil i zjeżdżamy z drogi, by napoić konie u grobli. Obok niej czarna kobyła tarza się po ziemi. Dziwny obraz zadowolenia. Nagłe ruchy jej stygną. Jeszcze jeden trup, który będzie zatrwał powietrze. Spoczywamy przy grobli, paląc fajki. Drogą przejeżdża korpus kawalerii kolonialnej; po odznakach rozpoznanych przez lunety poznajemy, że to głośny i wstawiony korpus. Lecz gniew człowieka zbiera na myśli, jak mało w nas zmysłu wojennego, mimo tylu poniżających klęsk, które powinny nas już były czegoś nauczyć. Oto w kraju nieprzyjacielskim, pełnym zasadzek, pułk ten jedzie sobie najspokojniej, bez straży, bez skautów, bez służby wywiadowczej. Tylko jakiś Napoleon, który spotkawszy taki pułk, zerwałby szlify pułkownikowi i zdegradował go na miejscu, bez apelacji, mógłby zreorganizować naszą armię.

Jedziemy dalszych sześć mil otwartą równiną i spotykamy mały konwój pod eskortą milicji, który zjeżdża z właściwej drogi. Zwracamy jego uwagę na błąd, lecz kapitan dowodzący okazuje wielki niepokój.

— Tam na tym pagórku, — jakieś pół mili na lewo od nas, — przyczaili się Burowie, — oświadcza.

— Pewnie gromada Kafirów, — uspokajamy go.

— Nie, nie; Burowie na koniach, ze strzelbami przez ramiona.

— Widzimy istotnie jakieś figury, poruszające się w oddali, lecz powtarzamy, że to Kafirowie. W końcu rozjeżdżamy się, nieprzekonani. Byliśmy pewni, że ów kapitan, prowadzący pierwszy konwój, był ofiarą rozigranej wyobraźni, lecz urósł on w naszych oczach dnia następnego, gdy dowiedzieliśmy się, że oddział naszych ścigał całą noc tę właśnie gromadę, która uwijała się w naszym pobliżu. Jest też możliwe, że przypadkowa obecność konwoju, ocaliła nas od niebezpieczeństwa.

Spędziwszy jeden dzień w Brandfort, wsiedliśmy do otwartego wagonu, który nas zawiózł z powrotem do miasta pod adres: Kawiarnia Choleryczna przy Bulwarze Mikrobów.

XVII

KOŃCOWE PRZEŻYCIA W AFRYCE POŁUDNIOWEJ

**ZAWIŚCI WŚRÓD WOJSKOWYCH. — PIŁKA NOŻNA. — ZŁAMANE ŻEBRA. — BUNT. —
DE WET. — TRUDNOŚCI HISTORYKA. — PRETORIA. — LORD ROBERTS. — WŚRÓD
BURÓW. — PAMIĘTNA OPERACJA. — SPRZECZKA.**

Wśród ludzi znanych mi zawodów, wojskowi są najbardziej skłonni do wzajemnej zawiści i do dzielenia się na wrogie sobie partie. W Afryce Południowej pełno było tych zawiści; ciągle się słyszało, że ten generał idzie na udry z tamtym, a tamten z owym itd. Największe współzawodnictwo panowało między ludźmi Roberta i Bullera. Pierwsi zwłaszcza byli rozgorzyczeni na obrońcę Ladysmith, tak, że słuchanie zarzutów mogło istotnie doprowadzić do pasji. Moim zdaniem Buller był dobrym żołnierzem, lecz człowiekiem brutalnym i bez taktu. Dowodziło tego kilka autentycznych anegdot. Kiedy np. wszedł do Ladysmith, które obronił od oblegającej je długo armii, mieszkańcy wydobyli skądś kilka tortów i innych smakołyków, które podano na bankiecie, urządzonym na cześć Bullera. „Ja myślałem, że wy tu głodem przymieracie”, oświadczył on gburowato, rzucając okiem na stół i zebranych gości. Opowiadało mi to kilku ludzi, którzy byli obecni na tym bankiecie. Byłoby oczywiście rzeczą przykrą, gdyby długa i zasłużona kariera Bullera miała się zakończyć usunięciem go w cień. Jest jednak pewne, że w innej służbie, zwłaszcza francuskiej, nie przeżyłby on klęski pod Colenso. Niezwykła mowa, którą wygłosił w Londynie po wojnie, dowodziła, że umysł jego zatracił poczucie rzeczywistości. Natomiast rola, jaką odegrał w tej niefortunnej polemice lord Roberts, przynosi mu zaszczyt. „Postąpię z Bullerem jak najłagodniej”, wyraził się on do jednego z członków swego sztabu i dotrzymał słowa.

Po powrocie zastałem szpital w stanie znacznie lepszym od tego, niż go opuściłem. Niestety, sam się rozchorowałem, choć nie niebezpiecznie. Mam do dziś przekonanie, że gdyby nie szczepienie, byłbym padł ofiarą dyzenterii, gdyż nawet ta lekka choroba przyprawiła mnie o niestrawność, która trwała dobrych dziesięć lat. Nie przyspieszył mej kuracji oczywiście wypadek, jakiemu uległem podczas jednego z meczów piłki nożnej, urządzonego przez różne szpitale dla oderwania służby i personelu od jednostajności zajęć. Charles Gibbs obłożył jakimś plastrem moje pogniecione żebra, ujawszy je w rodzaj gorsetu, lecz ja byłem już za stary na te wybryki, które w młodości przyjmowałem ze śmiechem.

Nasuwa mi się tu na pamięć inne zdarzenie z tego czasu. Wybuchła mianowicie zacięta kłótnia między naszym komendantem wojskowym, Drurym, który przedstawiał dyscyplinę i rutynę, tudzież naszymi kucharzami i służącymi, którzy przedstawiali świecką ideę swobody indywidualnej. Kiedy wróciłem z obozu, spór ten doszedł do punktu, w którym służba nasza po prostu się zbuntowała, skutkiem czego praca uległa demoralizacji, na czym najwięcej cierpieli nasi pacjenci. Drury się wściekał, powiększając tym opór i upór strajkujących. Doszedłem do przekonania, że była to jedna z tych chwil, w których zgodnie z warunkami pana Langmana, obowiązkiem moim było interweniować. Otrzymałszy zgodę majora Drury, który był rad, że ktoś inny zdejmuje z jego ramion odpowiedzialność za dalszą dezorganizację szpitala, zasiadłem za wielkim stołem naszej jadalni, mając przed sobą sześciu głównych sprawców buntu, którzy stali wyciągniętym sznurem z wyraźnie wyzywającymi minami. Zacząłem do nich przemawiać spokojnie i łagodnie. Zaznaczyłem, że jestem w pewnej mierze za nich odpowiedzialny, gdyż wielu zostało przyjętych za moim pośrednictwem. Wyraziłem podziw dla ich wytrwałości i

współczucie dla wszystkiego, co przejść musieli i oświadczyłem, że przejścia te musiały się odbić ujemnie na nerwach każdego z nas, że jednak obowiązek i karność muszą zapanować nad słabościami ciał naszych. Niewątpliwie przełożeni są także przemęczeni, więc stosunek wzajemny powinien polegać na wzajemnych ustępstwach. Z kolei przeszedłem do tonu poważniejszego. „Sprawa, o którą nam chodzi, ma się stać przedmiotem sądu wojennego; by do tego nie dopuścić, postanowiłem pośredniczyć w ostatniej chwili. Panowie oczywiście zdajecie sobie sprawę z położenia. Okazaliście nieposłuszeństwo wobec rozkazów przełożonego wojskowego na terenie wojny, w obliczu nieprzyjaciela. Za to jest tylko jedna kara: śmierć. Sześć par oczu patrzyło na mnie w dzikim pomieszaniu. Przygotowawszy tym sposobem grunt, przeszedłem do szczegółowego rozpatrzenia zażaleń, przyrzekłem usunięcie tych, które mogą być uważane za słuszne i zażądałem formalnego przeproszenia majora Drury, jako warunku dalszej akcji z mej strony. Zgodzili się na wszystko, przeprosili i od tego czasu zatarg się nie powtórzył.

Natomiast przeżyłem chwile niepokoju innego rodzaju. Mianowicie Archibald Langman, który tak zasmakował w życiu obozowym, że mu się nudziło w szpitalu, wybrał się znów w pole z Imperialną Obroną Krajową (Imperial Jeomanry) i wpadł w ręce De Weta, który właśnie odniósł zwycięstwo pod Roodeval. Ten słynny przywódca walki podjazdowej był człowiekiem surowym, lecz sprawiedliwym. Pracowników szpitalnych bardzo cenił, tak, że Archibald wrócił cało i bezpiecznie. Lecz w ciągu tych kilku dni, które upłynęły między jego schwytaniem i powrotem, nie zaznałem ani chwili spokoju.

Armia parła naprzód prawie bez walki, tak, że Pretoria była wkrótce w naszych rękach. Wszystkim nam się zdawało, że to koniec wojny i że pozostaje tylko oczyścić z wroga resztę terenu. To też zacząłem przemyślać o powrocie do Europy. Dwa względy górowały nad innymi, bardziej osobistej natury. Pierwszy to wzgląd na moją „Historię Wojny”, którą pisałem mimo nieodpowiednich warunków cały ten czas, zbierając często materiał od naocznych świadków danych wydarzeń. Jednak była pewna część materiału niezbędnego, który można było otrzymać tylko w Londynie. Drugi wzgląd dotyczył przesilenia politycznego w Anglii i zbliżających się wyborów powszechnych z możliwością mej kandydatury. Nie chciałem jednak opuszczać Afryki bez zobaczenia Pretorii, więc otrzymawszy nie bez trudności urlop, wybrałem się dnia 22 czerwca w tę pełną niebezpieczeństw drogę.

Była to niewątpliwie najdziwniejsza podróż kolejną, jaką odbyłem w życiu. Z minuty na minutę człowiek nie wiedział co się może zdarzyć. Byłem w dobrym towarzystwie sekretarza Lorda Milnera, majora Stanbury Williama, który udzielił mi miejsca w swym wagonie. Był z nami również młody, małej postaci człowiek, nazwiskiem Amery, wtedy jeszcze nikomu nieznanym, dziś członek rządu i gabinetu. Byli inni, których nazwisk nie pamiętam. Ilekroć pociąg się zatrzymywał, a czynił to bardzo często, nikt nie wiedział, czy był to postój na pięć minut, czy na pięć godzin, jak się często zdarzało; że zaś ruszał w dalszą drogę bez żadnego ostrzeżenia, trudno więc było wagon opuszczać. Spotkaliśmy w drodze pociąg, zdążający do Bloemfontein, z powybijanymi oknami i dowiedzieliśmy się, że dwudziestu ludzi odniosło rany podczas niespodziewanego ataku Burów. To też każdej chwili spodziewaliśmy się napaści. Raz podczas jednego z długich postojów ujrzeliśmy jakiegoś jeźdźcę, pędzącego przez błonie. Wysiedliśmy z wagonu, by porozmawiać z nim. Był to chłop tęgą, bezbronny, ale podejrzanego wyglądu. Oświadczył, że jest farmerem, lojalnym brytyjczykiem, lecz ja byłem niemal pewny, że to wysłannik Burów, chcący dowiedzieć się, czym pociąg jest naładowany. Siedział swobodnie na swym siodle czas jakiś, gawędząc z nami, po czym nagle wykręcił konia i znikł w galopie. Nieco dalej zobaczyliśmy płonąca farmę i naszych ludzi uwijających się dokoła niej; mówiono mi, że

była to jedna z farm De Weta i że spalono ją za karę za przecięcie toru kolejowego. Cała scena wyglądała jak średniowieczny obrazek, gdzieś z pogranicza Anglii i Szkocji.

Kiedy przybyliśmy do miejscowości Roodeval, gdzie nasza milicja z Derbyshire została zdziesiątkowana przez De Weta, pociąg musiał się zatrzymać, gdyż nie ukończono naprawy przerwanej toru. Dało nam to możliwość opuszczenia wagonu i przechadzki. Całe miejsce było po prostu zasiane pociskami wielkich dział, zrabowanymi z jakiegoś pociągu. Dalej wielka przestrzeń była zasłana na pół spalonymi lub spopielonymi listami, gdyż De Wet kazał palić worki pocztowe — jeden z mniej sympatycznych jego czynów. Napoleon postąpił jednak jeszcze gorzej w wypadku, gdy kazał opublikować przejętą pocztę brytyjską, co spowodowało podobny krok odwetowy ze strony Anglików. Podniosłem skrawek jakiegoś listu, który wiatr przywiał mi pod nogi i przeczytałem niezdarne nabazgrane słowa: „Spodziewam się, żeście wytlukli już tych Burów co do nogi”. Między innymi szczątkami walały się również instrumenty orkiestry wojskowej, po których De Wet kazał przesuwac ciężkie wozy.

Z dziwnym uczuciem zobaczyłem jednego poranku platformę a nad nią tablicę z napisem „Pretoria”. Więc nareszcie znalazłem się w samym centrum całej zawieruchy. Hotel „Transwal” był otwarty, więc się w nim zatrzymałem, po czym zająłem się badaniem ludzi i rzeczy. Jednym z pierwszych moich zadań, było zobaczenie się z lordem Robertsem, który pragnął omówić pewne sensacyjne artykuły, jakie Burdett–Coutts umieścił w prasie londyńskiej, o okropnym stanie szpitalów wojennych. Nie ulega wątpliwości, że przeważna część tych szpitali znalazła się nagle w stanie, uzasadniającym wszelką krytykę, lecz stało się to dzięki nagłemu wybuchowi epidemicznych chorób. W tych warunkach, każdy robił nie tylko to, co normalnie do niego należało, lecz starał się podolać wymaganiom ponad normę. Mimo to wiele pozostawało do życzenia i nic na to nie można było poradzić. Wyjaśniłem to wszystko lordowi Robertsowi, a później Królewskiej Komisji w Londynie. Zdanie moje, jako pochodzące od człowieka pracującego bezinteresownie, miało prawdopodobnie więcej wagi, niż oficjalna opinia osób zaplątanych w tę sprawę, z myślą o karierze osobistej. Pamiętam jak dziś Roberta, siedzącego go przy swym biurku w małym pokoiku. Jego twarz była czerwona i nabrzmiała od upału słońca; wiek nie osłabił jego przenikliwości, a warunki wojny nie pozbawiły go wytwornej grzeczności, która mnie uderzyła już przy pierwszym spotkaniu w Londynie. Jego niebieskie oczy były tak samo inteligentne i łagodne, choć nieco zmęczone. Znać też było w nich starczość, nic dziwnego, wszak był to chyba jedyny przykład, aby człowiek przeszło siedemdziesięcioletni musiał opuścić zacisze odpoczynku i zasłużonych wygód, dla kierowania ciężką i znojną kampanią w półdzikim kraju. A przecież to jego szybki pochód na Paardeburg, który oskrzydlił wroga, zadecydował o wyniku kampanii. Pożegnałem go po krótkiej i żywej rozmowie i nie widziałem aż do chwili, kiedy odwiedził mnie w moim domu w Hindhead, w r. 1902, kiedy oglądał moją prywatną strzelnicę.

Lorda Kitchenera prawie że nie widziałem w Pretorii, gdyż raz tylko przejechał obok mnie w pełnym galopie na swym kasztanie i skinął dłonią, na znak, że mnie poznaje. Od Paardeburga jego rosnąca sława nieco ucierpiała, gdyż istotnie jego ataki na odciętą siłę Burów, która musiała się poddać wcześniej czy później, były niepotrzebne, a kosztowały jakieś 2000 istot ludzkich. Nie jest to zdanie laika, gdyż podzielali je powszechnie najtężsi wojskowi. Pułkownik Hannay posunął się tak daleko, że przed udaniem się do ataku, w którym znalazł śmierć pospołu ze swymi ludźmi, ogłosił publicznie protest, przeciw niepotrzebnemu marnowaniu życia i krwi ludzkiej. Lecz w chwili, o której mowa, wszystkie oczy były zwrócone na Kitchenera, gdyż najważniejszą potrzebą tej chwili była organizacja komunikacji między poszczególnymi członkami armii. Pod tym względem nikt mu nie mógł dorównać. Opowiadali mi naoczni świadkowie, że podczas bitwy Kitchener szybko się denerwował i tracił cierpliwość, podczas gdy

Roberts, okazywał tym więcej spokoju i zimnej krwi, im niebezpieczeństwo było większe. Gdzie jednak chodziło o administrację i organizację, tam Kitchener był po prostu nieludzko rzeczowym. „Z przykrością donoszę o eksplozji dynamitu. Czterdziestu Kafirów zabitych”, komunikował jeden z oficerów. Telegraficzna odpowiedź Kitchenera brzmiała: „Czy potrzeba więcej dynamitu?”.

Pod ścianą hotelu, tuż przy drzwiach stała ława drewniana, na której zasiadało wieczorem, prawie co dnia, kilku brodatych mieszczan dla wypalenia fajki i pogawędki. Przysiadłem się do nich z moją fajką burską, napełnioną najlepszym gatunkiem tytoniu z Magaliesburg. Po pewnej chwili milczenia wywiązała się rozmowa ogólna; mówili oni doskonałą angielszczyzną, swymi charakterystycznymi gardłowymi głosami. Ich słynny wódz, Botha, znajdował się gdzieś niedaleko miasta i było powszechną tajemnicą, że co noc otrzymywał on wiadomości, zaczerpnięte wmieście przez swych zwolenników. Ta gromadka starych mieszczan wyglądała mi na grupę wywiadowczą, więc postanowiłem dać ich głowom coś do trawienia. Po kilku wstępnych uwagach obojętnej treści, jeden z nich zapytał mnie obcesowo: „Niech też pan powie, kiedy pokój nastanie?” Wszyscy oni byli pod wrażeniem, że całe imperium brytyjskie pragnie pokoju; podtrzymywało to ich opór. „Moim zdaniem nie prędko”, odpowiedziałem. Popatrzyli na siebie w milczeniu, po czym ten sam zapytał znowu: „A czemu pan tak miarkuje?” „Mnie się tak widzi”, odparłem z jak największą prostotą, „ten kraj będzie kolonią Brytyjską; byłoby dla nas rzeczą niewygodną mieć kolonię, pełną niebezpiecznych ludzi. Trudno byłoby ich wtedy się pozbyć. Wszak byłiby oni współobywatelami, równymi nam wobec prawa. Ta wojna daje nam jedyną sposobność pozbycia się ich, więc jeśli czasu starczy,

wytypimy ich teraz.” Staruszkowie chrząkali groźnie i puszczali ogromne kłęby dymu z ich fajek, lecz nie wiedzieli co odpowiedzieć. Być może, że te moje słowa dotarły w jakiejś formie do uszu tego, o którym myślałem

Najdłuższą wycieczkę z Pretorii do Waterval odbyłem w towarzystwie Burnetta Burleigha, na wózku lokalnej konstrukcji. Raz zbliżyliśmy się do patrolującego oddziału Burów, złożonego z tuzina jezdnych. Burleigh nie wierzył, że to oddział nieprzyjacielski, aż mu zwróciłem uwagę na fakt, że kilka koni jest białej maści, rzecz niedopuszczalna w naszej armii. Oglądając ich przez lunetę, towarzysz mój przyznał mi rację. Musiał ten oddział być czymś bardzo zajęty, bo zupełnie nie zwrócił na nas uwagi, chociaż z łatwością mógł nam odciąć odwrót. Dojechaliśmy do wielkiego obozowiska jeńców, w którym do niedawna wielu żołnierzy brytyjskich i kolonialnych pędziło żywot w poniżającej niewoli. Wydostali się na wolność przed jakimiś dwoma tygodniami, tak, że całe obozowisko było jeszcze zasłane mnóstwem pozostałych szczątków. Zabrałem stamtąd na pamiątkę kabinę burską, złamaną widocznie przez jakiegoś jeńca, niedokończoną włóczkową skarpetkę, z szydełkami sporządzonymi z drutu, okalającego obozowisko, wreszcie parę kajdan na nogi, z więzienia wybudowanego w tym obozowisku.

Część uwięzionych tam huzarów wykopała tunel, który był prawie na ukończeniu, gdy nadszedł dzień wyzwolenia. Podziwialiśmy tę robotę, wykonaną głównie łyżkami. Zmierzyłem jego głęb i długość a kiedy wychodziłem Burleigh sfotografował mnie na tle otworu. Pewnie niejeden z przyjaciół posiada jeszcze tę fotografię z moim napisem: „Wyłaząc z dziury, jak Imperium Brytyjskie”.

Jeden dzień spędziłem w Johanesburgu, przechadzając się po jego opustoszałych ulicach i oglądając prawie nieczynne kopalnie. Zwiedziłem dokładniej kopalnię Robinson, lecz przy braku odpowiedniej maszynarii, schodzenie w głąb po mokrych drewnianych schodach, nie należało do przyjemności. Nie obyło się oczywiście bez zakładów, które kopalnie będą najwydatniejsze po wojnie; rzecz prosta nie wygrałem żadnego.

W dniu 4 lipca, po zupełnie spokojnej podróży, która dowodziła polepszenia się naszej pozycji, stanąłem z powrotem w Szpitalu Langmana. Zostałem wszystko w spokoju i w porządku; jedyną nieprzyjemnością była wiadomość o śmierci jeszcze jednego z naszych służących, który umarł nie na febrę gastryczną, lecz na tzw. „erysipelas”. Wspominam o tym dlatego, że febra gastryczną była tak powszechną, że pojawienie się innego gatunku febrzy było rzeczą niezwykłą. Gdyby cała armia podległa zaszczepieniu, ilość ofiar w tej wojnie wskutek choroby byłaby minimalna. Wypadków chirurgicznych mieliśmy niewiele, lecz pamiętam dobrze jedną operację, która przez swe niezwykle szczegóły techniczne utkwiała w mej pamięci. Holenderski attache wojskowy był w obozie Burów, został ranny podczas jednej z potyczek i jako taki dostał się do naszego obozu, gdzie został tknięty paraliżem. Okazało się, że szrapnel strzaskał jedną z kostek pacierzowych w karku; odłamek kości wywierał taki ucisk na zwój nerwów, że te przestały funkcjonować. Operatorem był Watson Cheyne, z Londynu. Kiedy starał się on silnymi obciążkami dźwignąć w górę złamany łuk kostny, z głębi powstałej w ten sposób szkarłatnej szczeliny, trysnął strumień czystej wody, na dwie stopy wysoki, który się u szczytu rozczapierał w kształt palmowego drzewa. Stopniowo wytrysk ten się zmniejszał, doszedł kilkucalowej wysokości, wreszcie zniknął. Wyznaję, że nie miałem pojęcia co to wszystko mogło znaczyć i mam wrażenie, że większość asystujących chirurgów była tak samo zaskoczona, jak ja. Objasnienia udzielił mi jak zwykle w takich wypadkach Charles Gibbs, który oświadczył, że płyn mózgowo-pacierzowy, którego ilość normalna jest tak niewielka, że utrzymuje ona tylko stan wilgotności dokoła stosu pacierzowego, wytwarzał się w ogromnej ilości pod wpływem naporu złamanej kostki, tak, że w końcu spowodował spęcznienie całej pochwy. Obciążki operatora przecięły pochwę w pewnym małym punkcie, przez który płyn ów trysnął w górę. To opróżnienie pochwy musiało być zbyt nagłe, gdyż pacjent umarł wkrótce po usunięciu go ze stołu operacyjnego.

Charles Gibbs jest obecnie starszym chirurgiem w londyńskim szpitalu Charing Cross. Mam nadzieję, że nie weźmie on za złe swemu dawnemu uczniowi, gdy ten przypomni tu wypadek, w którym nie mistrz, lecz uczeń był górą. Jeden z moich chorych na febrę gastryczną był najwidoczniej bliski śmierci i powtarzał nieustannie, że chciałby bodaj raz jeszcze dobrze zjeść. Wiadomo, jak surową jest dieta przy febrze gastrycznej. Polega ona — a przynajmniej wtedy polegała na płynach, gdyż owrzodzenie wnętrzości mogłoby łatwo ulec przerwaniu, pod naciskiem jakiejś stałej materii i spowodować śmierć natychmiastową wskutek peritonitis. Zapytałem Gibbsa: „Czy pan myśli, że ten chory nie wyjdzie cało”. „Nie zdaje mi się”, odparł Gibbs. „W takim razie dam mu przyzwoity obiad na drogę”. Gibbs potrząsnął głową, najwidoczniej zgorszony. „Nie przyjąłbym na siebie takiej odpowiedzialności”, rzekł stanowczo. „Gdzież ta odpowiedzialność”, zapytałem „skoro tak czy owak ma umrzeć?” „Różnica w tym, że w pierwszym wypadku zabije go choroba, a w drugim lekarz”. „Eh, spróbuję!” rzekłem i — spróbowałem. Z jakim skutkiem, tego dowodzi list, który otrzymałem w jakiś rok później w Edynburgu, podczas jednego z moich zebrań wyborczych. Oto jego kopia:

128, Royal Road,
Kennington Park, London S. E.
1 Października, 1900.

W. Panie,

Jako jeden z tych, którzy byli pod pieczęcią pańską w Bloemfontein w Szpitalu Langmana, pozwalam sobie przesłać W. Panu życzenia powodzenia. Czyniąc to idę za głosem nie tylko moich przekonania politycznych, lecz także przeświadczenia, że ja (i wielu innych) zawdzięczam życie pańskiej troskliwości i ludzkości. W. Pan zapewne mnie nie pamięta, lecz mogę Pana

zapewnić, że pamięć Jego zapisana w mym umyśle niestartymi głoskami. Życząc raz jeszcze powodzenia pozostaję W. Pana

sługą powolnym

(Szeregowiec) *M. Hanlon, C. J. V.*

P. Hanlon, to mój pacjent, któremu dałem dobry obiad, przed jego wyprawą na drugi świat. Od chwili tego obiadu przestał on jednak myśleć o tej wyprawie. Oczywiście nie znaczy to, że febrę gastryczną należy leczyć dobrym obiadem.

W dniu 11 lipca wsiadłem na statek „Briton” w porcie Capetown, który odpływał do Anglii. Przed wyjazdem złożyłem wizytę Sir Alfredowi Milnerowi, który się bardzo postarzał od czasu kiedy go poznałem w przededniu jego kariery w Egipcie. Posiwiął, pochylał się, lecz nie stracił nic ze swej energii, którą zachował do ostatka. Jedynym jego błędem było, moim zdaniem, przekonanie, że po wojnie będzie można utrzymać w Afryce Południowej stan wojenny. Poza tym, trudno było o lepszego człowieka na tym niesłychanie ciężkim i odpowiedzialnym stanowisku.

Niezwykłą była lista podróżnych na statku „Briton”; Księżę Norfolk i brat jego lord Edward Talbot należeli do najweselszych gości na pokładzie. Zabawny to był widok, kiedy pierwszy co hierarchii, baron angielski wyzywał na pojedynek na „pęcherze” grubego Holendra. Obaj usiedli na belce ruchomej i poczęli się okładać pęcherzami, aż pokonany Holender spadł z belki. Był dalej wśród podróżnych sir John Willough — by, pamiętny z okazji tzw. Rajdu Jamesona, lady Sarh Wilson z Mafeking, księżę Marlborough, lady A. Grosvenoz, Ivor Guest i wielu innych wstawionych wojskowych. Szczególnie rad byłem z nawiązanej przyjaźni z Fletcherem Robinsonem i Nevinsonem. Jeden tylko drobny wypadek zmaćił pogodę tej miłej podróży. Był na statku oficer cudzoziemski, który bawił w obozie Burów i teraz wypowiadał swe poglądy w sposób wysoce niedyskretny i bez taktu. Między innymi oświadczył w mojej obecności, że brytyjskie wojska używały z reguły kul dum–dum. Na to straciłem cierpliwość i powiedziałem mu w oczy, że łże. Muszę przyznać, że potem zachował się on zupełnie przyzwoicie, gdyż pomyślawszy chwilę doszedł do przekonania, że widocznie się mylił. Zapytał mnie przez mego przyjaciela Robinsona, czy przyjmę przeprosiny. Odpowiedziałem mu, że nie, gdyż nie mnie obraził, lecz armię. Po jakiejś godzinie Robinson przyniósł mi list, zawierający odwołanie i przeproszenie. Tak zakończyła się sprzeczka, która inaczej mogła mieć poważniejsze następstwa.

W pierwszych dniach sierpnia znalazłem się z powrotem w Londynie i wkrótce cały ten epizod, z zieloną dalą „veldtu”, ze spłaszczonymi pagórkami, z febrą i szpitalem począł się zasnuwać mgłą niepamięci, zamieniając się na rodzaj wizji sennej.

XVIII

ODEZWA DO OPINII ŚWIATA

FALSZYWY POGLĄD. — NAGŁA DECYZJA. — REGINALD SMITH. — TYDZIEŃ PRACY. — „PRZYCZYNY I PRZEBIEG WOJNY”. — TŁUMACZENIA. — LIST Z NIEMIEC. — WIELKIE POWODZENIE. — NADWYŻKA

Jeden z najmilszych epizodów mego życia związany jest z pracą nad broszurą, którą napisałem na temat metod i celów naszej armii w Afryce Południowej. Usiłowałem tym sposobem powstrzymać zalew całej Europy literaturą, mającą na celu spotwarzenie i zniesławienie Anglii niemal w każdym kraju Europy. Fala ta przybierała takie rozmiary, iż zdawało się, że na tej fikcyjnej podstawie powstanie konstrukcja polityczna, która doprowadzi do poważnej wojny.

Pamiętam doskonale początek mego pomysłu. Było to 2 stycznia 1902 roku, we wtorek. Sir Henryk Thomson zaprosił mnie na jeden ze swych tygodniowych obiadów. W drodze z Hindhead do Londynu czytałem kolumnę Timesa poświęconą sprawom zagranicznym. Jedna szpalta zawierała opis zgromadzeń w różnych częściach Europy — zwłaszcza zaś zjazdu kilkuset duchownych w Prowincji Nadreńskiej — protestujących przeciwko rzekomym barbarzyństwom, popełnionym przez nas na naszych wrogach. Następna szpalta wyciągi z pism zagranicznych, opisujące w sposób groteskowy rzekome okrucieństwa. Dla każdego, kto zna prostotę żołnierza brytyjskiego i charakter jego dowódców, wszystko to było czystą niedorzecznością; a jednak, kiedy odłożyłem gazetę i począłem myśleć o tej sprawie, nie mogłem się oprzeć przekonaniu, że ci ludzie z kontynentu działali pod wpływem bezinteresownego i szlachetnego bodźca, który im przynosił zaszczyt. Nie było przecież ich winą, że wierzyli w te fałsze, bo nie wiedzieli, że to fałsze. Skoro jednak wierzyli, było ich obowiązkiem protestować i potępiać. Czy my sami nie padlibyśmy ofiarami takiej samej łatwowierności, gdybyśmy mieli o danym wydarzeniu jednostronne sprawozdanie, poparte przez największych dziennikarzy i artystów pióra i ołówka, mniejsza o to, czy za pieniądze czy bezinteresownie? Oczywiście, że tak. A czyja to była wina, że nasz pogląd nie był równie znany światu cywilizowanemu? Może jesteśmy zbyt dumni, a może zbyt opieszali — lecz jasne było, że zapadł wyrok przeciw nam zaocznie. Jak mogli poznać naszą sprawę? Gdzie mogli znaleźć jej oświetlenie? Gdyby mnie ktoś zapytał, do jakich dokumentów ma się zwrócić, cóż bym odpowiedział? Oficjalne sprawozdania i archiwa państwowe nie są dostępne każdemu. Były co prawda obszerne dzieła Fitz-Patricka i E. T. Cooka, lecz były kosztowne i przeznaczone dla specjalistów, przy tym niełatwe do tłumaczenia. Nie było krótkiej, treściwej broszury, która w sposób jak najprostszy przedstawiałaby całą sprawę z każdego możliwego punktu widzenia. Czemu jakiś Brytyjczyk nie napisał takiej broszury? W odpowiedzi na to pytanie padło inne „A czemu ty sam jej nie napisałeś?”

Od tej chwili myśl ta nie dała mi spokoju. Rzadko kiedy w życiu miałem tak bezpośrednie poczucie nakazu i powołania, które na razie usunęło z mej myśli wszystko inne. Fakt, że byłem osobą bez pozycji, przemawiał raczej na korzyść, gdyż dowodził bezinteresowności mego kroku. Posiadałem dostateczną znajomość faktów, gdyż napisałem już zarys tej wojny. Byłem naocznym świadkiem wielu wydarzeń i posiadałem wiele dokumentów pierwszorzędnej wagi. Pomysł mój rósł i dojrzewał z każdą chwilą. Urządzi się składkę publiczną i za pieniądze tak uzyskane wraz z dochodem z angielskiego wydania broszury, opłaci się tłumaczenie na wszystkie języki. Te tłumaczenia rozeszły się darmo w setkach tysięcy egzemplarzy, tak, aby każdy profesor, każdy

ksiądz, każdy dziennikarz, każdy polityk znalazł je na swoim biurku. W ten sposób usunie się możliwość zaślania się na przyszłość nieświadomością. Zanim dojechałem do Londynu miałem gotowy plan całej roboty. Szczęście mi sprzyjało. Wspomniałem już, że jechałem zaproszony na obiad przez Sir Henry Thomsona. Przy stole siedziałem obok jegomościa, którego nazwiska nie dosłyszałem. Ponieważ cały byłem przejęty moją ideą, skierowałem wkrótce rozmowę na jej temat, że zaś sąsiad mój nie okazał znudzenia, przeciwnie, zdawał się słuchać z uwagą i zainteresowaniem, przeto wyniszczyłem mu mój pomysł bardziej szczegółowo. Wysłuchawszy wszystkiego bardzo cierpliwie, mój sąsiad zapytał mnie, skąd zamierzam otrzymać pieniądze dla urzeczywistnienia tak dalekosiężnego zamierzenia. Odpowiedziałem, że zaapeluję do ofiarności publicznej. Z kolei zapytał mnie, ile moim zdaniem wystarczy na ten cel. Odpowiedziałem, że na początek wystarczyłoby tysiąc funtów. Na to odparł, że trzeba będzie znacznie więcej. Ale dodał, jeśli tysiąc funtów miało sprawę ruszyć z miejsca, nie wątpi, że taka suma dałaby się wydobyć. Od kogo? — zapytałem. Na to podał mi swe nazwisko i adres i rzekł: „Jestem pewny, że jeśli pan urzeczywistni swój zamiar, będę mógł wydobyć tysiąc funtów na pokrycie kosztów. Gdy rzecz dojrzeje, proszę przyjść do mnie wtedy pomówimy o realizacji”. Podziękowałem za tę zachętę i przyrzekłem złożyć wizytę w odpowiedniej chwili. Dobrodziejem tym i niejako ojcem chrzestnym całego przedsięwzięcia, był Sir Eric Barrington, wyższy urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Lecz nie tu koniec mojego szczęścia. Następnego dnia miałem coś do załatwienia w naszej firmie wydawniczej „Smith, Elder and Co”; podczas rozmowy z Reginaldem Smithem wspomniałem mu o moim planie. Bez chwili wahania oddał mi na usługi cały swój aparat wydawniczy, nie żądając żadnej zapłaty. Od tej chwili stał się on w istocie współnikiem mego przedsięwzięcia i to współnikiem, który poza pracą wydawniczą, na każdym kroku oddawał mi ogromne usługi. Dzięki jego ofiarności i uczynności nie tylko zmniejszyła się suma potrzebnego funduszu, lecz i kwestia zamówienia i dystrybucji tłumaczeń na obce języki została załatwiona w dużej mierze.

Tego samego dnia udałem się do Ministerstwa Wojny, które oddało do mego użytku wszelkie dokumenty, jakie posiadało. Z kolei napisałem do Timesa, objaśniając o celu mego zamierzenia i prosząc wszystkich sympatyzujących z tym celem, o jego poparcie. Odpowiedź na mój apel była szczodra i szybka. Moja poczta następnego dnia wynosiła 127 listów, z których niemal wszystkie zawierały jakiś datek od 50 funtów Lorda Rosebery’ego do 2½ szylinga ubogiej wdowy po żołnierzu.

Przeważnej części datków towarzyszyły listy, które dowodziły, że mimo pozornej, zewnętrznej obojętności, ogół publiczności odczuł głęboko niesprawiedliwość krzywdzącej postawy krytyków zagranicznych.

Dopiero 9 stycznia mogłem zasiać do pracy nad broszurą. W dniu 17 stycznia skończyłem jej pisanie. Zważywszy ogrom materiału i ilość dat i danych, które należało sprawdzić i porównywać wielokrotnie, oznajmienie, że poświęciłem tej pracy cały czas, jest zbyt cenne. W istocie pracowałem szesnaście godzin dziennie. O ile było to możliwe, unikałem wypowiedziania mych sądów i poglądów indywidualnych, zgrupowanie twierdzeń i świadectw świadków naocznych, wśród nich wielu Burów, w kwestiach takich, jak palenie osad, gwałty wszelkiego rodzaju, obozy koncentracyjne itp. robiło większe wrażenie. O ile dodawałem jakieś uwagi własne, starałem się by były jak najkrótsze i rzeczowe. Co do ścisłości moich dat i danych, mogę się pochwalić, że wyjąwszy trudną do ustalenia liczbę podpaleń, żadna z nich nie spotkała się z zaprzeczeniem. Toteż czułem się szczęśliwy, gdy skończywszy moją pracę, odkładałem pióro z uczuciem, że napisałem ją możliwie najlepiej, w granicach mych zdolności.

W tym samym czasie fundusz składkowy wynosił już przeszło tysiąc funtów. Większa część tych datków składała się z drobnych sum od ludzi, których nie było stać na sumy większe. Zastanawiała przede wszystkim ilość nauczycielek, mieszkających za granicą, których życie stało się bardzo ciężkie wskutek ich bezsilności wobec potwarczych zarzutów, które na pewno powtarzano w ich obecności. Drugim miłym rysem była ilość cudzoziemców, mieszkających stale w Anglii, którzy pośpieszyli z poparciem mego pomysłu, w nadziei, że pomoże on ich rodakom w wytworzeniu sobie sprawiedliwego sądu. Od samych Norwegów otrzymałem przeszło 50 funtów. Jeszcze inny szczegół zasługuje na podkreślenie, mianowicie ogromne poparcie ze strony duchowieństwa. Kilku z nich tłumaczyło mi ten fakt tym, że od czasu wojny zasypywano ich wprost literaturą antybrytyjską, stąd z radością przyjęli mój zamiar, jako środek przeciwdziałania.

Kiedy broszura była gotowa, posłałem ją memu nowemu przyjacielowi u Ministerstwa Spraw Zagranicznych i natychmiast otrzymałem zaproszenie do przybycia. Wyraził się on z uznaniem o mej pracy i wręczył mi banknot 500 funtowy, oświadczając, że pieniądze te nie pochodzą od niego. Zapytałem czy mogę umieścić na liście w Timesie tę sumę z dodatkiem „od bezimiennego ofiarodawcy”. W ten sposób fundusz urósł do sumy przeszło 2.000 funtów, tak, że należało przystąpić do publikacji i tłumaczeń. Z uwagi na wielkość przedsięwzięcia, kwestia dystrybucji wydania angielskiego została powierzona firmie Newnes, która wywiązała się z zadania znakomicie i zupełnie bezinteresownie. Cena broszury wynosiła sześć pensów, lecz firmy, które nabywały większe ilości, otrzymywały ją za połowę tej ceny. Celem tej zniżki było danie sposobności zarobku małym detalistom. Sprzedaż broszury odbywała się nadspodziewanie szybko; w ciągu dwóch miesięcy rozeszło się w Wielkiej Brytanii jakieś 300.000 egzemplarzy. Zarezerwowany mały dochód od każdego egzemplarza, powiększył w rezultacie wydatnie nasz fundusz, tak, że finansowa strona kwestii tłumaczeń była zabezpieczona.

Francuskie wydanie przygotował profesor Sumichrast z uniwersytetu w Harward, z pochodzenia Francuz kanadyjski. Oczywiście dokonał on tłumaczenia świetnie i bezinteresownie. Wydał je bez żadnych trudności Galignani. Kilkanaście tysięcy egzemplarzy rozdano gratisowo we Francji, Belgii i Szwajcarii. To francuskie wydanie wynosiło 20 tysięcy egzemplarzy.

Trudniejszą była kwestia wydania niemieckiego. Żaden wydawca niemiecki nie chciał się podjąć wydania tej broszury a jedyna grzeczność, jakiej doznaliśmy w tym kraju, spotkała nas ze strony barona Tauchnitz, który włączył broszurę do swej angielskiej biblioteki. Na ogół propozycje nasze spotkały się z chłodem a czasem wprost z obrazą. Oto np. kopia listu, jednego z wielu, otrzymanych przez firmę Smith, Elder and Co.

Styczeń 1902

„Panowie, książka Doyle’a czyni wrażenie, jak gdyby była napisana na zamówienie, lub pod wpływem angielskiej partii szowinistów.

Panowie wiecie, że ta partia wojenna (podobnie jak oficerowie i żołnierze angielscy w Transwaalu) spotkała się z potępieniem całego świata cywilizowanego, gdyż jest to gromada tchórzliwych łotrów i brutalnych rzezimieszków, mordujących dzieci i kobiety.

Jako firma, importująca literaturę angielską do Niemiec, Austrii i Rosji, nie możemy się narazić na podejrzenie, że jesteśmy w jakichkolwiek stosunkach z tak pogardzaną partią. Pokazaliśmy list panów kilku innym firmom, lecz żadna nie okazała chęci zajęcia się tą sprawą”.

Jest w tym liście typowa mieszanina jadowitej złości i przesadnej godności, toteż zachowuję go w mej kolekcji osobowości. Lecz mimo takich odpraw, znalazłem wreszcie w Berlinie firmę angielsko-niemiecką, która podjęła się wydawnictwa, zaś przy pomocy pana Kurta von

Musgrave, który dokonał doskonałego przekładu, udało mi się rozrzucić spory nakład. Na rezultat nie trzeba było długo czekać, gdyż ta część prasy, która miała jeszcze poczucie niezależności, wkrótce zmodyfikowała wyraźnie swój ton. Na ogół rozeszło się w Niemczech i Austrii około 20 tysięcy egzemplarzy.

Pamiętam jeden zabawny wypadek. Czując się trochę zmęczony udałem się na krótki odpoczynek do Seaford. Tam doszła mnie wiadomość, że jakiś oficer, Niemiec, przybył do Londynu by zobaczyć się ze mną. Odpowiedziałem, że nie mogę przyjechać do Londynu, lecz rad będę zobaczyć gościa w Seaford. Istotnie, najbliższym pociągiem przyjechał. Był to człowiek pięknej, żołnierskiej postawy, władający świetną angielszczyzną. Miał on w ręku korektę niemieckiego wydania i ogromną przykrość sprawiło mu to, co powiedziałem o wrogiej postawie, zajętej przez Niemców wobec nas i o wynikłej stąd zmianie uczuć naszych ku nim. Na ten temat prowadziliśmy bardzo ożywioną rozmowę przez cały dzień. Jego najsilniejszym argumentem było twierdzenie, że Niemcy i Wielka Brytania będą musiały w przyszłości prowadzić wspólną walkę z Rosją — Wielka Brytania o Indie, a Niemcy prawdopodobnie o prowincje Bałtyckie. Stąd z jego niemieckiego punktu widzenia, oba kraje powinny utrzymywać możliwie ścisły kontakt. Zapewniłem go, że w tej chwili stosunek nasz do Niemiec jest bardziej wrogi niż do Rosji. Wątpił w to. Poradziłem mu, aby zapytał każdego konduktora omnibusu w Londynie, dla sprawdzenia powszechnej opinii. Zależało mu bardzo, abym złagodził niektóre ustępy; odmówiłem stanowczo, gdyż byłem przekonany o ich prawdzie. W końcu, przed samym powrotem do Londynu, rzekł: „Odbyłem podróż 800 milową dla zobaczenia się z panem. Na odchodne proszę pana tylko o pozwolenie umieszczenia na początku danego ustępu słowa: „Leider” („Niestety”). Zgodziłem się na to chętnie. Ta podróż, wynosząca razem 1600 mil przyniosła mi zdobycz jednego słowa, lecz przyznać muszę, że mi się ten człowiek podobał.

W związku z tym niemieckim tłumaczeniem, przypomina mi się inny, bardzo miły incydent. Pewna grupa niemiecko-szwajcarska była tak zapalona dla naszej sprawy, że postarała się o osobne tłumaczenie i wydanie w Zurychu, własnym kosztem. Wielką pomocą w tym przedsięwzięciu był dr Angst, miejscowy konsul brytyjski. Człowiekiem, który okazał również wiele entuzjazmu dla całej sprawy, narażając się na wiele nieprzyjemności, był profesor Naville, znany Egiptolog z Genewy; dalej Monsieur Talichet, znany redaktor „Bibliothèque Universelle” w Lozannie.

Tyle w sprawie wydań francuskiego i niemieckiego. Ameryka i Kanada same się zajęły sporządzeniem wydań. Z kolei przygotowaliśmy szybko wydanie hiszpańskie, portugalskie, włoskie, węgierskie i rosyjskie; wszystkie one nie sprawiły nam żadnych kłopotów, z wyjątkiem rosyjskiego, wydanego w Odessie, którego rozpowszechniania zabroniła w ostatniej chwili cenzura. Ostatecznie jednak udało nam się zakaz ten cofnąć. W każdym z wymienionych krajów rozeszło się kilkanaście tysięcy egzemplarzy. Nadspodziewanie duża była sprzedaż za granicą, głównie dzięki wysiłkom obywateli brytyjskich, mieszkających na obczyźnie.

Największe trudności przedstawiała sprawa wydania holenderskiego. Ten dzielny, mały naród miał oczywiście wiele współczucia dla swych krewniaków, którzy podnieśli broń przeciwko nam, i wierzył, że im się dzieje krzywda. Była to rzecz zupełnie naturalna. Lecz rezultatem była niemożliwość znalezienia wydawcy. Z drugiej strony opozycja ta wykazywała jak potrzebne jest wydanie holenderskie; w końcu Reginald Smith zdecydował wydrukowanie pięciu tysięcy egzemplarzy w języku holenderskim w Londynie i rozesłanie ich wprost kierowniczym jednostkom w Holandii. Z tej liczby rozesłanych egzemplarzy zwrócono zaledwie jakieś dwadzieścia.

Pewną trudność nastęrczyło również wydanie norweskie; w pokonaniu jej dużą pomocą był pan Thomassem, wydawca pisma „Verdensgang”. Jakkolwiek było to pismo antybrytyjskie, w

tym wypadku oświadczyło się na korzyść publikacji w imię zasady, że obie strony powinny być zawsze wysłuchane. Mam nawet wrażenie, że poznanie bliższe całej sprawy z naszego punktu widzenia, wpłynęło na złagodzenie postawy samego wydawcy, który zrozumiał, że naród nie czyni

długoletnich poświęceń dla niskiej i niegodnej sprawy. Pamiętam także inny drobny szczegół w związku z tym wydaniem. Dla każdego wydania kontynentalnego napisałem specjalną krótką przedmowę, mającą na celu zyskanie sympatii dla sprawy tego narodu, dla którego książka była przeznaczoną. W tym wypadku, tłumaczenie tej przedmowy, dokonane przez panią Brockmann, nie doszło rąk drukarza na czas wskutek szalejących zawiei śnieżnych. Nie pozwoliły one tłumaczce, mieszkającej o sto mil od Chrystianii, przesłać rękopisu. Zdawało się, że broszura ukaże się bez przedmowy. Ostatecznie jednak, zważywszy jej krótkość, przesłano ją od szczytu do szczytu przy pomocy heliografu.

Innym językiem, na który trzeba było przetłumaczyć broszurę, był język walijski, gdyż niemal cała prasa walijska była po stronie Burów, tak, że ludność walijska miała bardzo fałszywe pojęcie o sprawie, za którą walczyło tylu jej współobywateli. Tłumaczenia dokonał W. Evans, zaś rozesłaniem zajęło się angielskie pismo w Cardiff „Western Mail”, które rozrzuciło jakieś 10000 egzemplarzy. Na tym zakończyła się nasza praca. Ogólna ilość wydanych egzemplarzy przedstawiała się następująco: 300000 wydania brytyjskiego; 50000 wydania kanadyjskiego i amerykańskiego; 20000 wydania niemieckiego; 20000 wydania francuskiego; 5000 wydania holenderskiego; 10000 wydania walijskiego; 3500 wydania hiszpańskiego; 5000 włoskiego i 5000 rosyjskiego. Były też wydania w narzeczach tamilskim i kanadyjskim, lecz liczby ich nie pamiętam. Na ogół widziałem mą broszurę w dwudziestu różnych językach. Fundusz, którym rozporządzaliśmy po opłaceniu wszystkich kosztów, wynosił około 5 tysięcy funtów, z czego połowa pochodziła ze składek, a połowa stanowiła dochód ze sprzedaży.

Na rezultaty naszych wysiłków nie trzeba było długo czekać, gdyż wkrótce nastąpiła nagle i widoczna zmiana w tonie całej prasy kontynentalnej, która wprawdzie mogła być czystą koincydencją, lecz na pewno nie była nią, o ile chodziło o wielkie organy opinii publicznej, gdyż argumenty, którymi operowały ich artykuły wstępne, były czerpane i cytowane wprost z mojej broszury. Tak np. było w wypadku wiedeńskiego „Tagblattu”, którego korespondent londyński, dr Maurice Ernest, okazał mi wielką pomoc i życzliwość. Podobnie miała się rzecz z „national Zeitung” w Berlinie, z „Independance Belge” w Brukseli i wielu innych. Lecz w przeważnej części wypadków trudno było się spodziewać odwołania lub sprostowania dawniejszych artykułów; nam wystarczał zupełnie złagodzony i zmienny ton.

Obok zadowolenia z wyników wykonanej pracy Reginald Smith znalazł się wraz ze mną w posiadaniu poważnej sumy pieniężnej. Jej zwrot ofiarodawcom był niemożliwy, po pierwsze dlatego, że ofiarowali oni swe datki do mojego dowolnego rozporządzenia, po wtóre dlatego, że połowa niemal tego funduszu musiałaby w takim razie wpłynąć do naszych kieszeni, gdyż stanowiła ona dochód ze sprzedaży.

Pierwszym naszym wydatkiem było zakupienie 600 egzemplarzy doskonałej książki austriaka dra Ferdynanda Hurza, pt. „Recht und Unrecht im Burenkrieg”, które rozesłaliśmy osobom kierującym opinią publiczną za granicą.

Z kolei zakupiliśmy sześć bardzo pięknych złotych papierośnic, na których kazaliśmy wyryć napis: „Przyjacielowi Anglii od przyjaciół w Anglii”. Były to upominki dla tych, którzy okazali nam najwięcej pomocy i życzliwości. Jedną z nich wysłaliśmy znanemu publicyście francuskiemu Yves Guyotowi, drugą panu Talichet z Lozanny, trzecią profesorowi Sumichrastowi, a czwartą profesorowi Naville. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ten ostatni bawił wówczas w Londynie, tak, że miałem przyjemność wsunąć mu w rękę mały upominek w

chwili, gdy wdziewał palto na wychodnym z klubu „Atheneum”. Rzadko kiedy widziałem bardziej zdziwioną twarz.

Pozostawała jednak jeszcze poważna suma. Wobec tego, uzyskawszy zgodę Reginalda Smitha, posłałem 1000 funtów uniwersytetowi w Edynburgu, z warunkiem, aby je umieszczono na 4% i otrzymane tym sposobem 40 funtów rocznie przeznaczono na stypendium dla najzdolniejszego studenta, pochodzącego z Afryki Południowej. Sądziłem, że w ten sposób stworzymy fundusz, z którego będą mogli korzystać zarówno Brytyjczycy jak i Burowie. Było to tym bardziej możliwe, że uniwersytet w Edynburgu posiada zawsze sporą liczbę studentów z Południowej Afryki. Jakież było moje zdziwienie, gdy pod koniec roku otrzymałem list od pewnego studenta, wyrażającego nadzieję, że otrzyma rzeczony stypendium i dodając, że co do swych kwalifikacji nie ma żadnych wątpliwości, gdyż jest czystej krwi Zulusem.

Lecz i teraz jeszcze fundusz nie był wyczerpany, tak, że posłaliśmy jednorazowe datki różnym instytucjom w sumach od 50 do 10 funtów.

W końcu pozostała nam suma 300 funtów. Zastanawiając się nad ich przeznaczeniem, przypomniałem sobie znane powiedzenie, że los państwa a nawet całego imperium może czasem zależeć od jednego strzału 12-calowego działa. Zakupiliśmy więc za całą sumę pozostałą wspaniały puchar, który miał stanowić przez rok własność tego statku, który podczas dorocznych ćwiczeń zdobędzie największą ilość strzałów. Podstawa pucharu była wykonana z belki dębowej ze statku „Victory”, sam zaś puchar z czystego srebra, połączanego. Dzięki poparciu Admirala Sir Percy Scotta, inspektora generalnego strzelnic, który wręczył puchar Admiralowi Eskadry Kanału La Manche, Sir Arthurowi Wilsonowi, wszystkie formalności zostały szybko załatwione, puchar został zdobyty jako nagroda już tego samego roku i od tego czasu stanowił przedmiot wielkiego współzawodnictwa wszystkich załóg. Jedynym warunkiem z naszej strony było życzenie, aby puchar nie trzymano w jadalni, lecz na widocznym miejscu na pokładzie, tak, aby się stale rzucał w oczy marynarzom.

Cały ten epizod pozostawił w moim umyśle jedno niezatarte wrażenie, mianowicie, że rząd nasz nie działa dość dobrze w dziedzinie propagandy, mającej na celu — przedstawienie i oświetlenie naszych spraw. Jeśli jednostka zdołała miesięczną pracą i kapitałem 3 tysięcy funtów wywrzeć widoczny wpływ na opinię publiczną całego świata, ileżby mogła zdziałać organizacja naprawdę zamożna i inteligentnie kierowana. Rzecz prosta trzeba mieć słusność po swojej stronie. Kto poza Anglią wie, ile rzetelnych wysiłków zrobiła ona dla załatwienia sprawy irlandzkiej tak, aby zadowolić rywalizujące ze sobą obozy Irlandczyków? Naprawdę, słusność miał ten Francuz, który powiedział, że nie umiemy się bronić. Jeśli się godzimy na wyroki zaoczne czyż może nas dziwić, że wyroki te są nam wrogie?

XIX

MOJE PRZYGODY POLITYCZNE

EDYNBURG. — PIERWSZA KLĘSKA. — MIASTA POGRANICZNE. — REFORMA TARYFOWA. — PODRYWKI. — INTERPELACJE. — DRUGA KLĘSKA. — REFLEKSJE.

Dwa razy kandydowałem do parlamentu, chociaż, gdyby mnie ktoś zapytał dlaczego, nie umiałbym dać jasnej odpowiedzi. Wiem na pewno, że nie było we mnie gwałtownego pragnienia zostania członkiem tego dostojnego zgromadzenia. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że w obu wypadkach kandydowałem z okręgów, które każdy doświadczony parlamentarzysta uważał w moich warunkach za niemożliwe do zdobycia, jakkolwiek ofiarowano mi okręgi, w których mogłem przejść z łatwością i to ogromną większością. Co do pierwszej kandydatury z centrum Edynburga, sentyment odgrywał zapewne jakąś rolę, gdyż w tej części miasta spędziłem moje chłopięce i młodzieńcze lata. Mówiono, że była to najsilniejsza twierdza radykalizmu szkockiego, że zatem zdobycie tego okręgu przeze mnie byłoby nie lada wypadkiem, gdyż jakkolwiek byłem radykałem pod wielu względami, to jednak było rzeczą powszechnie wiadomą, że co do głównego spornego punktu tych wyborów: „Wojna czy pokój?” byłem przekonania, iż zakończenie tej wojny bez zupełnego zwycięstwa, byłoby na pewno hańbą a prawdopodobnie także i katastrofą dla Imperium Brytyjskiego.

Wiara moja mi mówi, że Opatrzność jakąś drogą zawsze wydobywa z człowieka najlepsze to jednakowoż niezbędnym jest, aby człowiek sam zrobił wszystko, co może w tym samym kierunku, stając się tym sposobem współczynnikiem Opatrzności. Nie należy nigdy pomijać żadnej sposobności. Jeśli droga jego leży gdzie indziej, niepowodzenie powie mu o tym. Na nic się jednak nie przyda mówić, patrząc wstecz na życie minione: „Może by się powiodło, gdybym poszedł tamtą drogą”. W głębi duszy czułem zawsze, że jestem tu na ziemi dla jakiegoś wielkiego celu i tylko ujemny wynik próby mógłby mi powiedzieć, że cel ten nie jest politycznym, jakkolwiek tyle widziałem sam, że nigdy nie mógłbym się związać z jedną partią lub uwierzyć, że dana grupa ludzi posiada same cnoty.

Moja praca polityczna nie była jednak daremną. Obie moje kandydatury były w okręgach, których wyborcy słynęli z tzw. „podrywek”, tj. pytań, zadawanych podczas zgromadzeń wyborczych. Ten niezbyt miły i często nadużywany zwyczaj nauczył mnie spokoju i panowania nad sobą na estradzie, które mi się bardzo od tego czasu przydały. Mam nawet wrażenie, że to dwukrotne przejście przez prawdziwie ogniową próbę, miało na celu przygotowanie mnie do mojej ostatecznej misji. Pamiętam, że raz w miasteczku Hawick, mój brat, z zawodu wojskowy, odwiedził mnie, by zobaczyć jak sobie dają radę z wyborcami. Wrażenie, jakie wywierałem na słuchaczach, uderzyło go niezmiernie. „To dziwne”, rzekł mi wtedy, „ale mam wrażenie, że ostatecznie skończysz w polityce, nie w literaturze”. „Ani w jednej, ani w drugiej”, odparłem bez wahania, „religia to dziedzina mojej właściwej pracy”. Spojrzeliśmy na siebie z równym zdziwieniem i wybuchnęliśmy obaj śmiechem. Odpowiedź moja mogła się istotnie wydawać niedorzeczną, gdyż nie było do niej wówczas żadnej podstawy. Był to dziwny przejaw owej podświadomej władzy przewidywania przyszłości, która w nas tkwi.

Zaledwie wróciłem z Południowej Afryki, rzuciłem się gorączkowo do agitacji wyborczej. Prezesem komitetu wyborczego był znany obywatel Edynburga, pan Cranston, późniejszy sir Robert Cranston. Kiedy przybyłem na miejsce, odbywało się właśnie zebranie komitetu; zmęczony podróżą, przysłuchiwałem się w milczeniu poważnej debacie, która ważyła wszelkie

„za” i „przeciw” i ustalała moje poglądy na każdą aktualną kwestię. W końcu ustalono wszystko i spisano z wyraźnym zadowoleniem, po czym przystąpiono do ułożenia programu wyborczego kandydata. Słuchałem tego wszystkiego z lekkim rozbawieniem, a kiedy dyskusję skończono, zapytałem: — Może mnie panowie objaśnią, kto ma wypełnić te wszystkie przyrzeczenia, którymi panowie tak hojnie szafujecie?... Jak to, oczywiście, że pan. — W takim razie, byłoby lepiej, abym ja je sam sformułował, — odpowiedziałem, mnąc w garści dokument, który mi właśnie wręczono. Usiadłem i napisałem swój program. Przyjęto ten program tak dobrze, że byłbym na pewno zdobył mandat, gdyby nie nieoczekiwana interwencja w ostatniej chwili. Ci, którzy pamiętają te wybory, zgodzą się ze mną, że sprawa obudziła wielkie zainteresowanie. Przeciwnikiem moim był niejaki pan Brown, wspólnik znanej firmy wydawniczej Nelsona, której zakłady były w samym centrum miasta. Wróciwszy świeżo z pola wojny, przejęty gorliwością dla sprawy, którą ta wojna przedstawiała, nie oszczędzałem ani sił ani czasu. Przemawiałem z beczek, ustawionych na ulicy, lub z jakiegokolwiek podwyższenia, urządziłem szereg mniejszych przygodnych zgromadzeń, obok wielkich, zorganizowanych przez komitet, zawsze tłumnych i burzliwych. Jednym słowem nie zasypiałem gruszek w popiele. Mój przeciwnik nie był groźny, lecz jako członek partii, miał na swe usługi cały aparat wyborczy, operujący przede wszystkim faktem, że partia ta reprezentowała ten okręg tradycyjnie już od dłuższego czasu. Największą trudnością był znany konserwatyzm Szkotów. Zmiana partii politycznej równa się dla nich zmianie religii. Innym szkopułem były głosy Irlandczyków, zamieszkałych w Edynburgu i dzielących się na katolików i protestantów. Nieświadomie, lub raczej mimo woli, trzymając się zasady mówienia tylko tego, co było naprawdę moimi przekonaniami, dokonałem rzeczy w dziejach nieznannej, mianowicie zjednoczyłem Irlandczyków południowych (katolików) z północnymi (protestantami). Oczywiście zjednoczenie to odbiło się na mej skórze. Południowcy nie głosowali za mną, gdyż jakkolwiek byłem zwolennikiem rewolucji nie nawróciłem się jeszcze do Homo Rule'u, zaś protestanci nie mogli mi darować, że się opowiedziałem na korzyść katolickiego uniwersytetu w Dublinie. Toteż kiedy udałem się na zgromadzenie do dzielnicy irlandzkiej, dowiedziałem się, że istnieje zamiar rozbicia zgromadzenia. Zdaje się, że taki zamiar istniał naprawdę, lecz zdołałem jakoś pozyskać słuchaczy, a nawet wywołałem łzy w oczach niektórych, kiedy im opowiadałem o spotkaniu dwóch batalionów Królewskich Strzelców Dublińskich, pod Ladysmith. Toteż kiedy w chwilę później pojawiła się na estradzie złowieszcza postać miejskiego rzeźnika z rzeźni końskiej, który zaczął coś bąkać o wolności słowa, uznałem, że gwałtowne wystąpienie przeciw niemu ze strony mego komitetu mogłoby się stać hasłem do zamierzonych rozruchów i odezwałem się po prostu: — Prosimy, prosimy, dalej, bracie!. Przywitany w ten sposób „brat” stracił animusz i przeszedłszy estradę zniknął na drugim jej końcu, zaś ja odbyłem wiec spokojnie.

W miarę zbliżania się dnia wyborów, przeciwnicy moi uznali, że staję się bardzo niebezpiecznym. A jednak poniosłem sromotną klęskę, dzięki dziwnej interwencji, o której już powyżej napomknąłem. Żył wówczas w Dunfermlinie ewangelik, fanatyk, który za cel swego życia uważał niedopuszczanie do parlamentu katolików. Otóż ten jegomość, nazwiskiem Plimmer, postarał się, że w ciągu ostatniej nocy przed wyborami, cały okręg został formalnie zarzucony olbrzymimi plakatami, które głosiły, że jestem rzymskim katolikiem i wychowywałem się u Jezuitów, że kandydatura moja była po prostu napaścią na Kościół Szkocki i wszystko to, co sercu szkockiemu jest drogie. Był to bardzo sprytny krok i moi zwolennicy widzieli mnóstwo ludzi, którzy przeczytawszy te plakaty, oświadczyli głośno, głosować na mnie nie mogą. Mimo to jednak przeciwnik mój zdobył mandat większością tylko jakichś kilkuset głosów. Wyłoniła się kwestia apelacji, lecz po namyśle uznaliśmy, że byłby to daremny trud, gdyż jakkolwiek poglądy

moje nie miały nic wspólnego z systemem jezuickim, nie mogłem zaprzeczyć, że się w ich zakładach wychowywałem.

Patrząc dziś na tę sprawę wstecz, mam przekonanie, że ów pan Plimmer był jednym z największych moich dobroczyńców. W ostatniej chwili, zmienił on bieg wydarzeń i zapobiegł memu wejściu na drogę, która by mnie była zaprowadziła prawdopodobnie do punktu martwego. Wiem, że nigdy nie mogłem się stać człowiekiem partii, zaś w naszym systemie na ma przyszłości dla polityka pozapartyjnego. Oczywiście, że doraźnie odczułem wynik jako klęskę osobistą, tak, że nawet napisałem list otwarty do pisma „Scotsman”, w którym określiłem moją postawę religijną; krok ten, a raczej treść listu wywołała liczne komentarze. Od miejscowego organizatora partii, Sir Johna Borastona otrzymałem list, którego pierwsze zdanie przyznawało możliwość protestu na drodze prawnej. List ten brzmiał następująco:

18 października, 1900.

„Drogi Doktorze Doyle,

Pańscy doradcy prawni mają zupełną rację, gdyż trudno się pogodzić zmysłą, aby sprawcy napaści osobistych w rodzaju tych, jak obmyślono na Pana, mieli ujść bezkarnie.

Stoczył pan walkę niezwykłą i chociaż nie zdobył pan mandatu dla siebie, lecz przyczynił się pan w sposób bardzo widoczny do dwóch zwycięstw Liberalnych Unionistów w dwóch innych okręgach Edynburga. Tej zasługi nikt panu nie odmówi.

Mam przekonanie, że się pan zgodzi ze mną, gdy oświadczę że pański pierwszy krok na arenie politycznej daje rękojmię zupełnego zwycięstwa w niedalekiej przyszłości i wyrażam nadzieję, że zobaczę pana niedługo, dla omówienia przyszłej kandydatury.

Pański wierny sługa
John Boraston”

Co do mnie, nie czułem wielkiej skłonności do ponownej próby, lecz kiedy nadeszły wybory z 1905 r. pod hasłem Reformy Taryfowej, uczułem, że jest moim obowiązkiem złożyć coś na ołtarzu mych ówczesnych przekonań. Obecny lord Shaw, jeden z największych radykałów szkockich, był posłem z okręgu tzw. Miast Granicznych, w istocie trzech małych miast, Hawick, Galashiels i Selkirk, które się trudniły handlem wyrobami wełnianymi i ucierpiały bardzo wskutek taniego współzawodnictwa niemieckiego. Zdawało mi się, że to był teren, na którym każdy będzie głosował na korzyść protekcyjnej polityki Józefa Chamberlaina; zasada wolnego handlu i otwartego rynku spowodowała w tym okręgu tylko straty. Rozumowanie moje było zupełnie słuszne, nie brałem jednak w rachubę konserwatyzmu szkockiego, który nie umie przystosować swych zasad ogólnych do wymagań poszczególnych wypadków — rys zapewne cenny, lecz czasem niepraktyczny. Polityka partyjna nie jest prawem boskim, jeno sumą środków do celu, które powinny się zmieniać zależnie od celu.

Tym razem włożyłem istotnie dużo pracy i pieniędzy, gdyż w takich wypadkach nie ma co żałować. Między rzeczami, które stawiałem wtedy na hazard, znalazł się także mój kark, gdyż dla zjednania sobie popularności wśród mieszkańców miasteczka Hawick, przyjąłem udział w tzw. „gminnej jeździe”, mającej na celu określenie granic okólnika. Jazda ta polegała na tym, że każdy uczestnik musi odbyć półmilowy galop gościńcem wzdłuż którego stoją mieszczanie, zachęcający rumaka do pośpiechu laskami i parasolami. Dano mi konia myśliwskiego, pełnego ognia i zapału. Na szczęście owa jazda miała się odbyć po południu, tak, że ujeździłem mego rumaka trochę przed obiadem, lecz i tak, nie będąc nadzwyczajnym jeźdźcem, omal nie przypląciłem tego sportu kalectwem lub śmiercią. Jestem pewny, że ta zabawa skończy się kiedyś

czyjaś śmiercią, pomijając już fakt, że konie często się kaleczą. Po tej jeździe odbywa się recytowanie nieskończenie długiej ballady, z chórem powtarzającym refren, przy czym wszyscy obecni wybijają takt nogami. Z grzeczności prostej wypadło czynić to samo co inni, lecz dla mnie najzabawniejszym był moment po powrocie do Londynu, kiedy ujrzałem w pismach ilustrację, przedstawiającą mnie tańczącego przy dźwiękach szkockiej kobzy, przed wyborami. Wyznaję, że drugi raz nie brałem udziału w „gminnej jeździe”.

Trudność kandydowania z okręgu, obejmującego trzy miasteczka, polega na tym, że je ożywia wzajemna zazdrość, wskutek czego wszystko niemal trzeba robić trzykrotnie. Dlatego całe to wiecowanie wyborcze dało mi się dobrze we znaki i rad byłem, gdy się skończyło. Miałem wtedy — i dziś tak samo — przekonanie, że jakaś ruchoma skala taryfowa byłaby dla naszego handlu i przemysłu korzystna i skłoniła by może kogoś z naszych współzawodników do zaprzestania zamykania swych rynków przed nami, gdy równocześnie korzystają oni do woli z naszych rynków otwartych. Jeszcze i dziś sędzę, że pomysł Chamberlaina był słuszny i że poniósł on klęskę zarówno przez bezwiednie jak i świadomie fałszywą interpretację, w której chińscy najemnicy i drożyzna żywności grały główną rolę. Stałem raz wewnątrz opustoszałej, nieczynnej fabryki, w jednym z wymienionych trzech miasteczek, wykazując, że zniszczyła ją współpraca handlowa z Niemcami, którzy w czasie, gdy my wprowadzamy ich wyroby na nasze rynki, zamykają swoje wysokimi cłami a za uzyskane tą drogą pieniądze budują okręty wojenne, z którymi trzeba nam się będzie w przyszłości rozprawić. Odpowiedź na moje argumenty polegała głównie na pokazywaniu czerwonych kartonów, z wyobrażeniem okutych w kajdany Chińczyków, pracujących w kopalniach francuskich i innych podobnych nedorzeczności. Toteż pracowałem bardzo ciężko, tak dalece, że w ostatnim dniu przed wyborami odbyłem zgromadzenia we wszystkich trzech miasteczkach, choć oddzielały je wielomilowe góryste przestrzenie. Mimo tych wysiłków poniosłem klęskę; jedyną pociechą moją był fakt, że w tym okręgu spadek głosów naszej partii był najmniejszy. Co mnie jednak najwięcej irytowało, to nieobecność mego zwycięskiego przeciwnika Tommy Shawa, który pokazał się w okręgu raz tylko, po czym całą agitację prowadził przez swego zastępcę. Drugą moją pociechą, pełną jednak melancholii, była wieść, otrzymana w kilka tygodni później, o bankructwie prezesa partii radykalnej, który był pod silnym wrażeniem krzywd Chińczyków w Transwalu, lecz jako powód bankructwa podał zagraniczne współzawodnictwo w zakresie handlu wyrobami wełnianymi.

Agitacja wyborcza to podła robota, chociaż ma niewątpliwie swoje cechy dodatnie; podobna jest do kąpielii błotnych, które oczyszczają i uzdrawiają. Porównanie to jest szczególnie trafne, o ile chodzi o Szkocję, gdzie sztuka tzw. „podrywek” doprowadzona jest do krańcowej doskonałości. To zadawanie pytań ma swoją rację bytu, jak długo pytania wypływają z chęci poznania poglądów kandydata na sprawy publiczne. Lecz takie pytania należą do wyjątków; z reguły jest się zasypywanym mnóstwem podstępnych, nedorzecznych pytań, przez ludzi złośliwych i nieodpowiedzialnych, często najmowanych dla dokuczania lub ośmieszania kandydata. Często po godzinnym przemówieniu, musiałem drugą godzinę spędzić na odpowiadaniu na coraz bardziej nedorzeczne kwestie. Wyciągi z prasy miejscowej mogłyby wykazać, że na ogół dawałem sobie radę, gdyż przedmiot znałem dobrze a z metodą walki wyborczej zaznajomiłem się także niezłe. Pamiętam raz jakiegoś drągala, który w chwili, gdy mówił o potrzebie odwetu w walce słownej, zawołał z końca sali: — Panie kandydacie, jak pan pogodzi zasadę odwetu z kazaniem na Górze Oliwnej? — Odpowiedziałem natychmiast: — W życiu nie zawsze możemy osiągnąć najwyższy ideał. Czy pan sprzedał wszystko i rozdał ubogim? — Człowiek ten znany był ze swych niezbyt chrześcijańskich zasad, więc odpowiedź moja zamknęła mu usta, ku uciechu zebranych.

Szkoci posiadają bardzo spokojny a jednak cięty humor, który warto mieć po swojej stronie. Pamiętam raz człowieka, który na końcu kija miał przywiązany bochenek chleba i raz po raz podsuwał mi go pod oczy z bocznej łoży teatru, w którym odbywał się wiec. Chodziło prawdopodobnie o podniesienie ceny chleba przy systemie protekcji. Trudno było zupełnie ten gest zignorować, lecz nie wiedziałem, jak się go pozbyć. Naraz jeden z moich komitetowych zawołał miejscową gwarą: „Ta zabierz się z tym do domu i zjedz!” Skutek był doraźny. Te niespodziewane interpelacje, wypowiedane są zwykle głosem powolnym, spokojnym a jednak dziwnie donośnym. Kiedy, mówiąc o wojnie z Burami, zawołałem w pewnym podnieceniu: „Kto ma za tę wojnę płacić?!” Jakies schorowane biedaczysko, stojące pod ścianą, zapiszczało: „A cóż mnie to obchodzi?!” wywołując burzę śmiechu, do którego i ja mimo woli się dołączyłem. Innym razem mowę moją przerwał żart, który, choć niezrozumiały dla mnie, wprawił słuchaczy wprost w szal śmiechu. Mówiłem o poczuciu godności i zewnętrznym przyzwyczajonym wyglądzie robotników amerykańskich, kiedy jakiś senny głos zaśpiewał: „Warto zajrzeć do Browna”. Czy fabryka Browna znana była z czystości, czy z niechlujstwa, tego się nie dowiedziałem.

Radykałowie przybywali na moje wiece tłumnie i oni to stanowili głównie publiczność mi wrogą. Ponieważ ich kandydat prawie nie agitował, więc moje zebrania były jedynym polem ich zabawy. Przed rozpoczęciem wiecu sala wrzała zazwyczaj od walki na słowa, wykrzykiwania haseł, śpiewania pieśni partyjnych, tak, że zbliżając się do gmachu miałem wrażenie, że wchodzę do menażerii podczas karmienia. Często mnie odwaga opuszczała, słuchając szalonego wrzasku i pytałem sam siebie, po co to wszystko. Znalazszy się jednak na estradzie, zapalałem się i nie ustępowałem pod żadnym naporem. Wszystko to kształciło mnie na przyszłość, chociaż wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, idąc za jakimś ślepym instynktem. Najwięcej mnie męczyły wybryki ludzi wulgarnych, których jest więcej między zamożnymi niż ubogimi. Nie lubię żartować z nikogo, dlatego widok człowieka, żartującego niestosownie ze mnie, doprowadza mnie do gniewu. Kandydat jednak nie może się gniewać, gdyż byłoby to szkodliwe dla jego partii. Pod tym względem zawsze miałem się na baczności, aby nikogo nie obrazić i pamiętam dobrze, jak raz wytrzymałem cierpliwe trzydniową kampanię, narażony na niejedno poniżenie. Lecz gotowało się we mnie wszystko i oto w ostatniej chwili, kiedy już stałem na stacji, czekając na pociąg, jeden z moich komitetowych, młody, zuchwały drażal, podszedł do mnie z głośnym, poufałym, wulgarnym pozdrowieniem, przy czym ścisnął mnie za rękę tak mocno, że mój sygnet wpił się w ciało. Wyczerpała się moja cierpliwość i wypaliłem mu odpowiedź językiem, którego od czasu połowu na wieloryby nie używałem. Potok mych słów, który zwałił go niemal z nóg, stanowił dziwne pożegnanie grupy mych zwolenników.

Tak się skończyła moja kariera polityczna. Mógłbym powtórzyć za jednym z moich przyjaciół, że „Wyborcy wrócili mnie na łono rodziny”. Lepsze ono, niż mandat wyborczy. A jednak, mimo poniesionego zawodu, czułem, że czeka mnie gdzieś jakaś służba publiczna. Człowiek rad myśli, że w jakiś sposób może wywrzeć wpływ na swoją współczesność: toteż dodaję sobie odwagi myślą o moich kilku broszurach i listach otwartych, umieszczonych w prasie, które wywarły może pewien wpływ na publiczność, od czasu, gdy się odzegnałem od czynnej polityki, często mąjącej pogodę i bezstronność sądu.